

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

DEBRA JO  
IMMERGUT

# UWIĘZIENI

ODKĄD CIĘ ZNALAZŁEM,  
STAŁAŚ SIĘ MOJĄ OBSESJĄ

**DEBRA JO  
IMMERGUT**

# **UWIEŹIENI**

Przełożyła Joanna Gładysiek

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2019



Tytuł oryginału: *The Captives*

Redakcja: Agnieszka Al-Jawahiri

Projekt okładki: © Kav Studio Pola Rusiłowicz

Zdjęcia na okładce: © Sergei Mironenko / Shutterstock, © Astroette / Shutterstock, © Creatopic / Shutterstock, © LanaG / Shutterstock

Korekta: Słowne babki, Beata Wójcik

Copyright © 2018 by Debra Jo Immergut. All rights reserved.

Copyright for the Polish translation © by Joanna Gładysiek, 2018

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788380158061

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

[sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# Spis treści

## PRZYPADEK

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9

## WYBÓR

10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18

## UCIECZKA

19  
20  
21  
22  
23  
24

Epilog

Podziękowania

Johnowi, po latach

# PRZYPADEK

# 1

## **POWSTRZYMAĆ SIĘ OD WYKONYWANIA ZAWODU W SYTUACJI, GDY ZACHODZI RYZYKO NIEMOŻNOŚCI ZACHOWANIA OBIEKTYWIZMU**

(Zasada 3.06, Kodeks etyczny i zasady postępowania  
Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego)

To, co mi się przydarzyło, jest uniwersalne. Mogę to udowodnić.

Pomyśl o znajomych z liceum. A teraz skoncentruj się na tej jednej osobie, tej, która pojawiała się w twoich marzeniach. Tej, która – kiedy zauważyłeś ją na korytarzu – wywoływała w tobie to pierwotne, przedludzkie uczucie, nagły zastrzyk czystej adrenaliny. Jednym słowem – tej, w której byłeś zakochany.

Wyobraź sobie, że ta osoba podchodzi do ciebie teraz. Zbliża się w hałaśliwym, tłocznym korytarzu, coraz bliżej, coraz bliżej. Jej włosy, jej kroki, jej uśmiech.

Twój puls właśnie przyspieszył, prawda?

Rozumiesz teraz, jaką to ma siłę. Wiesz, że to był dzieciak, a parę lat później – niezdarna uczennica. A jednak obraz tej dziewczyny w twojej wyobraźni nadal wprowadza w wibracje twoją korę mózgową, pozbawia cię oddechu.



Widzisz więc – w takich sytuacjach w grę wchodzi coś poza naszą kontrolą.

Teraz wyobraź sobie taką sytuację: jesteś trzydziestodwuletnim facetem, psychologiem. Siedzisz w swoim gabinecie w suterenie, w ośrodku pomocy psychologicznej stanowego zakładu karnego. Więzienni a dla kobiet. Spóźniłeś się do pracy w poniedziałkowy poranek i nie miałeś czasu przejrzeć przypadków na dzisiaj ani nawet zerknąć w kalendarz. Wchodzi pierwsza więźniarka tego dnia, ubrana w więzienny żółty kombinezon.

I to jest ta osoba.

Wygląda w szokujący sposób identycznie jak ta dziewczyna, która szła do ciebie szkolnym korytarzem wśród odgłosu trzaskania zamykanych szafek. Te włosy, ten krok.

Nie byłbyś zaskoczony?

Bądź szczery. Nie wiadomo, co byś zrobił.

ROZPOZNAŁEM JĄ NATYCHMIAST.KTO BY JEJ NIE POZNAŁ?  
NIE JEST OSOBA, JAKĄ SIĘ ŁATWO ZAPOMINA. Przynajmniej nie taką, którą ja bym zapomniał. Szczególnie jej twarz. Mógłbym porównać ją do różnych kwiatów, które moja matka sadziła w ogródku z tyłu domu, ładnych w banalny sposób, ale jeśli się przyjrzeć, dających poczucie wewnętrznego skomplikowania. Ta twarz krążyła bocznymi ścieżkami mojej pamięci przez prawie piętnaście lat. Co jakiś czas coś – nuta dawnej piosenki, widok biegaczki o długich rudawych włosach – wywoływało ją z zakamarków i stawiało mi przed oczami. Gdybym bywał na zjazdach absolwentów, a nie bywam, poleciałbym po bilet, przypiąłbym plakietkę z imieniem – tylko po to, żeby dowiedzieć się, co u niej, żeby sprawdzić, czy przyjdzie. Żeby zobaczyć, kim jest

teraz.

No i właśnie zobaczyłem. Usiadła na plastikowym krześle w kolorze wody, stojącym naprzeciwko mnie. Na sercu miała rozmazany czarny drukowany napis NYS DOCS <sup>1</sup>.

Nie pamiętała mnie. To było jasne. Nie zauważyłem żadnego sygnału, że mnie rozpoznała.

Nie wychylałem się więc. Co miałem powiedzieć? Wykrzyknąć jej imię? Spytać: „Co u ciebie?”, do cholery, „Z czym przychodzisz?”?

Nie. Kiedy próbowałem przetrwać tę sytuację – ona? tutaj? – podniosłem się i podszedłem do szafki w kącie, gdzie trzymałem przybory do herbaty: mały czerwony czajnik, pudełka z herbatą oolong i earl grey, papierowe kubki i plastikowe łyżeczki. Mój krótki rytuał herbaciany wprowadzał domową, przytulną atmosferę, dzięki czemu moje pacjentki mogły się trochę odprężyć. Oddawałem się mu na prawie każdej sesji. Trzęsącymi się rękami przygotowałem dwa kubki, wypłułem z siebie zwyczajowe powitanie, to jest:

– Witam, cieszę się, że pani przyszła, ustalmy podstawowe zasady: to, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie poza ten pokój.

Tę przemowę po sześciu miesiącach pracy mogłem wyrzucić z siebie, nie angażując mózgu. Podałem jej parującą herbatę, przyjęła ją z uśmiechem, który wywołał we mnie ukłucie. Wróciłem na swoje miejsce, uspokoiłem dłonie, obejmując nimi ciepły kubek. Notatka przypięta do jej kartoteki informowała, że właśnie wyszła z izolatki. Zapytałem ją o to. Ale nie usłyszałem odpowiedzi. Nie mogłem nic poradzić na to, że zatopiłem się we wspomnieniach.

Wspomnieniach, które przez wszystkie te lata pojawiały się w moich myślach setki razy, jak wpadający w ucho refren piosenki. Myślenie o tym przy niej, obecnej tu we własnej osobie, sprawiało, że nie mogłem usiedzieć w miejscu, chociaż udało mi się utrzymać profesjonalizm i nie wiercić się. Pamiętałem widok jej nagich pleców, mignięcie bieli jak flagi, a potem skrawek piersi, kiedy odwróciła się, by wziąć ręcznik z ławki. Jej włosy opadły na biust, idealnie pasowały do sutków – czerwień z odcieniem brązu. Jason DeMarea i Anthony Li krztusili się ze śmiechu. Ja byłem cicho i obolałymi palcami z całej siły trzymałem się betonowego parapetu, wciskając palce stóp w adidasach między cegły. To był mój pomysł. Zauważyłem, że otwarto okna, aby wpuścić świeże powietrze tamtego słonecznego, lekko tylko chłodnego listopadowego dnia. Zobaczyłem, że ta zawodniczka z drużyny biegaczek pierwszoklasistek po wyścigu idzie sama do szatni. Byłem na zawodach jako korespondent dla „Lincoln Clarion”. Miałem pisać o konkurencjach kobiecych junierek, nie o reprezentacji szkoły, a Anthony miał je fotografować. Daje to pojęcie o naszym statusie wśród personelu „Clarionu” i ogólnie w liceum Lincolna. W tamto wtorkowe popołudnie Jason DeMarea przywłókł się za nami z braku czegoś lepszego do roboty. Chichrali się z Anthonym Li, trącając się łokciami, a kiedy skończyła się ubierać (jasnoniebieskie sztruksy, bluzka ozdobiona błyszczącymi kwiatkami), odpadli od muru. Ja nadal do niego przywierałem, obserwując ją. Usiadła na ławce, żeby zawiązać sznurowadła wysokich do kostki butów. Potem chwyciła zwinięty w kulkę strój do biegania i wytarła nim oczy. Widziałem tylko fragment jej

twarży i słodkie ucho, ucho z intrygującym podwójnym kolczykiem, srebrnym kółkiem i malutkim srebrnym pegazem zaraz nad nim, któremu przyglądałem się w ukryciu, gdy siedziałem za nią na lekcji trygonometrii, zastanawiając się, czy oznacza to, że kocha konie, jest narkomanką, czy też cokolwiek innego, czego nigdy nie zgadnę. Nadal tarła oczy, napuchnięte od płaczu. Wyglądała na naprawdę smutną. A potem odwróciła wzrok i podeszła do otwartej szafki. Wrzuciła strój do środka. Na drzwiczkach była jakaś naklejka, ale nie mogłem odczytać, co było na niej napisane. Szarpnęła, oderwała ją i przedarła na pół. Zatrzasnęła szafkę i usiłowała wyrzucić naklejkę, ale ta przykleiła się do jej dłoni. Przez chwilę gapiła się na uparty zbitek papieru i zaczęła głośno płakać. Potem znowu otworzyła szafkę i ostrożnie umieściła zgniecioną naklejkę w środku. Zamknęła drzwi, potarła oczy rękami. Po chwili wyszła z szatni i zniknęła mi z widoku.

OTWORZYŁEM JEJ KARTOTEKĘ. PRZEBIEGŁEM WZROKIEM WYRAZY, nie czytając ich. Zapytałem o jej ostatni epizod w izolatce, zaczynając zwykłą diagnozę osobowości. Rozwijałem kolejne pytania z pamięci, ona odpowiadała. Stopniowo odzyskiwałem koncentrację. Słuchałem i nie powiedziałem nic o Lincoln High, o jej nagich piersiach, o zerwanej naklejce ani o tym, że to ja byłem tym chłopakiem, który na trygonometrii siedział za nią, w ostatniej ławce. Nie powiedziałem, że byłem na trybunie na każdym jej wyścigu w tamtym sezonie, kiedy biegała na bieżni. Że zgodnie z moją wiedzą wygrała tylko raz, właśnie tamtego dnia, tamtego słonecznego listopadowego dnia. Nie powiedziałem, co wiedziałem o jej ojcu – że był kongresmenem przez jedną kadencję – i nie powiedziałem, że kochałem się w niej skrycie każdego długiego

i żenującego dnia mojej nauki w szkole średniej. Ewidentne było, że mnie nie pamięta. Czy to mnie martwiło? Może trochę. Na pewno nie w sposób świadomy. W każdym razie nie dałem nic po sobie poznać.

Zakończyliśmy część diagnostyczną i wtedy powiedziała, że ma problemy ze spaniem. Hałas, nocne krzyki na jej oddziale. Splatała i rozplatała dłonie na brzuchu, i niepewnie spytała, czy są jakieś tabletki, które mogą jej pomóc.

– Po prostu muszę się wyłączyć na parę godzin – powiedziała.

Nie mogłem nie zauważyć, że lakier w kolorze pomidora na jej paznokciach był obgryziony. Jedna rzecz, która łączyła wszystkie moje pacjentki, to nieskazitelny, misternie wykonany manikiur – tęczce, palmy kokosowe, imiona chłopaków, paski z brokatu, gwiazdy i serca. Te kobiety nie skubały sobie skórek ani nie obgryzały paznokci. Szpanowały nimi. A jej paznokcie były krótkie. Zniszczone.

Zdałem sobie sprawę, że na niebieskiej karteczce wypisuję prośbę o zoloft. Wstałem z krzesła, obszedłem biurko i wyciągnąłem ją do niej. Stała obok. Była ode mnie niższa o głowę. Jej smutne spojrzenie, jej długie rzęsy. Rozproszone blade piegi. Siłą odwróciłem wzrok i wyprostowałem się, wyciągając każdy centymetr ciała w górę.

– Proszę to pokazać asystentowi doktora Polkinghorne’a, trzecie drzwi.

Obejrzała świstek i miękko podziękowała. Staliśmy oboje przez minutę. Prowadziłem ze sobą dyskusję w myślach, czy mam powiedzieć to, co – jak wiedziałem – powinienem powiedzieć.

– Hm, wie pani co? – zacząłem, ale potem powiedziałem coś innego. – Chciałbym wpisać panią na listę stałych pacjentek. Myślę, że możemy pani pomóc.

Uśmiechnęła się nieśmiało, melancholijnie.

– Wspaniale – powiedziała i odwróciła się do wyjścia. Jej kucyk podskakiwał, kiedy szła.

To, że pozwoliłem jej wtedy wyjść, nie ujawniając tego, co o niej wiem, było złamaniem zasad etycznych, pierwszym z serii, które popełniłem od tamtej pory. Wytyczne Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego w kwestii przeszłych związków z pacjentami są jasne. Powinno się o nich wspomnieć i jeśli taki związek może w jakiś sposób wpłynąć na obiektywność, należy przerwać terapię. Te zasady są napisane czarno na białym.

To wtedy przestałem je respektować. Do tamtej pory byłem przeciętnym, przestrzegającym prawa, kierującym się zasadami człowiekiem.

Ona zmieniła wszystko, choć nie było to jej zamiarem. Ta osoba w więziennym żółtym uniformie, o twarzy jak kwiat z ogródka przy domu. Ta, którą pamiętałem tak dobrze jako dziewczynę. Ta, której nie można zapomnieć.

Nie mogę tutaj używać jej imienia. Nazwijmy ją M. i idźmy dalej.

## 2

**MAJ 1999**

Miranda Greene urodziła się w Pittsburghu, w stanie Pensylwania. Większą część dzieciństwa spędziła na przedmieściach Waszyngtonu, a w maju swojej trzydziestej drugiej wiosny, jednym z najpiękniejszych miesięcy na Wschodnim Wybrzeżu, planowała umrzeć w Nowym Jorku. W Milford Basin w stanie Nowy Jork. A dokładniej w zakładzie karnym dla kobiet, który zajmował sto pięćdziesiąt cztery akry wycięte w lasach pełnych klonów i krzewów niedaleko miasta Milford Basin.

Jakiś Rockefeller czy inny Roosevelt albo po prostu ktoś bogaty był właścicielem rancza w latach dwudziestych dwudziestego wieku, tak mówili pośrednicy z biur nieruchomości potencjalnym nabywcom. Nieszczęśliwie – dla agentów nieruchomości – ta osoba bardzo angażowała się w pomoc dziewczętom, które zeszły na złą drogę. Dawny domek myśliwski przekształcono w zakład poprawczy, a teraz, po mniej więcej siedemdziesięciu latach, stał się on pełnoprawnym stanowym więzieniem o rygorze od łagodnego do średniego. Kobiet nie określano już jako krnąbrnych. Teraz były przestępczyniami, kryminalistkami i potrzebowały

czterometrowej odgradzającej siatki z grubego drutu z girlandą drutu kolczastego i uzbrojonych strażników.

Więzienie górowało nad średnio uroczym śródmieściem Milford Basin, obejmując szczyty dwóch okolicznych wzgórz. Dwa z nich leżały na terenie ogrodzonego kompleksu, a w środku była Miranda i układała swoje plany. Miała zamiar przedawkować tabletki. W systemie krążyło pełno leków, ponad połowa dziewczyn w Milford Basin otrzymywała od państwa proszki – personel medyczny codziennie wydawał xanax, lit, librium i prozac. Oczywiście pewne typy spod ciemnej gwiazdy oferowały je też w sprzedaży, jak wiele innych środków odurzających. Jednak często łatwiej było dostać receptę z ośrodka pomocy psychologicznej na podstawie diagnozy depresji, skłonności do agresji lub zwykłego lęku społecznego. Tabletki rozdawano hojnie, bo tabletki działały.

Miranda chciała umrzeć, ponieważ po prawie dwudziestu dwóch miesiącach w więzieniu nie sądziła, że odbycie pozostałej części kary ma sens. Wyrok obejmował tak nieprzyzwoitą liczbę lat, że unikała myślenia o jego dokładnej długości wyrażonej cyframi. Wolała myśleć o nim jako o drodze, która znika we mgle. Nie miała szans na zwolnienie warunkowe. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na wolność, będzie dużo, dużo starsza niż teraz. A obietnica smaku wolności, gdy będzie mogła cieszyć się starczym zniedołężnieniem, nie wydawała jej się wystarczającym powodem, by trzymać się swej ziemskiej powłoki. Chciała ją z siebie zrzucić.

Dlatego odwiedziła ośrodek pomocy psychologicznej. Chociaż nie podobał jej się pomysł, żeby gadać z lekarzem od wariatów.



Kiedyś matka zapisała ją do jednego, podczas burzliwych lat nastoletnich, po śmierci Amy. Nie chciała wsiąść do samochodu. Mówiąc wprost, nigdy nie była osobą, która oddaje się introspekcji. Ma to po ojcu. Ale w Milford Basin, gdzie wolny czas rozdawano garściami, nie mogła uniknąć zastanawiania się nad tym, co jej przypadło w udziale w życiu. Nic innego nie było do roboty. A dwa tygodnie w izolacji zaowocowały krystalizacją planu. Im głębiej szukała w sobie, tym bardziej stawała się pewna. Nie będzie czekała na kolejny ruch losu – czyż los nie pokazał jej już, kto tu rządzi, nie rzucił jej na kolana? Nie, teraz to ona weźmie los w swoje małe, bezsilne, uwięzione ręce.

W PONIEDZIAŁEK O 9.30 RANO MIRANDA PRZECHADZAŁA SIĘ WYASFALTOWANĄ ŚCIEŻKĄ łączącą budynki 2 A i B z długim niskim budynkiem administracyjnym, miejscem pracy lekarzy i psychologów. Minęła starą kobietę o imieniu Onida, która pozbywała się frustracji, uprawiając przydzielony jej mały ogródek. Nie dostała żadnych narzędzi ogrodniczych – przyrządy o ostrych krawędziach nie były tu mile widziane – więc wydrapywała wiosenną, pełną robaków ziemię gołymi rękami i zaimprovizowaną łopatką z kartonu, mrużąc pod nosem. Sadzonki petunii podarowane przez lokalny kobiecy klub ogrodniczy spoczywały obok. Spojrzała w górę, kiedy Miranda ją mijała.

– Bóg jest dobry, wiem to na pewno – powiedziała.

– Tak sądzisz? – odparła Miranda. Szła dalej. Słyszała za sobą mrużenie Onidy. Błękit nieba był niemal bolesny. Zapach skoszonej trawy, łagodna bryza ogrzewająca skórę. Nadal nie mogła się do tego przyzwyczaić. Spacer na zewnątrz, a nad nią

tylko kopuła wszechświata. Żadnego cementu, żadnych uwiecznionych dusz. Wyszła z izolatki zaledwie przed trzema dniami. Dwa tygodnie w izie, jak nazywały ją dziewczyny, w jakiś sposób spłaszczyły jej percepcję, jakby została sprasowana i wysuszona, jak egzotyczna sadzonka. Czy da się ją namoczyć i przywrócić do życia?

– Wątpię – wyszeptała do siebie.

ZNAŁA GO SKĄDŚ? NA PIERWSZY RZUT OKA BYŁO W NIM COŚ ZNAJOMEGO, może widziała już gdzieś tę twarz albo może po prostu był podobny do kogoś znajomego. Szaroniebieskie oczy, gęste blond włosy w lekkim nieładzie. Pod kilkudniowym jasnym zarostem wyraźnie zarysowana szczęka. Niebrzydki facet, nienachalnej urody. „Frank Lundquist”, przywołała nazwisko w pamięci, żeby sprawdzić, czy z czymś się jej kojarzy. Był pierwszym facetem bez więziennego munduru, z którym rozmawiała od prawie roku, nie licząc członków rodziny i prawników. Pewnie dlatego dziwnie się czuła.

– Witam – powiedział, przekładając w roztargnieniu papiery na biurku. – Miło mi, że pani do mnie przyszła.

Mówił głębokim głosem, robiąc przerwy. Nagle podniósł się z krzesła, zauważyła, że jest dość wysoki. Mały elektryczny czajnik szeptał na szafce w kącie, buchając parą. Stał odwrócony do niej plecami i przez dłuższą chwilę przestawiał kubki, recytując formułki o podstawowych zasadach:

– To, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie poza ten pokój.

Ale herbata była pyszna. Warto było tu przyjść dla niej samej. Usiadł i znalazł jej kartotekę, na którą gapił się przez parę minut.

Miranda ogrzewała sobie nos parą z herbaty i studiowała kosmyk włosów, który zsunął mu się na brwi, gładki jak skrzydło ptaka. Zastanawiała się, jak ma poruszyć temat leków.

W końcu podniósł na nią wzrok znad papierów i przemówił.

– Jest tu napisane, że właśnie wyszła pani z izolatki. Może mi pani opowiedzieć, co się stało, że tam panią wysłano?

Zdziwienie.

– Nie ma nic o tym w papierach?

– Chciałbym usłyszeć pani wersję. – Oparł się na krzesło. Zerkał na nią co chwilę.

„To może mnie wkurzyć”, pomyślała.

– Moja wersja... – Pozwoliła sobie na delikatny uśmiech. – Nie sądziłam, że mogę mieć jeszcze jakąś swoją wersję.

Przytaknął.

– Rozumiem. – Podrapał się po brodzie. Odgłos pocierania o papier ścierny. – Proszę się nie spieszyć. Mamy czas.

OBSERWOWAŁA POSTRZĘPIONE STRUŻKI BIAŁOŚCI, SUGESTIĘ CHMUR ZALEDWIE. Patrzyła, jak się przesuwają, przez małe okno dwa i pół metra nad jej głową. Leżała w kącie swojej celi w izbie, usiłując wyglądać przez okno, które zaprojektowano tak, żeby nic nie było z niego widać. Gdy oddawała się kontemplacji smug, powoli dotarł do niej rytmiczny odgłos, przypominający turkot czy dudnienie. Niski powtarzalny ton, który przypominał jej, w jakiejś pierwotnej części jej jestestwa, wczesne dzieciństwo. Nie miała pojęcia, co to mogło być.

Podeszła do drzwi i wyjrzała przez okienko rozmiarów gąbki do mycia naczyń zrobione z hartowanego szkła. Zobaczyła tylko drzwi

celi naprzeciwko, za którymi była Patti. Patti zabiła chirurga podczas kłótni dotyczącej płatności ubezpieczenia Blue Cross/Blue Shield.

Miranda przycisnęła ucho do małej metalowej klapki, otwieranej trzy razy dziennie, gdy przynoszono posiłki. Przez cienką stal dudnienie dobiegało wyraźniej.

Położyła się na podłodze, ochlapanej niedbale szarą grudkową farbą i wiecznie zimnej, przycisnęła usta do dwucentymetrowej szpary pod drzwiami.

– Patti.

Bez odpowiedzi. Spróbowała ponownie. Nagle rozpoznała ten dźwięk. Patti chrapała, sapiąc donośnie. Chrapała tak jak tata Mirandy. Miranda słyszała ten dźwięk, kiedy budziła się ze snu jako mała dziewczynka. Patti spała. Patrizia Melvoin, transgenderowa seropozytywna oszustka z Morrisanii, z Bronxu chrapała dokładnie tak samo jak Edward Greene, kongresmen z dwudziestego ósmego dystryktu Pensylwanii.

Miranda usiadła na podłodze i zachichotała. Śmiała się i śmiała, a dźwięk własnego śmiechu był obcy dla jej uszu i zmusił ją, by się uspokoiła. Chrapanie nie ustawało.

To był jej ostatni dzień w izie i ciągnął się już całe wieki. Zezowała w górę na łatę nieba. Na pewno minęło już południe. Zwykle strażnicy zwalniali więźniarki z izy rano. Skąd to opóźnienie? Pomyślała o swoich zdjęciach, ubraniach, zupce chińskiej, które czekały na nią w zamkniętym magazynie na oddziale. Rozpięła flanelowy uniform w brudnożółtym kolorze. Przypominał jej szlafroki, które wraz z Amy dostawały ku swemu

rozczarowaniu od babci Rosalie pod choinkę. Dużo bardziej wolałyby jedną z tych lalek, którym można zmieniać fryzury i robić makijaż, albo bębenek z pałeczkami, taki z jakimi występują na paradach mażoretki, albo ślicznego króliczka, którego mogłyby trzymać w domu. Zastępczy uniform dostała, kiedy w karcerze zabrali jej standardowy. Zrzuciła go z siebie i zsunęła państwowe majtki. W izie nie można było mieć własnych ubrań, więc nawet na tyłku nosiło się napis NYS DOCS. Kontemplowała przez chwilę stalowy sedes bez klapy, bez siedzenia, gapiące się zamarzniete gardło. Usiadła. I zaczęła podskakiwać. Szybko.

Czternaście dni temu nie zrobiłaby tego. Kiedy Patti opowiedziała jej o tym szczególnym hobby, odparła:

– Nigdy nie będę tak głodna rozrywki.

Patti zachichotała.

– Nie ma tu kablówki. Ani „Reader’s Digest” do czytania.

Pierwsze parę dni dawała radę. Przemyciła tabletki nasenne, które wcisnęła jej Lu, kiedy stało się jasne, że skończy w izie. Po dwie w każdej dziurce od nosa. Była pewna, że zorientują się, bo oddychała przez usta, ale nic nie zauważyli. Tabletki miło ją odurzyły. Ale skończyły się, a ona mogła tylko gapić się na łąkę nieba, na którym zaczęły pojawiać się chmury przypominające Lewisa Pattersona, Duncana i jeszcze gorsze. Te powtórki filmów w głowie szybko ją wykończyły, była w desperacji, dałaby wszystko, żeby mieć czym zająć umysł, żeby wypełnić go czymś i wygasić wszystkie myśli.

Więc przysiadła na sedesie i podskakiwała. Odbijała się jak piłka. Na początku sceptycznie. Nawet się zaśmiała. Ale zabawne.

Śmiała się, ale kontynuowała, jakby jadąc w angielskim siodle, tak jak robiła to na obozie Piney Top w górach Allegheny w wieku lat dziewięciu. Wtedy usłyszała odbijający się echem haust. Na pewno jej podskoki zadziały jak przepychacz i woda została wessana z powrotem do rur w dole, zostawiając puste miejsce na górze. Uklękła obok toalety, zacisnęła oczy, zatkała nos i włożyła głowę do miski klozetowej.

Usłyszała głosy.

CIEMNE GARNITURY SZYTE NA MIARĘ, JASNE WŁOSKIE KRAWATY Z GRUBEGO JEDWABIU zaciśnięte w napuchnięte węzły. Do tego dobrane poszetki. Jednego dnia w kolorze pawim, innego w głębokiej purpurze ze złotymi liliami. Miranda czasem zastanawiała się, czy to dlatego skończyła z tak szokująco długim wyrokiem. Jej adwokat ociekał pieniędzmi. Członkowie ławy przysięgłych – kucharz z pizzerii czy kierowca odśnieżarki – wyobrażali sobie, że zestrzelą siedzącą wyniośle na górze pieniędzy księżniczkę. Nie wiedzieli, że odziedziczona fortuna, o której pisano w gazetach, kapitał Greene'ów z Pittsburgha zbudowany przez dekady na rozkładanych stołach, kanapach i krzesłach ogrodowych o zaokrąglonych oparciach, dawno został wydany. Gros pieniędzy wypłynęło na reklamy w ostatniej, przegranej kampanii ojca. Alan Bloomfield, koneser ekscytujących włoskich krawatów i poszetek, stary przyjaciel rodziny, dla jej ojca był jak brat. Kochał się w jej matce. Dawał im duży upust na swoje usługi.

Bethanne Bloomfield, córka Alana, była w tym samym wieku co siostra Mirandy, Amy. Przez jakiś czas bardzo się przyjaźniły, chodziły razem do centrum handlowego Twin Oaks, do kina,

zamykały się w pokoju Amy. Para czternastoletnich poszukiwaczek przygód. Miranda pamiętała, jak kiedyś stała w drzwiach do pokoju siostry. Nastolatki stroiły się na szkolną potańcówkę. Układały włosy, kręciły je lokówką. Pokój pachniał jak zakład fryzjerski. W pobliżu nie było dorosłych. Stojnisie postanowiły przeprowadzić najazd na toaletkę Barbary Greene, gdzie stały buteleczki prawdziwych perfum. Zatrzymały się przy intrygujących nazwach, Opium i Skin Musk. Potem Bethanne otworzyła szufladę w szafce nocnej Edwarda Greene'a i znalazła opakowanie prezerwatyw Trojan.

– Używają gumek?! – zapiszczała.

Amy wyrwała jej pudełko. Przeczytała etykietę, a potem powiedziała, marszcząc brwi:

– Moja mama ma spiralę.

Bethanne przejęła pudełko, wyjęła jedną z małych kopertek i schowała do kieszeni. Wtedy Amy też wzięła jedną, zanim wrzuciła pudełko na miejsce.

Miranda nie wiedziała, co to spirala, a kiedy spytała o to później siostrę, ta nie chciała jej powiedzieć.

Potrafiła spędzać tak całe godziny, goniąc za chwilami z najwcześniejszych lat, odpryskami bezpiecznej, odległej przeszłości. Ale w jakiś sposób wspomnienia prowadziły ją w niebezpieczne miejsca. Bethanne teraz sama była prawniczką, jej mąż – również. Mieszkali w kompleksie domków szeregowych w Bethesdzie. Od Bethanne jej myśli poszybowały do Alana Bloomfielda, który sztywno siedział po jej lewej stronie, delikatnie stukając ołówkiem w swój notatnik i obserwując, jak przegrywają

sprawę.

Od niego, choć próbowała to zatrzymać, ciąg myśli doprowadził ją do kobiety stojącej przed sądem, jej rozkazującego tonu, mimo drżącego głosu, jej zmęczonego ciała, dostojnej siedziby nerwów i smutku.

– Mój brat był kawalerem. Był urzędnikiem w wojsku w Sajgonie. Należał do Ochotniczej Straży Pożarnej. Był dobrym człowiekiem. – Wybuchła płaczem. Nigdy nawet nie spojrzała w stronę Mirandy.

WŁADZE STANU ZNAŁY JĄ JAKO 0068-N-97, PONIEWAŻ W TAMTYM ROKU BYŁA SZEŚCZDZIESIĄTĄ ÓSMĄ więźniarką przyjętą do Zakładu NYS DOCS, to jest Zakładu Karnego w Milford Basin. Była osadzona w oddziale 109 C, w celi numer 34, ostatniej na południowym krańcu skrzydła wschodniego.

Strażniczka Beryl Carmona była jej starotestamentowym Bogiem, srogim, ale często kochającym, wszechmogącym i przerażająco nieprzewidywalnym. Lu, która podeszła do niej ukradkiem pierwszego dnia na oddziale, objęła ją ramieniem i wymruczała komentarz o szefowej strażniczek:

– Carmona jest bardzo bystra w swojej głupocie – ostrzegła. – Uważaj na nią.

Ludmilla Chermayev, ostatnio zamieszkała w Moskwie i Sheepshead Bay, miała rację w tej kwestii i w każdej innej dotyczącej Milford Basin, jak przekonała się Miranda. Podczas pierwszego miesiąca na oddziale Carmona dała Mirandzie dwanaście nagan.

Barb Greene nie mogła pojąć, w jaki sposób jej córka popełniła



taką liczbę wykroczeń przeciw dyscyplinie, że brakowało jej tylko jednego, by skończyć w izie.

– W szkole tylko cię chwalili, mówili, że jesteś bardzo dobrze wychowana. Miałaś najlepsze zachowanie w czwartej klasie. –

Pociągała nosem, przykulona pod hałasem panującym w pokoju odwiedzin, drąc na paski chusteczkę higieniczną. Matka Mirandy tym razem bardzo się starała nie płakać, ale znowu jej się nie udało. Niezliczone chusteczki, przesunięte soczewki kontaktowe.

– Dlaczego po prostu nie możesz stosować się do reguł, kochanie? – błagała Barb. – Chociaż spróbuj.

Ale Miranda przestrzegała zasad, starała się. Nie zwariować i trzymać się z daleka od kłopotów, nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy i odsiadywać wyrok – taki pakt zawarła sama ze sobą pierwszego tygodnia. Napisała nawet tę przysięgę w Biblii należącej do April Nicholson, skoro April, rządząca w celi naprzeciwko Mirandy na oddziale dla nowo przyjętych, nalegała.

– Jesteś dokładnie taka jak ja – powiedziała pierwszej, strasznej nocy ze śmiertelnie poważnym wyrazem na okrągłej twarzy. Jej błyszczące brązowe policzki, śliczne ciemne oczy i śliwkowe usta dawały jakieś pocieszenie, stanowiły błysk piękna w ciemnym korytarzu.

– Nie jestem twardzielką, nigdy nią nie byłam i nigdy nią nie będę – powiedziała April tym głosem, któremu Miranda nauczyła się ufać, niskim, z cieniem południowej miękkości. – Rób to, co ja, a nie będziesz tu miała problemów.

Miranda nie stanowiła problemu. Problemem była Beryl Carmona. Tej nocy, kiedy przeniesiono ją z oddziału dla nowych,

gdy ciągnęła za sobą po podłodze więzienne łańcuchy w czarnym worku foliowym, a April szła za nią, niosąc jej książki i przybory do pisania, Carmona czekała na nią w 109 C.

– Masz przed sobą szefową na tym oddziale – powiedziała, wskazując swoją plakietkę. Brązowe kręcone włosy okalały długą szczękę, a kiedy szła, kajdanki i latarka opadające na biodra obijały się o siebie. Przednie kieszenie munduru otwierały się jak małe uszy. Zerknęła na stertę książek w rękach April i odwróciła się z uśmiechem do Mirandy.

– Czytasz? Ja też. Świetnie. Będziemy miały o czym porozmawiać. Ale niech cię nie widzę w tych japonkach. – Pokazała niebieskie gumowe klapki Mirandy.

– Dostałam je w magazynie.

– Wkłada się je pod prysznic. Nie lubię widoku palców u stóp.

Otoczał ją krąg kobiet przypatrujących się z prostoduszną ciekawością. Wszystkie nosiły japonki. W końcu na oddziale panował zaduch i było gorąco.

Carmona podążyła za jej wzrokiem i wydała z siebie przesadne westchnięcie.

– Proszę, nie szukaj inspiracji wśród tych kobiet. Są żałosne, bez wątpienia, urodziły się żałosne. Dla ciebie mam wyższe standardy.

– Puściła do niej oko i zamachała pękiem kluczy. – Po prostu podobasz mi się. Naprawdę. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Carmona często nazywała ją Majową Panienką. Inne strażniczki nazywały ją Wielmożną Panienką. Dziewczyny zwykle wołały na nią Panienska Vidal Sassoon albo Lady Vidal Sassoon.

– Ma włosy jak z reklamy Vidal Sassoon – zauważyła kiedyś

Chica w kuchni, podczas pierwszego tygodnia Mirandy, spoglądając na nią znad garnka z fasolką. Machnęła w jej stronę drewnianą łyżką, wskazując jej grube, błyszczące, kasztanowe włosy. Bardzo jej urosły, teraz sięgały poniżej łopatek. – Jak mój brat – dodała Chica. – Błyszczące włosy Vidala Sassoon. Myje je dwa razy dziennie. Zawsze szamponem Vidal Sassoon. Zawsze.

– Ona też sassoonuje włosy, to widać – dorzuciła inna dziewczyna.

Dziewczyny mówiły w ten sposób w obecności obgadywanej osoby. Miranda wiedziała, że jej uczestnictwo w rozmowie nie jest oczekiwane ani pożądane. Odgoniła tylko muchę z kanapki z dżemem z winogron i wróciła do czytania o losach Tessy d’Urberville. Nie przeszkadzało jej, że przezywają ją Panienką Vidal Sassoon, wcale. Trzeba przyznać, że zawsze była dosyć dumna ze swoich włosów i teraz cieszyła się, że nadal są tak błyszczące. Od tygodni nie używała odżywki do włosów. Instrukcje: „Nałożyć grubą warstwę, przeczesać grzebieniem, odczekać pięć minut, spłukać” nie miały raczej zastosowania w łazience więziennej.

Chica miała dywanik łazienkowy. To właśnie za to Miranda dostała trzynastą naganę, tę, przez którą wylądowała w karczerze. Pudroworóżowy, kudłaty, tylko trochę brudny na brzegach. Miranda pożądała go od pierwszego wejrzenia, bo przypominał jej hotel Flora w Rzymie. Miała dwanaście lat, jej ojciec brał udział w jakiejś konferencji. Organizatorzy pokrywali wszystkie wydatki. Tata, mama, Amy i Miranda, wszyscy za darmo w hotelu z podłogami z ciemnozielonego marmuru i białymi amorkami

fruwającymi po sufitach. Co wieczór pokojówka przygotowywała łóżka do spania i kładła gruby różowy ręcznik na chłodnej posadzce obok szafki nocnej.

– Żeby nie zmarzły ci stopy – powiedziała matka. – Ostatnią rzeczą wieczorem i pierwszą rzeczą rano jest przyjemność dla stóp.

Kiedy Miranda zobaczyła dywanik, od razu zrozumiała, że gdyby mogła zapewnić sobie przyjemność dla stóp, miałyby szansę przynajmniej częściowo zachować zdrowie psychiczne.

Poruszyła ten temat któregoś razu podczas obiadu. Jak zwykle Dominikanki skupiły się wokół mikrofalówki i kobiety, którą wszystkie nazywały Mami. Przywiedła dama, która kiedyś prowadziła kryjówkę w Inwood, podawała posiłki złożone z pomidorów w puszcze i ryżu. Większość Latynosek nie jadła w stołówce, oprócz kilku, które należały do załogi Marcy. A Miranda była raczej mile widziana w kręgu kuchennym, za co była wdzięczna. Jedzenie było przyzwoite, żałowała tylko, że w liceum nie uczyła się hiszpańskiego zamiast niemieckiego i francuskiego. Wtedy mogłaby nadążyć za konwersacją.

W każdym razie zrozumiała, że uznano apelację i Chica za tydzień wychodzi.

Bez zastanowienia wypaliła:

– Mogę dostać twój dywanik, Chica? – Dziewczyny zaczęły nerwowo chichotać.

– Dama Vidal Sassoon chce twój dywanik, Chica – powiedziała jedna.

Chica uśmiechnęła się do niej, łagodnym, szczerbatym uśmiechem.

– Wpadnij do mojego pokoju, jak będę wychodzić. Myślę, że tak.

Dziewczyny i nawet strażniczki nazywały cele pokojami, jakby wszyscy byli gośćmi w hotelu Flora.

W dniu zwolnienia Chiki atmosfera w więzieniu była napięta, bo poprzedniej nocy jakaś kobieta z oddziału D dostała konwulsji po spożyciu mieszanki sfermentowanego tosta, cukru, obierków z jabłek red delicious i paru kropli spreju do ciała o zapachu brzoskwini. Pozamykano je w celach, w których przeprowadzano rewizję przez cały ranek. U czterech kobiet znaleziono samogon i wysłano je do karceru. Pełna bólu złość pulsowała wzdłuż korytarzy tamtego popołudnia, kiedy Miranda poszła do odległego krańca bloku, gdzie Chica pakowała swoje rzeczy. Z drugiej strony korytarza kobieta zwana Dorcas, tyczkowata i silna, o twarzy twardej jak orzech, rzuciła komentarz:

– Moją apelację sędzia odrzucił. Chica dostała zwolnienie. Ale gdyby Dorcas dostała zwolnienie, strażniczki miałyby gówna do roboty.

– Ta, ta, Dorcas – odezwał się za nią głos. Jej giermek, ciastowata dziewczyna o imieniu Cassie, leżała na jej łóżku, mażąc sobie po ziemistej stopie pisakiem. – Jesteś tu tylko po to, żeby strażniczki miały robotę.

– Chica – powiedziała Miranda. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy parę dni temu?

– Spójrz na jej ramiona. Potwornie chude – powiedziała Dorcas, patrząc na nią ze wstrętem.

– Myśli, że jest kimś – dodała Cassie.

Chica wzięła do ręki swój dywanik prawie ze smutkiem.

– Nawet ci go uprałam, kochana. Dostałam go od siostry. Miło mieć taką rzecz. – Pogłaskała różowy, kosmaty dywanik, jakby był zwierzątkiem, i dała go Mirandzie.

– Tak się cieszę, że wychodzisz, Chica – wymamrotała Dorcas.  
– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Chica spojrzała gniewnie i ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami. Zasłoniła swoje wejście płachtą podrapanej ceraty. Nazywały to zasłoną prywatności. W zamierzeniu zasłony były przezroczyste, ale dziewczyny miały swoje sposoby, żeby nie było nic widać. Sięgnęła pod materac i wyciągnęła malutką żyłkę.

– Czasem tu się robi zamieszanie. Używałam wtedy tego. – Wcisnęła żyłkę do ręki Mirandy. – Ukryj ją dobrze – wyszeptwała.

Miranda schowała ją do kieszeni, zwinęła dywanik i poszła do swojej celi. Ukryła żyłkę w przerwie między ścianą a umywalką. Potem rozłożyła dywanik na podłodze obok łóżka, ściągnęła adidas i wystawiła bose stopy na ciepłą pieszczotę włoskiego materiału. Położyła się na łóżku, nadal trzymając stopy na dywaniku. Spędziła tak dwie godziny, myśląc o hotelu Flora, starając się przywołać w pamięci każdy szczegół tej wycieczki do Rzymu: dziwny sposób otwierania okien, to, jak zazdrościła rzymskim dziewczynom jadącym z tyłu na skuterach swoich chłopaków. Matka czytała im przewodnik na Forum Romanum, wszędzie były niesamowite błyszczące kwiaty i drzewa pomarańczowe. Amy, z blond lokami, w obcisłych džinsach przyciągała spojrzenia mężczyzn w tramwajach. Ojciec usiłował rozszyfrować rachunki w restauracjach. Miała dwanaście lat.

Rodzina była w komplecie, nienaruszona.

Tuż przed wieczornym apelem Carmona pojawiła się w jej drzwiach, a za nią Dorcas i Cassie.

– Mówiłam ci – powiedziała Cassie. – Tu jest.

– Hmm, Majowa Panienko. – Strażniczka kroczyła w jej stronę, gdy ona siadała na łóżku. – Zawiodłam się na tobie. Ukraść dywanik tej smutnej cipie.

– Gówno prawda.

– Mam cię ukarać za używanie niecenzuralnych słów?

– Myślę, że to ją powinnaś ukarać za wulgarność.

Carmona odwróciła się do Dorcas.

– Stul pysk, kurwa.

Wróciła do Mirandy.

– Ukarzę cię za przeklinanie, jak nie oddasz mi tego dywanika.

Nie należy do ciebie.

Miranda usiadła na dywaniku.

– Chica mi go dała.

– Chica mi go dała, bo mi go obiecała, i obietnicy dotrzymała – zanuciła Cassie wkurzającym głosem.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Walczę o dywanik łazienkowy.

– Już nie jesteś w Białym Domu – zauważyła Dorcas z satysfakcją.

– Dostajesz naganę za kradzież. Zostaniesz wezwana na przesłuchanie. A teraz oddaj mi ten przeklęty dywanik. –

Strażniczka, szurając, zbliżyła się do Mirandy, która ścisnęła dywanik obiema rękami i nadal na nim siedziała.

– Nie oddam.

Carmona wyciągnęła rękę, żeby go chwycić, Miranda zrobiła unik. Machnęła ręką i walnęła w ramię strażniczki młóćące powietrze. Przy drzwiach celi zebrała się już spora grupka kobiet. Piszczwały w podnieceniu, bo wszystkie wiedziały, jak to się skończy.

– To atak! – wrzasnęła Carmona triumfalnie, prostując się, i zrobiła dwa kroki do tyłu. – Masz przejebane, Majowa Panienko.

Dziewczyny były rozgorączkowane, właśnie stały się naocznymi świadkami podniecającego zajścia. Carmona wyjęła z tylnej kieszeni zeszyt z naganami, odpędzając tłum gapiów ręką.

– A co z moim dywanikiem? – zawodziła Cassie.

– Niedługo go dostaniesz – odpowiedziała Carmona.

Tłum rozproszył się, strażniczka wróciła do swojego stanowiska, wymachując potężną bronią w postaci zeszytu z naganami. Wyjęła z kieszeni długopis i zdjęła zębami szpiczastą skuwkę.

MIRANDA JESZCZE MOCNIEJ ZACISNĘŁA POWIEKI I PRZYSTAWIŁA UCHO jeszcze bliżej odpływu. „Już nigdy nie znajdziesz się w tym miejscu”, obiecała sobie.

– Moja mama kocha się w Johnie Wayne. – Rozpoznała ten głos, należał do Viv, kobiety w pierwszym skrzydle, tej, która miała widok na biurko. Weszła jej w słowo i poprosiła, żeby sprawdziła, czy widzi gdzieś eskortę.

W rurach rozległy się śmiechy.

– Poczekaj, zaraz zobaczę – powiedziała Viv.

W rurach zapadła cisza, a potem dało się usłyszeć przepełnione złością mruczenie:



– Ta suka wychodzi.

Wróciła Viv.

– Strażniczka jest teraz tutaj, kochanie. Wygląda na to, że wypełnia jakieś papiery. Za chwilę wyjdiesz z izy.

Miranda usiadła na podłodze obok sedesu, oparła głowę o zimną ścianę. Wtedy w okienku pojawiła się różowa szeroka twarz Carmony, ucięta na wysokości brwi. Uśmiechała się, gdy szczękał potrójny zamek. Drzwi otworzyły się na oścież.

– Wracaj do siebie, Majowa Panienko – powiedziała z sympatią, która wyglądała na prawdziwą. – Wszystko już wybaczone.

Miranda nie potrafiła powiedzieć, czy wiedziała, co się stało, zanim strażniczka z izy przyszła po nią dwa zadziwiająco długie tygodnie temu. Dorcas przechadzała się przed jej celą, zatrzymując się w drzwiach.

– Cassie mówi, że możesz sobie zatrzymać pieprzony dywanik. Mówiłam jej, żeby tego nie robiła. Kradłam, co do mnie nie należało, ale nigdy nie utrzymywałam, że coś jest moje, jak nie jest. Kminisz?

Miranda faktycznie zrozumiała, śmieszne. Logika więzienna zaczęła mieć sens.

OPOWIEDZIAŁA TO WSZYSTKO FRANKOWI LUNDQUISTOWI. POTEM ZAMILKŁA, siorbiąc stygnącą herbatę. W końcu podniósł wzrok znad notatek i nieznacznie skinął głową. Jakiś cień przemknął mu po twarzy, a może to światło inaczej padało? Zerknęła na okno za jego głową. Rozświetlone błękitne niebo, długonogi krzew widoczny z okna sutereny. To pewnie wiatr w gałęziach rzucał cienie tańczące w pokoju.

– Chciałbym przeprowadzić badania diagnostyczne – powiedział. – Żeby wiedzieć, na czym stoimy.

– Jasne – przytaknęła.

– Proszę, żeby pani komentowała kolejne zdania, mówiąc „prawda” lub „fałsz”, na początek: „Bardzo rzadko marzę”.

– Prawda. Czy to test MMPI <sup>2</sup>? Robiono mi już milion testów.

– Niech mi pani zrobi tę przyjemność. Wiem, że to brzmi śmiesznie.

– Jasne. Proszę pytać, chętnie odpowiem. – „O ile wyjdę stąd z lekami”, pomyślała. Ale teraz była już pewna, że je dostanie. Jest zbyt otwarty, żeby pracować w więziennictwie. Zbyt ludzki.

– „Matka często zmuszała mnie do posłuszeństwa, nawet kiedy myślałam, że jej wymagania są bezsensowne”.

– Prawda. Ale była dobrą mamą.

– Nie wątpię. Proszę odpowiadać tylko „prawda” lub „fałsz”.

Powiedział to łagodnie, nie było w tym reprimendy. Korytarzem przeszły dwie strażniczki, ich głosy odbijały się echem. Rozmawiały o zapłacie za nadgodziny.

– „Czasami moje myśli pędziły szybciej, niż mogłam je wypowiedzieć”. – Oparł się na obrotowym krześle, podkładkę z papierami trzymał na kolanie. „Wygląda, jakbym go zdeorientowała”, pomyślała Miranda. „To raczej normalne. Sama siebie dezorientuję. Dogłębnie”.

– Prawda.

– „Nadużywałam alkoholu”.

– Nieprawda.

– „Czasami w młodości kradłam”.

– Nieprawda. Oprócz tego razu z pierścionkami matki. Czy to się liczy?

– „Nie mam wrogów, którzy naprawdę chcą mi zrobić krzywdę”.

– Prawda.

Notował coś. Czoło znaczyły mu zmarszczki mimiczne, choć były widoczne tylko wtedy, kiedy podnosił brwi. Co robił za każdym razem, gdy zaczynał pisać. Wydało jej się to sympatyczne. Znowu zadała sobie pytanie: „Znam go?”. Wyglądał, jakby był w jej wieku albo parę lat starszy. Mogła go widzieć gdziekolwiek, w samolocie, w kolejce do przekąsek na weselu przyjaciół. Spojrzała. Nie miał obrączki.

Znów podniósł na nią wzrok.

– „Nigdy nie zrobiłam nic niebezpiecznego tylko po to, by poczuć dreszcz emocji” – powiedział.

– Słucham? – spytała. – Nie usłyszałam.

– „Nigdy nie zrobiłam nic niebezpiecznego tylko po to, by poczuć dreszcz emocji”.

Czy to łzy kręciły się w jej oku? W jaki sposób pojawiły się tak nagle? Zamrugła mocno. Zmusiła się, by spojrzeć w jego szaroniebieskie oczy.

– Nieprawda – odpowiedziała.

### 3

## **NIGDY NIE UCIEKAĆ SIĘ DO PODSTĘPU ANI NIE WPROWADZAĆ PACJENTA ŚWIADOMIE W BŁĄD**

(Zasada C)

Muszę to przyznać, byłem ciekawy.

Ciekawość to emocja niedopuszczalna u specjalistów zajmujących się zdrowiem psychicznym, a właściwie u każdego przedstawiciela personelu medycznego. Zaspokojenie ciekawości jest równoznaczne z zaspokojeniem pragnienia, a psycholog nie powinien zajmować się zaspokajaniem swoich pragnień ani nawet rozmyślaniami o swoich pragnieniach podczas pracy z pacjentem.

Ale jak mogłem nie być ciekawy M., tej dziewczyny, która zmieniła się w kobietę, która świeciła jak gwiazda w mojej pamięci i zawsze wydawała się kluczową postacią historii mojego życia, choć w zasadzie chyba nawet nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Po jej wyjściu z gabinetu długo siedziałem, przeglądając jej kartotekę. Stało się dla mnie jasne, że została skazana za ciężkie przestępstwo. Nie chodziło o defraudację ani o drobne wykroczenie pod wpływem narkotyków. M. siedziała za morderstwo.

Zrobiłem sobie dziesięciominutową przerwę od robienia notatek,

którą spędziłem, rzucając małą piankową piłką do kosza zawieszzonego po wewnętrznej stronie drzwi do mojego biura. Dawałem ją bardziej niespokojnym pacjentkom, które potrzebowały czegoś więcej niż herbaty. Niektóre lepiej uspokajały się w ruchu. Ostatnio to ja częściej korzystałem z piłeczki. Rzucanie do kosza uspokajało mnie, nie ma jak dobrze trafiony rzut o tablicę. W wolnych chwilach dla relaksu chodziłem na plac zabaw w parku Riverside. Byłem wysoki i miałem niezły dwutakt. Okoliczne nastolatki czasami wyrażały swoje uznanie. Mogło to dawać satysfakcję, szczególnie jeśli w dzieciństwie było się niezdarą. Wtedy też szybciej mijał mi czas w te ciepłe weekendy, kiedy miasto się wyludniało i człowiek czuł się dość samotnie.

Jednak tego popołudnia nie trafiałem.

Musiałem założyć, że była winna. Biała, z koneksjami, bogata. Nie pasowała do stereotypu niesłusznie skazanej. Żeby spaść na samo dno, lądując w nędznych wnętrznościach NYS DOCS, musiała popełnić parę rażących błędów. Dlaczego? Jak?

Tak, byłem ciekawy i to było złe. Ale decyzję podjąłem też z innych powodów – decyzję, by nie ujawniać naszej wspólnej przeszłości.

Obawiałem się, że jeśli o tym powiem, ona zamknie się w sobie.

A czułem, że powinienem pomóc jej, jak tylko potrafię.

Nie była potrzebna wspólna przeszłość, wyniki testów ani stopień naukowy. Nie trzeba było nic o niej wiedzieć, żeby zauważyć, że była w strasznym stanie emocjonalnym. A na tym polegała moja praca, prawda? Uspokajanie emocjonalnych gównoburzy. Budżet Milford Basin nie przewidywał

długoterminowej terapii, podatnicy nie zgodziliby się za nią płacić. W zamian uciekano się do interwencji kryzysowej.

A to była sytuacja kryzysowa, ktoś powinien zainterweniować, a my chodziliśmy po tych samych szkolnych korytarzach. Dlatego byłem przekonany – to mnie, konkretnie mnie potrzebowała do interwencji.

Spudłowałem osiemnaście razy, zanim w końcu trafiłem.

PRZEZ RESZTĘ PORANKA PRZEGLĄDAŁEM OCENY NOWO PRZYJĘTYCH, potem odbyłem sesję ze stałą pacjentką, na wpół ślepą siedemdziesięcioletnią Brazylijką, która siedziała za przemyt kokainy w lasce. Na lunch zjadłem sałatkę szefa w stołówce pracowniczej znajdującej się pod salą gimnastyczną więźniarek. Towarzyszył mi nieustanny tupot i odgłos kozłowania. Nasza czwórka z ośrodka pomocy psychologicznej zawsze siadała razem, oddzielona od innych, w rogu najbliższym drzwi. Strażniczki, które w czekoladowych mundurach wyglądały jak stado bawolic o szerokich barach, zajmowały tył sali, pod wnękami okiennymi, które wpuszczały jedyne naturalne światło i dostarczały świeżego powietrza do śmierdzącej jedzeniem kantyny. Nie ufały nam. Strażniczki z jakiegoś powodu uważały, że w nieskończonych wersjach wojny kolorów w Milford Basin trzymaliśmy z żółtymi – więźniarkami – a nie z brązowymi. Co w moim przypadku było dość niesprawiedliwe. Mimo że podczas sesji moje pacjentki często dawały upust swoim żalom dotyczącym strażniczek, nadal miałem wiele współczucia dla personelu więziennego. Ktokolwiek uważa, że ma trudną pracę, powinien popracować jak one! Nic dziwnego, że prawie wszystkie miały problemy z nadwagą. Uważam, że zaburzenia jedzenia związane z kompensacją były wśród nich

powszechnie. Szczerze mówiąc, wystarczyło spojrzeć na ich tace z obiadem.

W każdym razie wiem, że Suze Feeney miała złe nastawienie do strażniczek. Po cichu nazywała je nawet „świniami”.

– A ta, jak jej tam, ta Villanovo to po prostu Hitler – wysyczała, kiedy strażniczka przemaszerowała dumnie z porcją lasagne rozmiarów książki telefonicznej. Suze miała włosy obcięte na jeża, nosiła szale z frędzlami, zwiewne spódnice i kowbojki. Specjalizowała się w uzależnieniach i była założycielką oraz redaktorką „Przeglądu Terapii Indywidualistycznych”. Mogłem jej tylko pozazdrościć stosunków z więźniarkami.

– No, Frank, co sądzisz o tym przypadku, który ci wysłałam? – spytała.

– Skomplikowany profil – zająknąłem się. Obok mnie, pochylona nad talerzem chili z fasolą, cicho zachichotała Corinne Masterson. Opanowana, z królewską głową ozdobioną misternymi splotami cienkich warkoczyków, chodziła na kursy wieczorowe do szkoły medycznej i ostrzyła sobie zęby na posadę Charliego. Odłożyła łyżkę.

– Przydzielono ją mnie, Frank, ale pomyślałyśmy, że tobie się spodoba, więc ci ją odesłałyśmy. – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. – Stwierdziłyśmy, że stanowicie lepszą terapeutyczną parę. To bardziej twoje rejony, twoja klasa społeczna.

Corinne zachichotała, a Suze dołączyła do niej. Spojrzały na siebie z rozbawieniem. Ciągle miały jakieś tylko sobie znane powody do śmiechu.

Charlie Polkinghorne, nasz szef, jedyny lekarz w ośrodku

pomocy psychologicznej, podniósł głowę znad swojej zupy.

– Kto to?

– To ta pacjentka, której zaleciłem 50 miligramów zoloftu. Przysłałem ją do ciebie dziś rano – odparłem.

– Ach, tak. Jasne – przytaknął autorytatywnie. Wiedziałem, że znowu pozwolił asystentowi podpisać się swoim nazwiskiem. Nawet nie widział prośby o receptę, którą mu wysłałem. Ale i tak miałem dla niego dużo empatii. Na ścianie z pustaków wisiały najlepsze możliwe dyplomy, był świetnym specjalistą i gdyby nie zagorzały alkoholizm, pewnie szefowałby w jakiejś klinice dla VIP-ów w Berkshires i pławiał się w oceanie kasy. Ale przez popełnione błędy wylądował tutaj, gdzie za błędy się płaci. Dawno już wszedł w rolę lekarza więziennego, psychiatry od prania mózgow w randze urzędnika państwowego. Mieszkał w rozpadającym się apartamencie w jednej z najmodniejszych części hrabstwa, z balkonem zwisającym nad torami północnej linii metra, gdzie się upijał, osiągając stan katatonii w towarzystwie Sheili, żony, również alkoholiczki.

Patrząc z perspektywy, moim zdaniem zaledwie przeczuwał, że wszedł w schyłkową epokę swojej kariery w wydziale więziennictwa. Miałem do niego słabość, zatrudnił mnie, kiedy nikt inny by tego nie zrobił. Ale Corinne nie miała dla niego litości. Ani Suze. Miały powody. Dla niego praca w żeńskim więzieniu nigdy nie była spełnieniem ambicji zawodowych, a dla Suze i Corinne – tak. Charlie siedział na ciepłej posadce. Ja, który dołączyłem do zespołu ostatni, niewątpliwie też. Ale podczas gdy ja w towarzystwie kolegów z pracy starałem się być skromny i czasem



czułem, że doceniają moje wysiłki, Charlie w niebezpieczny dla siebie sposób zupełnie nie miał pojęcia, co sądzi o nim reszta zespołu.

– Za co, do diabła, siedzi? – spytał.

– Morderstwo drugiego stopnia. Do tego ciężki wyrok – odparłem. – Pięćdziesiąt dwa lata. Bez możliwości warunkowego zwolnienia.

– Biała dziewczyna i słaby adwokat – powiedziała Suze.

– Albo sędzia przed reelekcją – dodała Corinne.

– Szkoda kobiety. – Charlie usiłował złowić ostatni groszek w swojej zupie.

– A co dziwniejsze, jej ojciec był kongresmenem – powiedziała Corinne.

– Tylko przez jedną kadencję – skomentowałem. – Nigdy więcej nie został wybrany.

Być może powiedziałem to zbyt szybko, jakbym był zbyt dobrze obeznany z tematem. Suze spojrzała na mnie z ukosa.

– Tak słyszałem – dodałem i wzruszyłem ramionami.

Oczywiście nie wiedzieli, co łączyło mnie z M. Nie wiedzieli, gdzie chodziłem do liceum ani nawet gdzie dorastałem. Prawie nic o mnie nie wiedzieli poza tym, że miałem intratną posiadłość na Manhattanie, z której mnie wyrzucono po wytoczonym w atmosferze skandalu procesie. Popełniłem błędy i oto teraz byłem tu, gdzie za błędy się płaci. Podczas sześciu miesięcy pracy w Milford Basin nie opowiadałem często o sobie. Co, jak sądzę, jest raczej typowe. Nie mam zwyczaju dużo o sobie mówić. Raczej słucham. Na tym polega moja praca.

TAMTEGO WIECZORU WRÓCIŁEM DO DOMU, DO KOTA, w jakiś sposób odziedziczonego po mojej byłej żonie Winnie, z którym żyliśmy jak niepasujący do siebie współlokatorzy, i do dzwoniącego telefonu. Mój braciszek – Clyde. Powiedział, że ktoś o imieniu Grigori zagroził, że go okaleczy, jeśli do północy nie pojawi się z trzystoma dolarami.

– Pracuję, Frank. Daj mi tylko dwieście, resztę zarobię.

Westchnąłem i zacząłem krążyć po pokoju w poszukiwaniu kluczyków od samochodu. Na brudnym rogu Sto Ósmej i Amsterdam Avenue obracałem w dłoni na drążku zmiany biegów zwitek dwudziestodolarówek, dopiero co pobranych z bankomatu. Przy odwróconym pudle po suszarce do bielizny Whirlpool przykrytym turkusowym brezentem stał mój brat, uśmiechając się do przechodniów i wskazując z miłością swój towar, jak dumny sprzedawca serów, którego kiedyś widziałem na targu w Paryżu. Nowojorczycy, o twarzach głównie umęczonych lub zmartwionych, spieszyli dokądś w wieczornej mgle. Patrzenie, jak mijają bez zainteresowania Clyde'a i jego asortyment, doprowadzało mnie do wściekłości.

Handlował podkolanówkami. Brał je w komis od faceta, którego będę nazywał Jimmy, zarządzającego armią sprzedawców podkolanówek, nakręcanych pluszowych zabawek, czapek, ozdób do włosów i baloników. Oddawali mu osiemdziesiąt pięć procent dochodów w zamian za łóżko do spania w jednym z domów opanowanych przez szczury, dostępnych w parku Sunset, transport na Manhattan i pół grama heroiny dziennie.

– Taka wersja życia – zwykł mówić Clyde.

Tamtego wieczoru nie był w najlepszej formie: wokół jego

twarży zwisały brązowe strąki lepkich włosów, dolną wargę opanowały strupy i wykwity zimna. Clyde od roku był narkomanem. Jego upadek był tak fatalny i szybki, że prawie już nie przypominał siebie z lepszych czasów. Miał tylko dziewiętnaście lat, był ode mnie o wiele młodszy. Olał wyższe studia, odwrotnie niż ja, ciągle niespokojny, niewykorzystujący swoich możliwości. Nie odrabiał lekcji, a potem prosił o dodatkowe zadania na zaliczenie. Zadowalał się trójkami i miał wszystko gdzieś. Marzył, by być szefem kuchni odpowiedzialnym za desery w modnej nowojorskiej restauracji, ale, oczywiście, jego życie potoczyło się inaczej.

Zauważył mój samochód i niepostrzeżenie przysunął się do krawężnika. Nieco zgarbiony, stanowił niepokojącą mieszankę anorektycznego nastolatka i zniedołężniałego staruszka. Ale jego wzrok były boleśnie trzeźwy. Przywitał mnie z ogromną wdzięcznością, objął, jak tylko wysiadłem z samochodu. Miał na sobie brudną bluzę z napisem „Princeton”. Wyglądał jak oszalały chłopak z bractwa na uczelni, który był głodzony i bity przez tydzień.

– Przydałby ci się prysznic, chłopie – powiedziałem, obejmując go ostrożnie.

– Wiem, wiem. Ale przynajmniej nie mam wszów. – Zaczynał już mówić niegramatycznie, jak Jimmy, który był Macedończykiem. Wyciągnął pieniądze z mojej dłoni i wcisnął je do kieszeni spodni, brudnozielonych, ozdobionych haftowanymi kaczkami. Pewnie czyjeś stare spodnie do golfa.

Kobieta ciągnąca za sobą łkającego chłopca zatrzymała się, by

podziwiać wystawę Clyde'a.

– To superskarpety – powiedział Clyde.

Odeszła szybko, wlokąc za sobą dzieciaka.

Śmierzący dym smażonego tłuszczu ze stoiska z churros tworzył wokół nas tłustą mgłę.

– Jestem skonany po robocie i nie wiem, kto to Grigori.

– W skrócie: w zeszłym tygodniu jakieś dzieciaki ukradły moje skarpety. Musiałem pożyczyć kasę, żeby spłacić Jimmy'ego za stracony towar. Grigori jest Rosjaninem, Rosjanie mają bank, a banku się nie wykiwa.

– Ukradły twoje skarpety?

– Spałem w pracy – powiedział, patrząc na swoje buty.

„Spał”, czyli był na hajku, osunął się gdzieś w bramie, oparty o obszczańną ścianę. Znowu to mdlące uczucie desperacji, poczucie winy wywracało mi żołądek na drugą stronę. Jak mogłem pozwolić, żeby ten chłopiec tak skończył. Moja krew, mój jedyny brat, ostatnia radość mojej nieżyjącej matki.

– Grigori ma krzywy rosyjski krzyż wytatuowany na ogolonej głowie. – Skrzywił się. – Nawet Jimmy boi się tych chłopaków z Sheepshead Bay.

– A co z powrotem do Llewellyn? Popytałem trochę, chyba mogę ci załatwić miejsce...

– Jak będę gotowy, Frank. Jeszcze nie jestem. – Znowu wyciągnął pieniądze z kieszeni. Potarł róg każdego banknotu kciukiem, jakby sprawdzał, czy druk się nie rozmazuje, albo jakby testował fakturę papieru. – Obiecuję.

Dałem mu pięćset.

– Kup sobie jakieś jedzenie – poprosiłem. – Jesteś strasznie chudy.

– A jednak dziewczyny na mnie lecą.

Poczułem, jak ciepłe łzy zbierają mi się w kącikach oczu, i wróciłem do samochodu. Otworzyłem okno po stronie pasażera.

– Kiedy będziesz gotowy, jeśli można wiedzieć?

– Będę gotowy, kiedy będę gotowy. – Znowu przeliczał pieniądze.

Skręciłem w stronę domu. Słońce zniżało się nad horyzontem, oblewając rzekę złotą poświatą. Clyde przyjechał do miasta rok temu, nie mógł wybrać gorszego momentu. Kilka miesięcy wcześniej moja kariera legła w gruzach, a kiedy pojawił się w naszym mieszkaniu i zameldował się na kanapie, przykucnęliśmy już z Winnie w pozycji snajperów, strzelając do siebie z niebywałą częstotliwością i zaskakującą precyzją. Po kilku dniach w przestrzeni wolnej od ognia Clyde zdecydował się na ewakuację. Zakochał się w dziewczynie, którą poznał na placu Waszyngtona. Miała na imię Flor. Była narkomanką. Kiedy ja zostałem zassany w tunel, bez pracy i bez żony, jego wciągnęła jeszcze gorsza bestia.

Po roku tamte wydarzenia nadal mną wstrząsały. Dostałem nerwicy frontowej przez jego implozję. I swoją własną. A jednak Clyde twierdził, że podoba mu się to nowe swobodne życie.

– Czuję się, jakbym wisiał na skraju wszystkiego i w sumie to nie jest złe miejsce.

Zjeżdżając do garażu pod moim budynkiem, neogotyckim kolosem na Riverside Drive, zastanawiałem się, dlaczego tak wielu ludzi zostaje zepchniętych przez los na krawędź.

Na przykład M. Oto osoba balansująca na krawędzi.

Gdy wchodziłem po rozbrzmiewających echem moich kroków schodach, zdałem sobie sprawę, że może jednak jestem lekko zaniepokojony tym, że mnie nie pamięta. Bo na pewno kilka razy rozmawialiśmy – o pracy domowej z trygonometrii, przy okazji ćwiczeń przeciwpożarowych. O ile pamiętam. A wydaje mi się, że pamiętam każde słowo, które zamieniliśmy ze sobą podczas szkolnych lat. Parę razy się zaśmiała.

W mieszkaniu przystanąłem przed długim lustrem, które Winnie kazała zamontować na drzwiach do garderoby. Pod wieloma względami głęboko czułem, że nadal jestem tym niepewnym siebie pierwszoklasistą, zagubionym, wątpiącym w siebie, niezdolnym w żaden logiczny sposób dostosować się do norm moralnych, według których oceniałem innych. Trudna do przyjęcia prawda, szczególnie dla profesjonalisty z dyplodem, którego zadaniem jest pomaganie innym w dojrzewaniu. Ale w tamtym momencie, w ciemnym pokoju z widokiem na szyb wentylacyjny, z kotem mrugającym do mnie z poduszki mojej byłej żony, zobaczyłem to wyraźnie. Gdybym był trochę bardziej tyczkowaty i gdybym nadal jeździł buickiem venturą babci, byłbym tym samym chłopakiem. Tym samym, którego wyrzucili z Burger Palace za to, że usmażył czapkę kolegi na głębokim tłuszczu. Tym, który dzwonił do dziewczyn – do M. też, kilka razy, tylko po to, by odłożyć słuchawkę, kiedy ktoś odpowie „Halo”. Tym samym chcącym wszystkich zadowolić żartownisiem, tym samym uporczywie i bezskutecznie starającym się osiągnąć szczyt przewidziany dla niego w testach predyspozycji. Testach autorstwa

Erskine'a Lundquista. Tak, tego od krzywej Lundquista. To mój ojciec. I ojciec Clyde'a. Clyde nigdy nie wypadł tak dobrze w testach jak ja. Ojciec był zszokowany jego wynikami.

Ale nie. Nie będę się w to teraz zagłębiał. I nie byłem już tym żenującym pierwszakiem. Posadziłem sobie starego Trufla na kolanach i delikatnie drapałem go za liniejącymi uszami. Znosił to, a ja kontemplowałem swoje odbicie, opuszczając i podnosząc podbródek. Nie byłem chyba brzydki jak na trzydziestodwulatka. Kobiety czasami oglądały się za mną na ulicy. Widziałem ich spojrzenia i przechodziłem obok nich obojętnie.

## 4

### CZERWIEC 1999

Żółtozielone linoleum w świetlicy błyszczało jak jezioro płynu do chłodnicy. Komuś udało się podpalić planszę do Scrabble'a i dym włączył zraszacze w suficie. Miranda i Lu wycierały podłogę mopem, co chwilę zatrzymując się, żeby wyciągać drewniane płytki z literami zaplątane w warkocze mopa. Zmoczony alfabet ułożyły na parapecie.

– Znalazłam „Z” – powiedziała Lu.

Miranda podniosła wzrok, zaskoczona jej głosem. Patrzyła na sznurki mopa przesuwające się po zalanej podłodze, marszczące powierzchnię kałuży. Znowu odpłynęła, planując zakończenia swojego życia. Jak by to było się utopić? Niesamowite uczucie spokoju, wyobrażała sobie. Cóż za pociągająca wizja – po nieustannym łaskocie oddziału 109 C, budynków 2 A i B, pograżyć się na wieczność w chłodnej przezroczystej galarecie ciszy. Problem polegał na tym, że więzienie nie zapewniało wielkiego wyboru miejsc, w których da się utopić. Można by spróbować w toalecie – zapchać sedes, napełnić go wodą i wsadzić do niego głowę. Miała jednak jeszcze jakąś dumę. A może stanąć pod



prysznicem z otwartymi ustami, jak gęś na deszczu? Po prostu pozwolić, by wnętrzności napełniły się pudrowo smakującą wodą z prysznicem, i upaść martwa?

Chciałaby już nie mieć uczuć. Tych uczuć, które ocierały ją do krwi, jak smutek, wstyd i żal. I hałas, ten hałas. Wieczna cisza podarowana przez wodę – tak, to była pociągająca wizja.

Miranda wyprostowała się i oparła o ścianę. Drażek mopa oparła o obojczyk.

– Jak myślisz, można utopić się pod prysznicem? – spytała.

– Najpierw trzeba zatkać odpływ. Potem ktoś musiałby uderzyć cię w głowę – odpowiedziała Lu. Przerwała na chwilę pracę i poprawiła żółte państwowe drelichy, które dopasowała do swojego długiego i szczupłego torsu przy pomocy przemyconej igły, wykorzystując zdolności krawieckie, które wyssała z mlekiem rosyjskiej matki. – Ktoś musiałby cię pozbawić przytomności. Utopiłabyś się wtedy jak dzidzius w paru kroplach wody. – Wydęła starannie obrysowane na czerwono usta („Nałóż »szmynkę«, nie bądź smutną myszką”, często napominała Mirandę). Pochyliła się znowu nad mopem i stwierdziła autorytatywnie: – Samemu nie da się tego zrobić. Potrzebowałabyś kogoś do pomocy. A kogo mogłabyś poprosić? Nie mnie, bo ja tego nie zrobię.

– April.

– April tego nie robi. Nie ma mowy. – Odsączyła mopa do niebieskiego plastikowego wiadra bladymi silnymi dłońmi. Potrząsnęła głową i parsknęła sarkastycznie. – Żeby April uderzyła cię w głowę? Daj spokój, Mimi.

Lu była jedyną osobą, która nazywała Mirandę Mimi.

Utrzymywała, że po rosyjsku „mimi” znaczy „mała wrona”.

– Kiedy siedzisz na łóżku z tymi twoimi wychudzonymi ramionami i wyglądasz smutno, przypominasz właśnie wronę – mówiła.

W drzwiach stanął Jerrold Liverwell, dowódca drugiej zmiany strażników.

– Dzień dobry, panie oficerze – powitała go Lu.

– Witajcie, dziewczyny. Lepiej się pospieszcie, za dziesięć minut apel. – Spojrzał groźnie na ustawione w linii plastikowe krzesła. Wszystkie wytłoczone w siedzeniach zagłębienia wypełniała woda, wyglądały jak rząd poidełek dla ptaków.

– Chciałbym tylko wiedzieć, kto zrobił ten burdel. – Przeciągnął dłonią po krótko ogolonych włosach. Przystojny facet, z małym brzuszkiem, o ciemnej, nakrapianej skórze przypominającej zaśniedziałe srebro.

– Jak nam idzie, panie oficerze? – spytała Lu, zerkając na niego przez żółtą grzywkę i znowu wykręcając mopa. Miranda zauważyła, że strażnik patrzy na nią.

– Nieźle, jak dotąd – odpowiedział. – Zadaj mi to pytanie później.

Z drugiej strony holu dziewczyny zaczęły wykrzykiwać, a Liverwell zaklął i szybko poszedł w kierunku, z którego dochodziły odgłosy kłótni. Miranda i Lu przez chwilę pracowały w milczeniu. Lu miała swój sposób, by chować się w sobie, znikać w środku. Przechodziła w tryb niedostępności, dzięki sile antygravitacyjnej odpychała każdego, kto się do niej zbliżył. Kiedy Ludmilla zapadała w ten stan, Miranda zaczynała panikować. Bez

niej i bez April pewnie w ogóle nie funkcjonowałyby w więzieniu. Nigdy nie zależała od nikogo tak bardzo. Żaden z jej chłopaków nigdy nie był dla niej tak ważny, żeby uzależniała od niego swoje dobre samopoczucie.

Może tylko Duncan McCray. Na pewno żaden inny.

Ale przecież nigdy nie była osobą, która dobrze się czuje w samotności. To dlatego pobyt w izie był dla niej agonią. Kiedy zbyt długo była sama, jej myśli skręcały w stronę problemów.

Miranda pamięta, kiedy to się zaczęło. Pewnego dnia, kiedy miała chyba jedenaście lat, wałęsając się, wracała ze szkoły do domu. Zastała drzwi otwarte i opuszczony dom. Ojciec był w Pittsburghu, prowadził kampanię wyborczą, starając się o reelekcję. Czasami zabierał je wszystkie ze sobą, wchodziły wtedy na podium razem z nim, ona, siostra i matka. Ale tego dnia pojechał sam. Był w złym nastroju. Zbliżał się listopad, miał słabe wyniki w sondażach, słyszała, jak krzyczał na kogoś przez telefon. Amy może poszła do koleżanki, ale dokąd pobiegła jej matka, zostawiwszy w domu torebkę? Nie było jej samochodu. (Dopiero po latach odkryła, że tamtego dnia Karsten Brunner, kochanek jej matki, przeżył zatrzymanie akcji serca). W zlewie było pełno naczyń stojących w brudnej wodzie, a pierścionek zaręczynowy matki z dużym diamentem o szlifie szmaragdowym i obrączka z wrytą wijącą się winoroślą leżały na niebieskim spodeczku na parapecie, gdzie zwykle je kładła, gdy zmywała naczynia. Miranda stanęła na stołku i przyglądała się pierścionkom. Założyła je na serdeczny palec lewej dłoni, gdzie było ich miejsce, i przeszła się po domu, wielkiej pachnącej starym drewnem posiadłości z cegieł,

o wiele większej niż jednopiętrowy dom w Pittsburghu. W tamtym domu było słycać wszystko, tata mówił, że ściany były zrobione ze śliny i chusteczek jednorazowych. Tutaj było słycać tylko szepczące skrzypnięcia i echo, jakby duchy przechadzały się po pokojach.

Miranda słycała to skrzypienie, wchodząc po schodach. Zatrzymała się przy wejściu do kwiecistej sypialni rodziców. Pachniało kremem do golenia i tymi ciemnymi, interesującymi perfumami, zapachami dorosłych, ciężkimi i niemal mdlącymi. Zagracona toaletka. Ogromne łóże małżeńskie z rozkopaną pościelą. Garderoba, w której, jeśli wiedziałaś, jak wspiąć się po półkach ze swetrami, mogłaś znaleźć *Radość seksu* pod jakimiś starymi spodniami narciarskimi. Łatwo było tam się dostać, jeśli było się dobrym we wspinaniu – jak Miranda. Ale tym razem nie zatrzymała się, żeby oglądać te obrazki, kobiety z owłosionymi pachami i brodatych mężczyzn złączonych w różnych pozycjach, odzianych tylko w delikatny uśmiech. Wróciła do holu i weszła do zabałaganionego pokoju Amy ze stertami płyt i sekretnych dzienników, w których pisała wiersze – po kryjomu czytane i podziwiane przez Mirandę. Uczesała się, przeglądając się w lustrze Amy do połowy zaklejonym naklejkami z napisem „Greene do Kongresu!”.

W końcu poszła do swojego pokoju, tego z najlepszym widokiem na podwórko i z puchatym niebieskim dywanem, który sama wybrała. Nieuchronnie nadchodziła jesień, liście coraz bardziej żółkły i coraz gęściej ścieliły się na ziemi. Za lasem mogła dostrzec monotennie szarą aleję, a za nią rzekę.

Czy to wtedy zaczęła gustować w zakazanym? Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy pójść samej nad rzekę. Ziemia w lesie była wilgotna i pokryta ściółką, opadłe liście zbutwiały i lepkie od wilgoci. Zsunęła się przepustem do betonowego tunelu pod szosą, wystarczająco wysokiego, by mogła nim przejść, nie pochylając głowy. Usłany był zgniecionymi puszkami po napojach, kawałkami opon i stertami uschłych gałęzi wymieszanych z najróżniejszymi śmieciami, którym lepiej było nie przyglądać się z bliska. Jakiś seryjny zabójca mógł tam zostawić palce któreś ze swoich ofiar albo mogło tam leżeć truchło ptaka. Nad głową huczały samochody, rozlegał się głęboki, przerażający ryk, który odbijał się echem w tunelu i penetrował mózg, jakby ktoś wrzeszczał jej prosto do ucha. Beton wibrował dookoła, gdy spieszyła się, by z niego wyjść.

Wybiegła z tunelu i otoczyła ją upiorna cisza. Pojedynczy ptak nawołujący ciągle od nowa, gdy nikt mu nie odpowiadał. Samotny dźwięk. Las był większy i czystszy. Podążała błotnistą ścieżką, na której były inne ślady (czyje?), aż doszła do piaszczystego nabrzeża, gdzie kiedyś była z ojcem i Amy, w którąś niedzielę niedługo po ich przyjeździe do Waszyngtonu i przeprowadzce do tego domu. Tata pozwolił im zabrać wędkę, których zwykle używały nad jeziorem w Pensylwanii, i siedziały tam, mocząc kije i wyciągając je, gdy tata palił papierosa i gapił się na rzekę. Właśnie wrócił do palenia i Miranda była na niego wściekła. Mówił, żeby dać mu trochę luzu. Mówił, że ma dużo stresów, bo bycie przedstawicielem społeczeństwa jest trudnym zadaniem często wymagającym balansowania na krawędzi. Nie złapały żadnej ryby, a że wszyscy zgłodnieli, wrócili do domu na obiad.

Teraz Miranda siedziała na tej niewielkiej skale, na której wtedy siedział ojciec. Dookoła niej pełno było niedopałków papierosów. Zastanawiała się, czy jeden z nich nie należał do niego. Schyliła się i podniosła niedopałek z nazwą Winston. Tata palił winstony. Ale zdecydowała, że nie, to nie jego. Minęły już prawie dwa lata od tamtego dnia, gdy wybrali się na ryby. Wyrzuciła niedopałek do rzeki i obserwowała, jak dryfuje, obraca się w wirze i szybko odpływa.

W wodzie, z pięć metrów od brzegu, tkwiła olbrzymia pęknięta skała. Z rozpadliny wyrastało drzewo. Miranda pomyślała, że skała wygląda jak gigantyczne rozbite jajko, z którego wystaje potargana głowa kurczaka. Pokrywały ją czerwone, pomarańczowe, białe i srebrne napisy zrobione sprejem przez nastolatków, jak przypuszczała. Różne imiona, serca i powtarzające się słowo „kurwa”, które było zdecydowanie najgorszym ze wszystkich brzydkich słów. Miranda rozumiała, dlaczego napisali je właśnie tam, gdzie ich rodzice prawdopodobnie nigdy go nie zobaczą.

Gdy tak siedziała na niewielkiej skale na nadbrzeżu, kopiąc czubkami adidasów w piasku, myślała o tym, co się z nią stanie, jeśli nikt nigdy nie wróci do domu. Jak długo da radę przeżyć w nim sama? Gotować, sprzątać, odbierać pocztę? Czy będzie potrafiła włączyć kosiarkę? To byłoby kluczowe, bo niekoszona trawa stanowi wskazówkę. Dzięki temu właśnie odkryto, że pan Semsker z domu obok kopnął w kalendarz. Leżał tam, zimny trup, aż trawa urosła zbyt wysoko i ktoś to zauważył. Jeśli nie uda jej się wystarczająco mocno pociągnąć za sznurek i włączyć kosiarki, na pewno zabiorą ją do sierocińca. A wiedziała z lektur, na przykład

*z Tajemniczego opiekuna, że sierocińce są okropne.*

Zauważyła, że do rzeki wpadło wysokie drzewo i niemal dotykało gałęziami rozłamanej skały. Podeszła, żeby je zbadać, i zauważyła, że pień był wystarczająco szeroki, by po nim przejść. Dałoby się dojść do punktu, z którego można było skoczyć na skałę. Amy by jej tego zabroniła, rządziłaby nią jak zawsze, ale nie było jej tu, więc Miranda wspięła się na pień. Przytrzymując się gałęzi, które z obu stron wystawały z wody, szła ponad nią. W sumie to było łatwe. Podeszła do miejsca, gdzie drzewo wpadało w toń, i zatrzymała się. Z tego punktu był tylko jeden gigantyczny krok do skały. Wiedziała, jak złapać się cienkiego konaru małego drzewa wyrastającego z pęknięcia, żeby podciągnąć się na występ skalny. Wzięła głęboki oddech, zatrzymała powietrze w płucach i skoczyła.

Skała była bardziej śliska, niż jej się wydawało, ale udało jej się złapać drzewa i podciągnęła się. Usiadła, czując, jak serce wali jej w piersiach. Czują, jak zalewa ją gorąca fala zadowolenia z siebie. Jasne było, że nieprzypadkowo jest jedyną dziewczyną w klasie, która potrafi zwiśać do góry nogami z drabinek. Jasne było, że ma talent.

Pośrodku pękniętej skały było małe płaskie miejsce pokryte piaszczystą ziemią. To właśnie stąd wyrastało drzewo. U jego korzeni leżały dwie puste butelki po jacku danielsie. Rozpoznała znaną nazwę, bo Benjamin LeHargue prawie codziennie od początku roku pojawiał się w szkole w bluzie z tym napisem, dopóki pani Yee nie powiedziała mu, że to nieodpowiednie, i poprosiła, żeby już nie wkładał jej do szkoły. Na wewnętrznych ścianach w pęknięciu skały było jeszcze więcej imion i różnych

napisów. Miranda oparła się o nie i zaczęła grzebać w kieszeniach kurtki. Wyjęła kawałek kredy, który zawsze ze sobą nosiła na wypadek nieplanowanej gry w klasy. Ukucnęła i znalazłszy niepomazany kawałek skały niedaleko krawędzi, zapisała na nim swoje imię. Gdyby zabrano ją do sierocińca, przynajmniej zostanie dowód, że kiedyś tu mieszkała, miała dom i rodzinę.

Podniosła się i podeszła do drugiej krawędzi, tej, która była zwrócona w stronę rzeki. Hałas samochodów przejeżdżających jezdnią z tyłu był cichszy niż szum rzeki płynącej przed nią. Woda miejscami była czarna, miejscami brązowa i czuć ją było zbutwiałym drewnem i mchem. Był to zapach wilgoci i brudu – jak w zarośniętym glonami akwarium w pracowni biologicznej, tylko tysiąc razy silniejszy. Ale wiatr wiejący od rzeki był świeży. Czuło się, że wieje od gór, skąd płynęła rzeka, jeśli wierzyć ojcu. Powiedział, że wypływa ze spienionego źródła w górach leżących w Wirginii Zachodniej.

Przez chwilę rozważała, czy nie spędzić nocy na skale. Martwiliby się o nią i rozpieszczali potem przez tydzień, i byłoby im bardzo przykro, że zostawili ją samą. Ale kiedy na poważnie wzięła pod uwagę możliwość spędzenia nocy samotnie w ciemności, zaczęła się bać. Popędziła z powrotem na brzeg skały i w lekkiej panice przeskoczyła na pień dużego drzewa. Wylądowała spokojnie na konarze i przez chwilę znowu sobie gratulowała. Tylko że wtedy podeszwa jej adidasa, wyslizgana i cienka od szorowania po asfalcie, zjechała z gładkiej kory. Upadła do tyłu. Do wody.

Było głębiej, niż się wydawało. Cała była pod wodą i nadal



spadała, a jeszcze nie dotknęła dna. Wynurzyła się na powierzchnię, gwałtownie wdychając powietrze i próbując otrząsnąć się z szoku. Lodowata woda przeniknęła od razu całe jej ciało. Rzucała się dziko przez chwilę, jej mózg był sparalizowany strachem, serce waliło tak mocno, że aż się krztusiła. Chwyciła wystającą z pnia gałąź i usiłowała podciągnąć się z powrotem na pień, ale nie dawała rady, jej ręce były za słabe. Tkwiła uczepiona gałęzi, kopiąc na oślep nogami i pojękując. W ustach miała zatechły posmak wody. W końcu gałąź się ułamała i Miranda z powrotem zapadła w ciemność.

Kiedy kolejnym razem się wynurzyła, była już spokojna. Zaczęła płynąć pieskiem do brzegu, który w sumie był odległy tylko o jakieś piętnaście metrów, choć musiała płynąć po skosie z powodu uporczywego nurtu. Kiedy przepłynęła już połowę drogi i zaczęły ją boleć coraz cięższe ramiona, wyciągnęła nogi w dół i dotknęła błotnistego dna rzeki. Resztę drogi przebyła, brodząc. Trzęsła się z zimna, gdy wybierała miejsce na postawienie stopy między masywnymi kamieniami na dnie.

Kiedy dotarła do domu, od razu zobaczyła, że wszystko było tak samo, jak kiedy wychodziła – ciemno i głucho. Nie było nikogo. Zajrzała przez okno do pokoju – tylko telewizor odwzajemnił jej spojrzenie, zgaszony i szary. Schowała mokre buty i skarpetki w skrzynce na mleko, wślizgnęła się do domu bocznymi drzwiami i przemknęła na górę do swojego pokoju. Wrzuciła przemoczone ubrania pod łóżko i właśnie brała prysznic, kiedy przypomniała sobie o pierścionkach matki. Zgubiła je.

Pomyślała o tym, żeby iść ich poszukać, ale gdy wyjrzała przez

okno, zobaczyła, że było już prawie całkiem ciemno. Nie potrafiła się zmusić, żeby znowu wejść do tego lasu. Przypomniała sobie wirujący w nurcie rzeki niedopałek i zrozumiała, że pierścionek i obrączka mogą już zmierzać wraz z rzeką do morza. Nie da się ich odzyskać.

Poczuła ciężar nieuchronnie zbliżającego się przeznaczenia. Powoli ubrała się i powlokła na dół. Umierała z głodu, a kiedy ktoś w końcu wróci, na pewno wyśle ją do łóżka bez kolacji, wyjęła więc z lodówki czekoladowy budyń w puszcze i jak skazaniec zeszła po trzech stopniach do salonu. Włączyła telewizor i ustawiła kanał 20. Usiadła, żeby zjeść, oglądając odcinek *Scooby-Doo*, który na pewno będzie ostatnim, jaki zobaczy przez kolejne kilka miesięcy. No bo jaka może być kara za utopienie diamentów matki w rzece? Długie wygnanie z krainy telewizji, to na pewno, a inne kary mogą być jeszcze gorsze.

Po jakimś czasie nagle obudziła się. W pokoju było ciemno, telewizor wyłączono. Potarła oczy i usłyszała głos ojca. O pierścionkach przypomniała sobie dopiero, gdy w jasnej kuchni potknęła się o ojca leżącego na podłodze w szachownicę. Głowę miał w szafce pod zlewem. Obok jego nóg klęczała Amy, pochylona nad otwartą skrzynką z narzędziami.

– To są obcęgi, Amy. Daj mi klucz.

– Co się dzieje?

– Mamie pierścionki wpadły do zlewu – odpowiedziała Amy. –

Czy to nie tragiczne?

– A gdzie mama?

– Na górze.

– Nie zawracaj jej głowy, Mirando – odezwał się ojciec spod zlewu.

– Jest zdenerwowana – powiedziała Amy dramatycznym szeptem.

Opróżniono kolanko, ohydna zielonoczarna breja wylądowała z głośnym plaśnięciem w koszu. Obejrzano dokładnie rury. Nie znaleziono żadnej biżuterii. Tata zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Musiały spłynąć prosto do głównej rury.

We troje zjedli gotowe danie przy stole w kuchni.

– Ile kosztowały te pierścionki, tato? – spytała Amy.

Ojciec z zacięciem szlachtował swój kawał indyka.

– W chuj kasy – odpowiedział.

Spojrzały na siebie z Amy. Pierwszy raz słyszały, żeby ojciec powiedział słowo „chuj” – ale na pewno nie ostatni.

Po kolacji tata zamknął się w gabinecie, gdzie rozmawiał przez telefon. Amy poszła oglądać telewizję. Miranda przy stole w kuchni gapiała się na zlewozmywak i starała się coś wykombinować. Gdy tak siedziała, do kuchni weszła matka z zaczerwienionymi oczami, ubrana w koszulę nocną i kapcie. Podeszła do wysokiej szafki i wyjęła słoiczek z aspiryną, nalała sobie szklanekę piwa.

– Kiedy wróciłaś do domu? – spytała.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

Matka patrzyła na nią przez chwilę, potem odwróciła się i wyszła z kuchni, zabierając ze sobą aspirynę i piwo. Miranda słuchała jej kroków na schodach i nagle to do niej dotarło. Matka myślała, że ktoś ukradł pierścionki z domu, który zostawiła

z drzwiami otwartymi na oścież. Nie chciała, żeby ojciec dowiedział się, że zostawiła drzwi otwarte szeroko, jak zaproszenie dla każdego złodzieja, który przypadkiem przechodziłby obok. Chciała uniknąć kłopotów, więc skłamała. Miranda zaczynała to rozumieć.

Nigdy już nie wspomniano o biżuterii. Dwa miesiące później ojciec przegrał wybory i utracił miejsce w Kongresie. Trzy lata później umarła Amy, a po kolejnych dwóch małżeństwo jej rodziców zostało legalnie rozwiązane. Miranda wiedziała, kiedy zaczęły się ich kłopoty. To było tego dnia, kiedy puściła diamenty matki z nurtem rzeki.

– NIE SĄDZISZ, ŻE TO TROCHE EGOCENTRYCZNE? Zakładać, że to ty jesteś przyczyną nieszczęść wszystkich innych ludzi?

Frank Lundquist czasem był jak wrzód na dupie.

Mimo to lubiła go. Wykonywał dziwne gesty, jak nastolatek. Na przykład sposób, w jaki odrzucał głowę, kiedy grzywka wpadała mu do oczu. Albo kiedy odrywał kawałki tektury z brzegu pustego jednorazowego kubka do herbaty. Zawsze był skory do pomocy, odwrotnie niż reszta sennego, niechętnego personelu w Milford Basin. W jakiś sposób było to rozczulające. A także – pozbawione znaczenia, co było smutne. Ten facet był tylko środkiem do zdobycia leków, o które jej chodziło. Jednak w ciągu tych tygodni, kiedy do niego chodziła, zdała sobie sprawę, że jego obecność prowokowała ją do refleksji. Coś w jego zachowaniu – szczere zainteresowanie, gdy zadawał pytania – oświetliło pewne zakurzone korytarze jej pamięci. Nigdy się tego nie spodziewała.

Problem jednak polegał na tym, że nie chciała właśnie teraz ponownie przeżywać swojego życia. Teraz była gotowa, by je zakończyć.

– Pewnie każdy dostaje w życiu to, na co zasługuje – zaryzykowała.

– Bez przesady. – Oparł ręce na biurku, wpatrując się w nią intensywnie. Widać było, że według niego robią postępy. – Była pani tylko dzieckiem. Dziecko nie zasługuje na coś takiego.

Wzruszyła ramionami.

– A co z grzechem pierworodnym?

– Jest pani katoliczką?

– Zawsze fascynowała mnie spowiedź.

Oparł się na krzesło, które wydało z siebie jęk.

– Czy jest coś, z czego chciałaby się pani wyświadczyć? – spytał łagodnym tonem. – Zostanie to między nami.

Nie spodobało jej się to, że jej serce podskoczyło przy tym pytaniu.

Wstała.

– Właśnie to zrobiłam, prawda? Przyznałam się do zgubienia biżuterii matki. To ja byłam winna.

– Myślę, że robimy postępy – powiedział.

– Myślę, że nasz czas się skończył – odparła.

WTEDY DOWIEDZIAŁA SIĘ, ŻE ZOLOFT MOŻE BYĆ ZA SŁABY, ŻEBY TO ZROBIĆ. W kolejce po leki, czekając na codzienną dawkę, poznała Delinę, autorytet w sprawach dotyczących farmaceutyków, posiadaczkę trzech złotych zębów, których nie sposób było nie zauważyć.

– Wiem, że chcesz spróbować tabletek – zahaczyła ją któregoś razu, kiedy wracały na oddział. Promienie słońca przecinały długi korytarz, wpadając przez poszatutowane okna. Odbijały się od dzieła jej dentysty. – Założę się, że masz zamiar przedawkować. Też bym to zrobiła na twoim miejscu. Nie zniosłabym takiej ilości czasu.

Włosy miała splecione w ciasne węzłki biegnące przez całą głowę, jak rzędy kapusty na polu.

– Potrzebujesz elavilu albo czegoś podobnie mocnego, pięćdziesiąt–sześćdziesiąt kapsułek. Jak masz gotówkę, może będę mogła ci pomóc.

Dotarły już do oddziału. Miranda przytaknęła, ale nie odezwała się, gdy wchodziły przez bramkę.

– Daj znać – pożegnała ją Delina, błyskając zębami.

April czekała na Mirandę na korytarzu. Przyglądała się jej rozmowie z Deliną z gniewnym grymasem.

– Nie podoba mi się to. Czego ona może chcieć od ciebie?

Miała tylko metr pięćdziesiąt, ale często broniła Mirandy, a u dziewczyn budziła respekt. Wszystkie wiedziały, że była w wojsku. Armia wzięła ją mimo niskiego wzrostu, bo miała bardzo wysoki iloraz inteligencji i świetnie strzelała.

– Byłam ostrą dziewczuchą z ostrym wzrokiem – powiedziała Mirandzie od razu na początku znajomości, gdy maszerowały dla zdrowia po zarośniętej ubitej ścieżce biegnącej wzdłuż okalającego płotu. – Gdy byłam w wojsku, miałam wszystko, czego mi było trzeba.

Teraz Miranda położyła jej dłoń na ramieniu i zaprowadziła ją

do spokojnego rogu.

– Delina powiedziała, że może będzie mogła załatwić mi jakieś tabletki.

April patrzyła na nią z dezaprobatą.

– Na sen – skłamała Miranda.

Nie, nie powiedziała April, że ma zamiar wybrać łatwą ucieczkę z więzienia. Oczywiście, że nie. Miranda wiedziała, że jest dla niej jedyną na ziemi bliską osobą. Jej ojciec, główny mat w bazie morskiej w Pensacoli, odciął się od niej, gdy została skazana, i zabronił jej matce odwiedzać ją, a nawet pisać do niej.

– Zanim wszystko spieprzyłam, byłam jego kochaną córeczką – powiedziała Mirandzie.

Kiedys pokazała jej złotą bransoletkę, którą dostała od niego z okazji awansu na sierżanta sztabowego. Delikatne złote sploty z zawieszka w kształcie serduszka. Nigdy jej nie zdjęła, zanim wylądowała w więzieniu. Tutaj ukrywała ją na dnie butelki z zasypką dziecięcą. Gdy pokazywała ją Mirandzie, wysypała talk z butelki na kartkę papieru, wygrzebała z niego łańcuszek i oczyściła palcami, żeby złoto było błyszczące. Powiedziała, że ojciec kupił go w dzielnicy jubilerów w Manili. Na serduszkę kazał wygrawerować „Dla A. od Taty”.

– Zawsze mnie to wzrusza – wyszeptła, pokazując Mirandzie dedykację. – Za każdym razem, gdy to czytam, czuję, że Bóg mnie kocha czy coś.

Teraz rodzice nie przysyłali jej nawet kartki na Boże Narodzenie.

– Mówi, że przyniosłam wstyd rodzinie. Nie chcą mnie znać –

powiedziała April. Nadal płakała z tego powodu przynajmniej raz w tygodniu, a często codziennie.

– Nie można mieć zaufania do tego, czym tu handlują. To trucizna. Gotują to z ajaxem i nie wiadomo z czym, Mimi.

Wzięła to zdrobnienie od Lu, ale w jej wykonaniu, z melodyjnym akcentem z Florydy, brzmiało bardziej słodko.

– Jak potrzebujesz tabletek nasennych, weź je od lekarza.

Miranda mogła mieć tylko nadzieję, że będzie mogła kontynuować gromadzenie zapasów zolofu, aż będzie miała wystarczającą liczbę tabletek. Musi zbierać je co najmniej przez sześć tygodni, a może przez osiem. Da radę znosić niepokojącą obecność Lundquista tak długo? Jego niewygodne próby wyciągania starannie spakowanych kawałków przeszłości? A co, jeśli w końcu jego leki nie zadziałają? Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, to zabić się, a potem obudzić się żywą.

Jeśli chodzi o April, starała się nie myśleć, co jej śmierć będzie dla niej oznaczała. Kolejne opuszczenie.

TYDZIEŃ WLÓKŁ SIĘ NIEMIŁOSIERNIE POWOLI, AŻ W KOŃCU NADSZEDŁ CZAS NA KOLEJNĄ WIZYTĘ. Podążała surowymi korytarzami, śmierdzącymi kredą jak tężejący cement, choć zbudowano je lata temu. Ostatni z nich prowadził do czarnych stalowych drzwi z szybą wzmocnioną drutem. Za nim deszcz lał się strumieniem z okapu, tworząc ścianę wody. W punkcie kontrolnym stał strażnik, starszy mężczyzna, którego Miranda nie rozpoznała. Spojrzał na nią, gdy go mijała.

– Masz jeszcze kilka minut. Poczekaj tu, może deszcz trochę zelżeje.



Jego uprzejmość zszokowała ją. Przetrzęsnęła pamięć w poszukiwaniu odpowiedniej riposty.

– Dziękuję – powiedziała w końcu.

Strażnik wrócił do studiowania biuletynu o wyścigach konnych, a ona stanęła w drzwiach, gapiąc się przez podrapane szkło na krople spadające na błoto w ogródku Onidy, miotające główkami begonii w prawo i w lewo, machające żółknącymi, pozbawionymi kwiatów łodyżkami tulipanów. Usiłowała wymyślić, co powie Frankowi Lundquistowi.

Miała w sumie ochotę powiedzieć mu wszystko.

– Teraz musisz już iść, pada czy nie – powiedział strażnik, wskazując głową zegar.

Brzęczyk eksplodował tuż obok jej ucha. Napała na drzwi, otworzyły się, wyrzucając ją w zimne strugi. Szła szybko, wystawiając twarz na smaganie deszczu.

Postanowiła: nie powie mu wszystkiego. Zamiast tego nic mu nie powie.

A w zasadzie powie mu, że już nie potrzebuje tych wizyt.

Przekaz Deliny utkwiał jej w pamięci: zoloft nie jest odpowiednią strategią wyjścia, stuprocentową, taką, jakiej potrzebuje. Uda się do złotozębej geniuszki farmaceutyki albo znajdzie inny sposób, żeby dostać to, czego potrzebuje. Zwykle doprowadzała do końca każde postanowienie. Uwolni się. Zakończy to niepowodzenie zwane jej życiem. À propos tracenia czasu: przez Franka Lundquista marnowała właśnie ostatnie pozostałe jej chwile.

## 5

### ZAKOŃCZYĆ TERAPIĘ, KIEDY JEJ KONTYNUACJA PRAWDOPODOBNIENIE NIE PRZYNIESIE KORZYŚCI PACJENTOWI

(Zasada 10.10a.)

– Ale leje – zauważyłem. Kosmyki włosów wyslizgnęły się jej z gumki i przykleiły do policzków. – Zimno pani? – Zdjąłem marynarkę z wieszaka obok drzwi i podałem jej. Odmówiła.

– Proszę opowiadać. Jak się pani czuje, oprócz tego, że pani zmokła?

Zmrużyła oczy i patrzyła na podłogę, jakby szukała znaczenia we wzorze zadrapań i plamach błota. Potem podniosła wzrok na mnie.

– Nie sądzę, żeby te spotkania naprawdę mi pomagały. W tej chwili nic mi nie dają.

Najnowsza literatura dla terapeutów dotycząca dbania o własne zdrowie psychiczne ostrzega, aby nie panikować w obliczu przedwczesnego zakończenia terapii. Według ekspertów decyzja pacjenta o zakończeniu terapii może być spowodowana jego oporem, a nie czymkolwiek, co zrobiliśmy lub czego nie

zrobiliśmy. Ważne jest, aby nigdy nie widzieć zakończenia jako osobistego odrzucenia.

Co z tego. Czarna fala. Powódź przerażenia. Usiadłem z powrotem na krześle, gapiąc się na jej opanowaną twarz, wzrok spuszczonej w dół. Zrozumiałem: po prostu nie mogę pozwolić, żeby odeszła. Stawka jest zbyt duża. To jej przypadek wyprowadzi mnie z tego bezdroża, oddali depresję, która prześladowała mnie od roku, od sprawy Zacha Fehlera, od upadku Clyde'a. Gdy uratuję ją, uratuję siebie.

– Niech pani posłucha – powiedziałem. – Popełni pani duży błąd, jeśli przestanie pani tu przychodzić.

Jej wzrok, nagle pełen rezerwy, napotkał mój.

– Dlaczego?

– Jest w pani opór przeciwko czemuś. Uważam, że jesteśmy na dobrej drodze.

– Na jakiej drodze? Ja nigdzie nie idę. Już nigdy do niczego nie dojdę. Co pan może na to poradzić? Jak może mi pan pomóc w takiej sytuacji? – Wpatrywała się we mnie przeszywającym wzrokiem. Deszcz walił coraz mocniej w małe okienko. Zapora białego szumu.

Wstałem i obszedłem biurko dookoła. Oparłem się o nie i patrzyłem na nią. Była blisko – na wyciągnięcie ręki. Oszacowałem ryzyko i podjąłem je.

– Właściwie to jesteśmy bardzo do siebie podobni – powiedziałem. – Rozumiem panią dużo lepiej, niż może pani przypuszczać.

Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Ramiona jej drżały.

Spojrzałem w dół, tam, gdzie zaczynały się włosy. Skóra była blada, jak w miejscu, które zwykle jest ukryte. Jak skóra między palcami albo pod pachą. Wydawało mi się, że to zbyt intymna część ciała, żebym mógł się na nią gapić. Odwróciłem się i wyjąłem kilka chusteczek z pudełka na biurku.

Tak bardzo chciałem powiedzieć: „Wiem, gdzie była twoja szafka, zaraz obok sali do nauki pisania na maszynie. Całymi latami myślałem o tobie za każdym razem, kiedy słyszałem dźwięk maszyny do pisania. Naprawdę martwię się o ciebie, o to, co się z tobą stanie. Pomaganie ci nadaje sens mojemu życiu. Dzięki tobie mam po co wstać z łóżka”.

Ale nie mogłem tego powiedzieć. Nie teraz. To nie był odpowiedni moment.

– Chce pani chusteczkę? – zaproponowałem.

Postanowiłem odsłonić się tylko trochę, w granicach bezpieczeństwa.

Anna Freud uważała, że relacja między pacjentem a terapeutą może tylko skorzystać na przyznaniu wspólnego im obojgu wymiaru ludzkiego.

– Wie pani, miałem kiedyś prywatną praktykę – powiedziałem. – Nie zawsze pracowałem w więzieniu. Schrzaniłem coś i wylądowałem tutaj. Trochę tak jak pani.

Spojrzała na mnie załzawionym wzrokiem.

– Nigdy pan nie zrozumie, przez co tu przechodzę.

– Skąd pani wie?

Potrząsnęła głową i znowu schowała twarz w dłoniach. Ukucnąłem przed jej krzesłem, podając jej chusteczki. Wzięła jedną

i otarła oczy. Wstałem i oparłem się o biurko.

– Ma pan życie? – Spojrzała na mnie. – To znaczy żonę, dzieci, rodzinę?

– Moja sprawa rozwodowa właśnie się kończy – odparłem niechętnie. – Nie mam dzieci.

– Ale ma pan pracę.

– To prawda. Ale to nie jest moja wymarzona praca. Nie przypuszczałem, że tu trafię, nie w tym punkcie kariery.

– To pewnie śmiertelnie nudne zajęcie? – Pociągnęła nosem. – Założę się, że tak jest. Mnóstwo głupich ludzi, którzy tylko narzekają.

– Zarabiam na chleb. – Wzruszyłem ramionami.

Przycisnęła złożoną chusteczkę do oczu.

– Kiedy pomyślę o tym wszystkim, co zmarnowałam...

– Co pani zmarnowała? – spytałem łagodnie.

– Wszystko – wyszeptała. Znowu zaczęła łkać. – Życie. Możliwości. Dzieci. – Wytarła nos. – Lepiej już pójdę. Nie mam ochoty rozmawiać.

Kiedy wstała, zmięte chusteczki spadły z jej kolan na podłogę. Patrzyłem na nią z góry i czułem się dziwnie, jakbym był pozbawiony ciała i latał nad nią, gdy kuciała i podnosiła po kolei chusteczki. Wyprostowała się, wrzuciła je do kosza i odwróciła się do drzwi. Wtedy wyciągnąłem rękę i chwyciłem ją za nadgarstek.

– M. – powiedziałem. – Proszę dać mi szansę.

To raczej nie mój dotyk, a sposób, w jaki wymówiłem jej imię, sprawił, że zatrzymała się i zwróciła w moją stronę. Nagle wydawało się, że jej spojrzenie odzyskało ostrość. Może wtedy coś

zobaczyła. Jakąś wskazówkę w moim wyrazie twarzy. Jakąś rysę.

– Proszę się nie poddawać. Nie porzucać nadziei.

– Chyba że załatwi mi pan mocniejsze leki – powiedziała. – Poproszę o elavil.

NIEKTÓRZY PACJENCI WYSYSAJĄ SIŁY PSYCHICZNE Z OTOCZENIA. ZACHARY FEHLER WŁAŚNIE TO ROBIŁ, ze swoimi wściekłymi, małymi jak krople czekolady oczami i zmarszczką między brwiami oraz potwornie egoistycznymi i niekompetentnymi rodzicami. Gdy prowadziłem jego terapię, nie mogłem przestać o nim myśleć. Przez niego chodziłem w tę i z powrotem po salonie późno w nocy. Winnie narzekała. Sąsiedzi z dołu narzekali.

Kiedy jeszcze byłem na stażu, dostałem przypadek prezbiteriańskiego duchownego, którego wykańczał rak. Śmierć go przerażała, bo był pewien, że pójdzie do piekła za to, że bił swoje dzieci. Wyobrażał sobie ze wszystkimi szczegółami, jak będzie tam w zaświatach, opowiadał mi, jak diabeł będzie chłostał go po piętach, jak będzie kazał mu tańczyć na rozgrzanych węglach.

Minęły lata od śmierci tego człowieka, a ja nadal mam koszmary senne, przez które budzę się z krzykiem.

Ale moi pacjenci nigdy nie dowiedzieli się, jak bardzo mnie naznaczyli. Nie wiedzą, że ich piętna nie da się wymazać. To dlatego terapeuci się wypalają. Niektóre losy ludzkie pozostają wryte w umyśle. Kiedy usłyszysz historię Zacha, masz ochotę przycisnąć jego udreńczoną twarzyczkę do siebie, zabrać go na lody z posypką i śpiewać mu kołysanki, ale nie możesz. Siedzisz w gabinecie, próbując z nim rozmawiać przez czterdzieści pięć

minut, dwa razy w tygodniu. Robisz terapię zabawą, zadajesz mu naprowadzające pytania. Czas się kończy i on musi wracać do swoich wilków.

Ale ten przypadek, przypadek M., będzie inny. Byłem zdeterminowany. Sprawię, że jej historia będzie miała zdecydowanie pozytywne zakończenie, spowoduję jakąś znaczącą zmianę w jej życiu, zmianę na lepsze. Rodzice Zacha Fehlera w swoim pozwie zarzucali mi, że zniszczyłem życie ich dziecka. Że ja i moje metody: cholerne odgrywanie scenek, cholerne kukielki i tak, to jedno potknięcie, te nieodwracalne sekundy, kiedy pozwoliłem sobie na słabość. Ten nagły zwrot. Że w jakiś sposób moje odejście od dystansu terapeutycznego wzniciło jego furie, sprawiło, że stała się śmiertelna. Że jego załamanie, cały ten horror, że to w jakiś sposób była moja wina. Zawsze byłem w dziewięćdziesięciu procentach przekonany, że to nieprawda. Ale zwątpienie zawarte w pozostałych dziesięciu procentach zniszczyło moją praktykę terapeuty i moje małżeństwo. Uderzyło w sam środek mojej wiary w siebie. W oczywisty sposób. Można się było tego spodziewać.

Ale z M. wszystko będzie dobrze. Teraz, po kilku tygodniach terapii, zobaczyłem, że ta osoba, ta zapadająca w pamięć koleżanka ze szkoły, ponownie pojawiła się w moim życiu jako prezent, okazja do zrobienia czegoś naprawdę dobrego, czegoś, co ma sens.

Dlatego właśnie znalazłem się w wysokiej czytelni biblioteki publicznej, gdzie zatrudnieni na stanowiskach poniżej swoich możliwości młodzi ludzie dyskretnie przysypiali lub wygrzewali się w pełnych kurzu promieniach słońca przy stołach z ciemnego

drewna. Pracownik biblioteki zaprowadził mnie do czytnika mikrofilmów, gdzie przeglądałem stare wydania nowojorskich gazet. Zatrzymałem się na czerwcu trzy lata temu:

„Córka byłego kongresmena aresztowana”.

„Oskarżona o morderstwo drugiego stopnia podczas usiłowania rabunku w Candorze, miasteczku w północnej części stanu Nowy Jork...”

„Według doniesień policji oskarżona przyznała się do wrzucenia broni do rzeki Oshandagi...”

„...dwóch mężczyzn śmiertelnie postrzelonych, jednego zidentyfikowano jako kapitana Ochotniczej Straży Pożarnej...”

„...druga ze śmiertelnych ofiar to według niepotwierdzonych doniesień policji współsprawca przestępstwa, współwłaściciel dwóch nowojorskich barów, z których jeden zamknięto za przestępstwa związane z narkotykami...”

„...ojciec podejrzanej przez jedną kadencję reprezentował dwudziesty ósmy dystrykt Pensylwanii w Kongresie, w latach 1976–1978. Jego nazwisko pojawiało się później w mediach w związku z dochodzeniem dotyczącym handlowania wpływami. Nie postawiono mu zarzutów”.

„PRZYJACIELE I RODZINA NIE MOGĄ ZROZUMIEĆ, CO POSZŁO NIE TAK. MIAŁA PRZED SOBĄ OBIECUJĄCE ŻYCIE”. Dłuższy kawałek.

Szef z firmy marketingowej, gdzie wtedy pracowała: „Była wymarzoną pracownicą. Przygotowywaliśmy ją do odpowiedzialnego stanowiska. Oniemieliśmy”.

Kuzyn M.: „Jeśli była zamieszana w tę sprawę, na pewno nie



było to z własnej, nieprzymuszonej woli”.

Bliska przyjaciółka M. z college’u: „Czasami martwiły mnie jej związki. Bardzo cierpiała. Ale jest niesamowicie lojalną osobą, nie zostawia ludzi”.

Prawnik stanowy z miasta Utica: „Mamy zamiar udowodnić, że świadomie wzięła udział w tym przestępstwie”.

Adwokat M.: „Moja pacjentka jest niewinna stawianych jej zarzutów. Działała w samoobronie, broniła się przed mężczyzną, którego, jak sądziła, znała. Nie miała pojęcia, w co się wplątała”.

OSZOŁOMIONY WRÓCIŁEM AUTOBUSEM DO MIESZKANIA, które nieporuszone letnim blaskiem na zewnątrz przyjęło mnie swoją zwykłą ponurą ciemnością. Wyciągnąłem z szafy z płaszczami pudło z płytami i wykopałem z niego tę ulubioną mojej matki. Leonard Cohen. Od lat o niej nie myślałem, ale teraz, nie wiadomo dlaczego, kawałki piosenek rozbrzmiewały mi w głowie. Wyciągnąłem się na skrzypiącej, rozkładanej oliwkowozielonej sofie. Słuchałem dobrze znanych, choć nie w moim guście, akordów i zastanawiałem się: w co ja się wpakowałem.

Przez całą swoją karierę starałem się unikać mylenia ról. Usiłowałem zbudować wysoki mur między życiem osobistym a zawodowym. Ale szczerze mówiąc, często mi się to nie udawało. To mit, że w doradztwie psychologicznym terapeuta potrafi słuchać ze stuprocentową bezstronnością. Psycholodzy, a także psychiatrzy są w końcu tylko ludźmi. Tak jak wszyscy inni zabieramy ze sobą do pracy cały bagaż swojego życia, a to, czego jesteśmy świadkiem w gabinecie, zanosimy do domu.

Kiedy pojawiłem się w Milford Basin, moje życie legło

w gruzach. Straciłem prywatną praktykę. Winnie i ja rozmawialiśmy już z adwokatami. Powiedzmy więc szczerze: podczas pracy tutaj prześladowały mnie własne demony. Walczyłem z nimi, gdy rano jechałem do pracy i wielokrotnie odmawiały pozostania w samochodzie zaparkowanym na zewnątrz ogrodzenia pod napięciem. Podążały za mną i nękały mnie w trakcie pracy. Kiedy Lana opowiadała o tym, jak jej matka zawsze myślała, że córka przejmie salon fryzjerski po ciotce Fay, ale Lana tego nie zrobiła, bo uzależniła się od trawy, demony podnosiły łby i zaczynały krążyć wokół mojej głowy, rycząc jak szympansy w porze karmienia w zoo. Kiedy Pat płakała nad swoim słodkim dzidziusiem, którego zostawiła pewnej deszczowej nocy w parku, by umarł, demony formowały w mojej głowie węża i podskakiwały radośnie.

A teraz przypadek M. prześladował mnie w nocy w domu, pozbawiał mnie snu, kazał mi jechać do biblioteki w letnią sobotę, kiedy powinienem się pocić, rzucając piłką z nastoletnimi sąsiadami. Ale ta kobieta. Znam ją albo znałem. Ta pacjentka wymagała czasu przeszłego, przyszła do mnie z bagażem historii. Ta pacjentka zmieniała wszystko. Nie mogłem po prostu w letni weekend niewinnie się bawić, kiedy wiedziałem, że ona siedzi zamknięta w betonowym pudle, sama, i potrzebuje mojej pomocy. Nie mogłem po prostu odłożyć do odpowiedniej szufladki jej nieszczęścia.

Chyba najlepsze, co mogę zrobić, to sparafrazować Bugentala, tego genialnego terapeuty terapeutów, bo tutaj trafia w sedno: cały ten pomysł „terapeutycznego dystansu”, mówi, to oksymoron,

kłamstwo, które mówimy samym sobie. Założenie, że terapeuta może pozostać obojętny wobec swojego pacjenta, jest, pisze (i ma stuprocentową rację), „pokusą dla tchórzy”.

„Cóż”, pomyślałem. „Mogę się mylić, ale nie jestem tchórzem”.

Oparłem głowę na kanapie i słuchałem, jak Cohen chrypi o słynnym prochowcu w piosence *Famous Blue Raincoat*. Myślałem o mojej matce, Colleen. Machała wachlarzem z próbkami kolorów, była w ciąży z Clyde’em, ubrana w kwiecistą bawełnianą bluzkę, z opaską na włosach. Kolory rozpościerały się między nami na łóżku w pokoju gościnnym. Według niej nowy pokój dziecienny powinien być miodowy albo kanarkowy, ale nie mogła się zdecydować.

– To może w paski? – zasugerowałem. – Będziesz miała oba kolory. Sam mogę pomalować – dodałem od niechcienia. Miałem trzynaście lat i nie chciałem, żeby było widać, jak bardzo jestem podekscytowany.

– Naprawdę? Zrobiłbyś to? – Uśmiechnęła się do mnie. Luźno spadające brązowe loki, niewielka przerwa między przednimi zębami. – Myślę, że to świetny pomysł.

Colleen często pokazywała te paski gościom, którzy przychodzili zobaczyć dzidziusia, kiedy się już urodził.

– Frank zrobił świetną robotę – mówiła. Oczywiście chciała, żeby świat się mną zachwycił, była moją matką. Ale i tak byłem jej wdzięczny, kiedy goście wzdychali nad moimi zdolnościami malarskimi. Nigdy nie wspomniała, co zrobiłem z resztką miodowej farby. Jak odkryłem gniazdo myszy w kącie garderoby przy pokoju dzieciennym. Jak podniosła wałek i zobaczyła sztywne, żółte,

utopione ciała wciśnięte w gęstniejącą farbę. Jak upuściła wałek tam, gdzie stała, na nowy dywan, i jak gwałtownie wymiotowała na czworakach ze zwisającym brzuchem ciężowym. To wyobrażenie matki z plecami wygiętymi w łuk, prostującymi się przy każdym odruchu wymiotnym, nigdy mnie nie opuści. Nadal jestem jej wdzięczny, że nie puściła pary z ust do ojca, Clyde'a ani nikogo innego.

Uważałem, że w pokoju dziecka nie powinno być szkodników.

Minęły już prawie trzy lata, odkąd jej nie ma. Ostry udar mózgu: złapał ją w salonie. Ojciec z bratem siedzieli na kanapie, na stoliku do kawy leżała pizza, w telewizji leciało *60 Minut*. Nadal nie docierało do mnie, że już nigdy z nią nie porozmawiam. Nadal wyobrażam sobie, że mogę wpaść na nią przypadkiem w tłumie na Times Square, gdzie często chodziła na spektakle, albo w samolocie, może będzie siedziała obok okna, z otwartą książką Johna le Carré na kolanach, a ja będę mógł się jej zwierzyć. Opowiedzieć jej o upadku Clyde'a. O procesie wytoczonym przez Fehlerów, o tych nieznośnych dniach awanturowania się o korzenie dziecięcej psychozy, odszkodowanie za błąd lekarski i wartość życia dziecka wyrażoną w dolarach. Opowiedziałbym jej o moim rozwodzie. Biorąc pod uwagę jej intuicję dotyczącą Winnie, nie zdziwiłaby się. Albo o spotkaniu M. po latach, lubiła takie historie. „O, to zrządzenie losu”, powiedziałyby z aprobatą.

„Miałem szczęście, że w moim życiu była taka ważna, kształtująca mnie postać”, powiedziałem sam do siebie jako terapeuta. Szczerze mówiąc, oboje rodzice stanowili dla mnie wzór do naśladowania. M. przez lata nie odzywała się do ojca, jak mi

powiedziała podczas ostatniej sesji.

- Dlaczego?
- Zrobił coś, co według mnie było niewybaczalne – odparła.
- Pani to zrobił?
- Nie, nie mnie.
- Chce pani to rozwinąć?
- Nie teraz.
- Ale już pani z nim rozmawia?
- Tak.
- Wybaczyła mu pani?
- Nie do końca.
- Kiedy więc zaczęła pani ponownie z nim rozmawiać?
- Kiedy ja zrobiłam coś niewybaczalnego.

Cohen śpiewał o ptaku na drucie i o pijaku w nocnym chórze w *Bird on the Wire*, gdy zapadłem w sen bez snów.

W NIEDZIELĘ SZUKAŁEM CLYDE'A. W WEEKENDY CZĘSTO KRĘCIŁ SIĘ MIĘDZY TURYSTAMI w parku Battery, ruszyłem więc na południe. Dzień był ciemny, niebo nad miastem zaścielały chmury, wyglądzając cienie. W parku było tłoczno przez jakieś zgromadzenie rastafarian, co wykorzystali przybyli tłumnie sprzedawcy lodów. Pchali swoje wózki z pobrzękującymi butelkami syropów w tę i z powrotem. Muzyka wykonywana przez fałszujący zespół reggae rozbrzmiewała w całym parku, ludzie szurali nogami w rytm ich pojękiwania. Znalazłem Clyde'a obok pomnika weteranów z Wietnamu. Siedział wygodnie rozparty na ławce za swoją wielką stertą skarpetek, pogrążony w konwersacji z brodatym facetem na wózku, który trzymał wiązkę sznurków z błyszczącymi balonami w kształcie zeppelinów. Unosiły się nad ich głowami jak

psychodeliczne myśli, które na pewno mieli.

Clyde uśmiechnął się, kiedy mnie zauważył.

– Patrz, kto przyszedł, Jackson – zwrócił się do swojego towarzysza. – To mój brat, Frank.

– Cześć – powiedział z sympatią Jackson. – Ten lekarz od głowy to ty?

– Mhm.

– Człowieku, ciągle mam taki sen. Płynę na wielorybie. Nigdy nie widziałem wieloryba, ale w tym pieprzonym śnie siedzę na nim. Co o tym sądzisz, Frank?

– Hmm, wiesz, interpretacja snów to twardy orzech do zgryzienia. Nie ma gotowych odpowiedzi... – Wzruszyłem ramionami.

– Twardy orzech. Nie ma gotowych odpowiedzi. Kiedyś poszedłem do magika od mózgu, na Bellevue. Powiedział to samo. Nie ma gotowych odpowiedzi. – Uśmiechnął się do mnie i potrząsnął głową. – Gratuluję, Frank. Niezły jesteś.

Odwrócił gwałtownie wózek, a balony nad jego głową podskoczyły.

– Nie ma gotowych odpowiedzi – wymamrotał, uśmiechając się.

– Tak, tak. – Spojrzał na Clyde'a. – Człowieku, jadę do Seaport. W zeszłym tygodniu robiłem tam świetne interesy. Musisz zostawić ten burdel i spróbować szczęścia w Seaport.

– Jimmy mnie stąd odbierze. Zostaję tu.

– To na razie. – Jackson jeszcze raz zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu i odjechał na swoim wózku. – Fajne masz buty, Frank.

– Zaśmiał się. – Nie ma gotowych odpowiedzi. Tak, tak.

Nagle zatrzymał się i znowu odwrócił się w naszą stronę.

– Może kupisz balonik dla dzieciaków, Frank – zaproponował.

– Nie mam dzieci – odpowiedziałem przeproszającym tonem.

– Ale masz damę, co? – spytał i podjechał parę metrów w moją stronę. – No weź, kup jednego dla swojej pani. Zasługuje na to, co nie?

– Jezuuu, ja... – Spojrzałem na Clyde'a. Skinął głową, a jego spojrzenie mówiło: „Zrób to”. – Dobra. – Podałem Jacksonowi dziesiątaka. Dał mi dwa różowe „hindenburgi”.

– Zobaczysz, jaka będzie dla ciebie miła. Będziesz mi dziękował, człowieku. – Ukłonił się lekko, uśmiechnął i odjechał, chichocząc.

– Zrobiłeś dobry uczynek – powiedział Clyde. – Balony to teraz mało chodliwy towar, tak mi powiedział. Wszyscy kupują te nakręcane świnki.

Przywiązałem sterowce do ławki Clyde'a i usiadłem. Dzieciaki oblewały się wodą z potężnych pistoletów wodnych, wyjąc i skowycząc jak dokazujące młode drapieżniki. Obserwowałem je przez chwilę. Wiedziałem, że muszę się wygadać.

Clyde w fazie narkomana służył mi za swego rodzaju powiernika. Ci z nas, którzy profesjonalnie zajmują się pomaganiem, często cierpią na ukryte przeładowanie: klienci powierzają nam swoje tajemnice, nie ma więc już miejsca na nasze własne. Przyznam się: zacząłem wykorzystywać mojego młodszego brata do wylewania swoich brudów. Rozmowa z nim była jak krzyczenie w głąb studni.

– Jedna z moich pacjentek chodziła do liceum Lincolna –

powiedziałem.

– Niemożliwe! – Wytrzeszczył oczy.

– Bardzo dobrze ją pamiętam.

– Ktoś z Lincolna jest w areszcie?

– W więzieniu. Nie pamięta mnie, a ja jej nie powiedziałem, że chodziliśmy razem do szkoły.

– Za co siedzi?

– Pewnie powinienem był powiedzieć jej o tym od razu, na początku. Morderstwo drugiego stopnia. Napad z bronią w rękę, coś poszło nie tak. Dość poważne. Długi wyrok.

– O kurwa.

– To nie było zaplanowane z tego, co wiem. Oczywiście był zamieszany w to jej chłopak. Coś tam poszło bardzo nie tak.

– Ja pierdolę.

Westchnąłem.

– W szkole chodziła z tym Brianem Fullerem, strasznym dupkiem. Ciągłe się przechwalał, że musi sobie smarować owłosioną klatę woskiem na zawody pływackie.

Clyde przyglądał mi się badawczo przez chwilę.

– I ona cię nie pamięta? – spytał.

– Nie-e. – Wstałem i wyrząłem nad barierką na spienioną zatokę. Samotnie przycupnięta Staten Island wyglądała jak uchylający się przed kopniakiem pies. – Powinienem był od razu coś powiedzieć, ale byłem ciekawy, było mi jej szkoda, nie chciałem jej zawstydzić ani zdenerwować. Cholernie dużo w życiu przeszła.

– No i chciałeś nadal ją widywać.



– Żeby jej pomóc. Jako terapeuta. Jest refleksyjna, wiesz? Czuję, że naprawdę mogę jej pomóc.

– Jasne – powiedział. – Ładna?

Usiadłem twarzą do niego i wywróciłem oczami.

– Weź, dorośnij.

– Znaczy, że ładna. – Uśmiechnął się.

– Naprawdę jej pomagam – powiedziałem. – Tak mi się wydaje. Bardzo cierpi.

– Zamordowanie człowieka może mieć taki skutek – powiedział i zaśmiał się sarkastycznie.

– Ej – warknąłem. – Każdy może popełnić błąd, no nie?

Zmarszczył brwi.

– Najprawdziwsza prawda. – Odwrócił się i zaczął uzupełniać skarpetki w rzędach na swoim pudle Whirlpool, wyciągając nowe pary ze szmatławej torby.

– Zapraszam cię na kolację – powiedziałem. – Do Katza. Na pastrami.

Odpowiedział, że za pół godziny przyjedzie po niego Jimmy i nie ma mowy, musi tu na niego czekać.

– Chodź spać u mnie – powiedziałem błagalnie.

– Nie-e. Znowu ukradłbym ci portfel.

Odchyliłem głowę do tyłu, szukając prostoty czystego letniego nieba, ale w tym miejscu było ono całe poznaczone, same druty elektryczne, wieżowce, ślady samolotów, krzyżówka nabazgranych zygzaków nad naszymi głowami.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Jak się znalazła w tym miejscu.

– Nie jest morderczynią, nie mogłaby zabić z zimną krwią – powiedziałem.

– Wszystko jedno. – Wzruszył ramionami.

– Po prostu staram się choć trochę komuś przydać. Zmagam się z bezsensiem życia, Clyde.

– Rozumiem cię. – W zamyśleniu układał swój asortyment w naprzemiennych rzędach, czerwone paski, potem niebieskie paski i znowu czerwone. – Bezsens to syf.

## 6

### LIPIEC 1999

Strażnicy roztrzaskali jej słoik kremu Nivea. Wyrzucili z pudełka pocztówki z kwiecistymi obrazami Georgii O’Keeffe, zasłali nimi całą podłogę. Połamali grzbiety twardych okładek książek z więziennej biblioteki: *Sto lat samotności*, *Głoś to na górze*, *Mała Dorrit* i potrząsali nimi tak mocno, że chmury zatechłego kurzu unosiły się w powietrzu.

Jedna dziewczyna (znana im tylko jako Fasola) umarła z przedawkowania cracku. W lodówce na oddziale D znaleziono jeszcze cztery kamyki cracku zawinięte w folię plastikową i ukryte w kostce margaryny. Wypędzona na korytarz Miranda słuchała, jak strażnicy wywracają pokoje do góry nogami, i zauważyła, że plastikowe kratki na podwieszanym suficie – chyba nazywały się kratki wentylacyjne? – przypominają szuflady z przegródkami w starej skrzynce do wędkowania ojca, gdzie każdy kwadracik wypełniał czerwony szałwik, gumowa przynęta albo splątane haczyki z zadziorami. Wiedziała, że nie znajdą jej dwudziestu pięciu tabletek elavilu. Delina pokazała jej, jak świetnie mieściły się w pustych ramionach więziennych wieszaków na ubrania.

Kiedy ekipa poszukiwawcza przesunęła się do następnych pomieszczeń, Miranda zaczęła sprzątać. Wytarła wodę wylaną z plastikowego dzbanka. Jej listy leżały rozrzucone, przemoczone, z rozmazanymi literami. Jej płatki śniadaniowe Life zostały wyrzucone do śmieci. Na szczęście oszczędzono zupki typu gorący kubek.

Beryl Carmona wetknęła głowę do środka.

– Ja nie ustalłam zasad, tylko pilnuję ich przestrzegania – powiedziała.

CIAŁO ZAMKNIĘTE W WORKU PRZEWIEZIONO NA ŁÓŻKU NA KÓŁKACH, gdy Miranda siedziała w kuchni z April, czekając, aż zagotuje się woda na makaron. Kółka skrzypiały żałośnie, co przypomniało jej, że Fasola miała metr dziewięćdziesiąt wzrostu i była silnej budowy. Złotobrązowe oczy April zaszklily się. Wytarła je grzbietem ręki, co sprawiło, że Miranda wróciła myślami do wczesnego dzieciństwa, do Amy, do ich brutalnych dziewczyńskich gier i tego, jak jedna z nich była poważna, a druga płakała.

– Strasznie się boję tego gówna, Miranda. Strasznie – powiedziała April.

Miranda rozumiała. Słyszała jej trudną historię, nie, wchłonęła ją w siebie jak promieniowanie, w powtórkach i przeróbkach, aż zmieniło ją to na poziomie komórkowym. Tak samo jak April wchłonęła historię Mirandy.

Po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej April ponownie się zaciągnęła i podczas redukcji wylądowała w Berlinie. Szefowała służbie kuchennej w głównej kwaterze wojsk amerykańskich i po raz pierwszy w życiu zakochała się na zabój, w specjalistce od

logistyki o imieniu Karlee, która pracowała przy likwidacji bazy, wysyłała krajalnice do wędlin ze sklepu z okazjami na terenie bazy, maszyny do fliperów ze świetlicy, serwery danych z tajnych miejsc, gdzie wywiadowcy podsłuchiwali Sowietów. Karlee zlikwidowała też serce April. Któregoś dnia powiedziała jej, że zaczęła się spotykać z Niemką pracującą na poczcie, którą poznała w pracy.

– Nazywała się Martina. Piękna, dużo ładniejsza ode mnie. Ale myślałam, że Karlee była mi przeznaczona. Załamalam się.

Pojechała właśnie do domu na urlop, tydzień przedtem, zanim to się zdarzyło, i powiedziała rodzicom o swojej miłości, robiąc przy okazji coming out.

– Tata walnął mnie tak, że przeleciałam przez całą kuchnię. Bum. – Podkreśliła to, uderzając niewidoczną osobę przed sobą grzbietem dłoni.

April przyjęła odprawę i honorowe zwolnienie z wojska. Przeprowadziła się do Nowego Jorku i zaczęła pracę w Apple Bank.

– Mają strasznie wysokie prowizje, nie korzystaj nigdy z tego banku – poradziła Mirandzie.

Pewnego dnia wyszła z pracy z czternastoma tysiącami dolarów w kieszeni.

– Brałam crack, Miranda. Mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę tego gówna. – Potrząsała kształtną głową ozdobioną warkoczykami w łagodnych splotach. – Nie mam zamiaru stoczyć się tą samą drogą.

– Jasne, że nie – odpowiadała zawsze Miranda.

– Jesteś moją siostrą – upewniała się zawsze April. W zależności od nastroju Mirandy albo sprawiało jej to głęboką przyjemność,

albo przyprawiało o drżenie rąk.

Najgorsze, co się stało podczas tamtego przeszukiwania celi, to że strażnicy przemoczyli torebkę, którą Miranda zrobiła na szydełku dla matki, i to tego dnia, kiedy miała jej wręczyć prezent. Torebka sama w sobie wyglądała smutno: z żółtej włóczki, wielkości kanapki, na długim pasku, z opadającymi frędzlami. Ociekająca wodą przypominała zużytą ścierkę do mycia toalety. Ale Miranda była z niej dumna. Stara Kolumbijka Maria Juana nauczyła ją robić na szydełku. Żadna kobieta w rodzinie Greene'ów nigdy tego nie umiała, przynajmniej od czasów prababci Schmidt, ze strony matki. Prababcia pochodziła z Grazu.

– JAKA SŁODKA! SŁODZIUTKA – MRUCZAŁA BARB GREENE, PRZEWIESZAJĄC PASEK PRZEZ RAMIĘ. Nie wspomniała nic o lekkim odorze stęchlizny, który w sumie mógł być niewyczuwalny w ogólnym zaduchu pokoju wizyt, gdzie rozchodziła się ostra woń chipsów Cheetos z automatu, pizzy z mikrofalówki i brudnych pieluch dzieciaków wwożonych w wózkach przez odwiedzające siostry i babcie. Było popołudnie dnia powszedniego, więc Miranda i jej matka znalazły miejsce do siedzenia przy jednym z rozstawionych stołów. W weekendy często musiały stać.

– Jak ze spaniem?

– W miarę.

– Alan chce cię zobaczyć, Mirando. Bardzo.

– Nie ma mowy, mamó. Sorry.

Matka Mirandy zabrała rękę i gapiła się na zabłoconą podłogę. Zawsze podczas tych odwiedzin była na granicy łez. W rękę ścisnęła chusteczkę, a z tego, co wiedziała Miranda, w kieszeniach

sweterka z wielbłądziej wełny miała ich cały zapas.

Kiedy Miranda została aresztowana, ojciec namówił Alana Bloomfielda, żeby wziął jej sprawę. Miranda nie miała zbyt dużo do powiedzenia – siedziała wtedy w areszcie w Oneancie, zaznajamiając się z realiami swojego nowego życia. Po tym, jak przetrzymywali ją przez dwadzieścia cztery godziny, pojawił się Alan. Przyniósł jej ubrania na zmianę, które dała mu matka, i koszyczek z drogimi mydłami i szamponami od taty razem z liścikiem: „Mirando, mówią, że będziemy mogli cię zobaczyć po tym, jak ci przedstawią oskarżenie. Nie mogę się doczekać. Myślę o tobie. Kocham, Edward”.

Miranda gapiała się na koszyk opakowany szeleszczącym celofanem.

– Co on myśli, że jestem w Hiltonie?

Alan zachichotał. Był to gruby w pasie mężczyzna o rzadkich siwych włosach i krzaczastych brwiach, które opadały, jakby pod ciężarem nieujawnionych myśli.

– Kochanie, biorąc pod uwagę sytuację, twoja rodzina radzi sobie dość dobrze. Ostatnia rzecz, której mogli oczekiwać, to taki cios jak ten.

– Wyciągniesz mnie stąd? – spytała Miranda.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Wyjdiesz stąd prędzej, niż myślisz. – Wpatrywał się w nią świdrującym wzrokiem. – W ogóle był nieprofesjonalny ten jakiś McCray. Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się bawiłaś, kochanie.

Miranda powinna była bardziej się starać, żeby przekonać rodziców do wynajęcia innego prawnika. Nigdy nie ufała Alanowi

Bloomfieldowi. Ale trzeba wziąć pod uwagę, w co była zamieszana. W coś, co miesiąc temu, nie, tydzień temu, nie przyszłoby im w ogóle do głowy, nikomu z nich, Mirandzie też nie. Wiedziała, że zasłużyła na to, co dostała.

A Bloomfield miał rację, następnego dnia wypuszczono ją za kaucją, dzięki oszczędnościom babci Rosalie Greene, które jej ojciec odziedziczył parę miesięcy wcześniej, gdy babcia została w końcu na wieki uwolniona od nękającego ją alzheimera, tydzień po świętach Bożego Narodzenia.

Nikt z nich nie winił Alana Bloomfielda za skazujący wyrok. Doradzał jej dobrze i przekonał oskarżenie do usunięcia zarzutu o napad z bronią w rękę i do obniżenia kategorii kary do morderstwa drugiego stopnia. A długie lata więzienia? Wszyscy mówili, że to wina wymiaru sprawiedliwości w hrabstwie Oneanta. Trudna kraina na północy stanu. Po tym, jak Mirandę zakwalifikowano jako mało niebezpieczną i wysłano do więzienia w Milford Basin, Barb przeprowadziła się z Waszyngtonu do wieżowca w Riverdale, żeby być bliżej niej. Zatrudniła się w małym biurze podróży w New Rochelle. Była sama, nie licząc Alana Bloomfilda, który mieszkał w mieście. Rozwiódł się, ona też. „Alan kolekcjonuje chiński jadeit, Alanowi smakował mój kurczak Marbella, Alan dostaje najlepsze miejsca na Broadwayu, bo bronił Shubertów”, mówiła. „Mamy wspólną historię z Alanem”.

Miranda nie winiła Bloomfielda, ale nie lubiła go. Jednak był oczko wyżej od Karstena Brunnera.

– Twój ojciec pchnął mnie w jego objęcia – powiedziała kiedyś matka, gdy Miranda spytała, co widziała w tym wiecznie ponurym



funkcjonariuszu ambasady austriackiej. Podszedł do niej w dziale mięsnym supermarketu z paczką wołowiny w ręku i zapytał:

– Przepraszam, kochanie, co to znaczy „tusza wołowa”?

Później Barb zawsze wzruszała ramionami, wspominając moment, kiedy się poznali.

– Według niego dobra zabawa polegała na siedzeniu na podłodze i słuchaniu awangardowego jazzu. Bez rozmów, tylko słuchanie – wzdychała. – Ale twój ojciec był taki niedostępny. Ciągle w drodze, te wszystkie kampanie.

Miranda miała wątpliwości co do Alana Bloomfielda, ale przynajmniej matka nie była samotna. To Alan woził ją na cmentarz w dniu urodzin Amy, powiedziała jej, ponownie osuszając oczy chusteczką.

– Przywiózł krzew róży i sam go posadził.

Tłusty dzieciak w czerwonym dresie młócił rękami i wył w objęciach matki przy stoliku obok.

– Nawet mnie nie poznaje – mówiła kobieta z oburzeniem. – Nie wie, kim jestem.

Barb obserwowała scenę przez chwilę, potem z powrotem odwróciła się do Mirandy.

– Lynn Sherrill urodziła dziecko – powiedziała.

– To miło.

– Chłopczyk. Nazywa się Justin. Nigdy nie lubiłam tego imienia. Miranda zapatrzyła się na wijącego się jak węgorz dzieciaka.

– Szkoda, że nie mogłam pojechać z tobą w urodziny Amy – powiedziała po chwili.

– Mnie też jest przykro, że nie mogłaś. – Matka wzięła ją za

rękę.

– Mamo – powiedziała. – Przepraszam.

– Nie musisz mnie przeproszać za każdym razem, kiedy przychodzę.

– Tak strasznie mi przykro. – Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Barb podała jej kartkę z wydrukowaną listą.

– Napisałam, co jest w paczce. Sprawdź, czy tym razem dali ci wszystko.

W zeszłym miesiącu strażniczka, która miała dyżur przy poczcie, zwędziła z jej paczki ser havarti, dżem z malinojeżyn, magazyn „People” i parę podkolanówek.

– Napisałam ją na moim nowym komputerze – oznajmiła Barb.

– Mówiłam ci, że Alan dał mi komputer?

– Nie – powiedziała ponuro Miranda.

– Błado wyglądasz. Wypuszczają cię na powietrze? Zawsze lubiłaś bawić się na dworze. Robiłaś sobie obóz w ogrodzie, pamiętasz?

Miranda spojrzała na zegar, umieszczony daleko na ścianie, za długim rzędem stolików ze zgromadzonymi przy nich płaczkami i wiercipiętami, z niemowlakami w fotelikach samochodowych umieszczonych na środku stołu jak wazon. Obok para staruszków w zaparkowanych wózkach inwalidzkich. Godzina odwiedzin zbliżała się do końca.

– Wiesz co, mamo, nie przypominaj mi nic teraz. Staram się żyć chwilą obecną.

– Martwię się o ciebie. – Wydmuchała nos tak elegancko, jak

tylko potrafiła.

– Mam trudny okres. Niedługo wszystko się ułoży.

Miranda usiłowała sobie wyobrazić, jak jej matka zareaguje na wiadomość o jej śmierci. Na początku przejmujący smutek. Nie mogło być dla niej nic gorszego. Ale długoterminowo będzie jej lepiej. Nastąpi zamknięcie. Nie będzie spędzała długich lat na wizytach w tym zatłoczonym pokoju, gdzie wyglądała jak jakiś kosmiczny żart w swoich szytych na miarę żakietach i złotych kolczykach. Przebywanie tutaj ewidentnie stanowiło szok dla jej organizmu. Za każdym razem, kiedy tu przychodziła, starzała się o kilka lat. Te wizyty zbierały gorsze żniwo niż jakakolwiek śmierć. Miranda była tego pewna.

STAŁA SIĘ OCZKIEM W GŁOWIE FRANKA LUNDQUISTA. Widać to było po tym, jak wstawał z krzesła za każdym razem, gdy wchodziła do jego gabinetu – bała się, że wpadnie na nią i przewróci ją na ziemię. Na twarzy miał zawsze zachęcający uśmiech, a na grzbiecie – starannie wyprasowaną koszulę.

Gdyby mogła, powiedziała mu prawdę. Nie czerpała żadnej radości z oszukiwania go. Pojawiłeś się za późno, powiedziała mu. Jestem już nie do uratowania, a ty po prostu skracasz moją drogę.

Co tydzień odkładała do banku kolejną dawkę elavilu, kładła kolejną warstwę chemicznego osadu – białe pudrowe zapasy mocy.

Ale nie powiedziała mu tej prawdy. Opowiadała mu o wspomnieniach, marzeniach, żalach, a on dawał jej tabletki. To była swojego rodzaju wymiana, w jej rozumieniu. A jak wszystkie wymiany, w których w grę wchodziło odsłanianie części

intymnych, czuła się trochę brudna.

Pewnego dnia po sesji Miranda, niespokojna, poszła spytać o to Lu, która właśnie skończyła depilować nogi podgrzanym w oddziałowej mikrofalówce woskiem. W powietrzu unosił się gęsty sosnowy zapach.

– Sprzedałabyś swoją duszę, gdybyś musiała? – spytała.

Lu przejechała dłońmi po błyszczących łydkach.

– Sprzedałam kiedyś swoje ciało. Wiszy. Pragnął mnie, a ja powiedziałam mu: „Dobrze, możesz mnie mieć, ale musisz mi dać w zamian dom na Long Island, europejski samochód, kartę American Express i kozaki, i płaszcz, jaki sobie wybiorę w Barneys”. A on powiedział: „OK” i dostał mnie... – wyliczała, kiwając głową. – Cztery z pięciu rzeczy. Oraz czas w więzieniu, czego nie było w umowie, ale takie jest życie, jak się mówi.

– Ale kochasz Wiszę.

– Tak. Nie sprzedałabym swojego ciała mężczyźnie, którego nie kocham, Mimi. Ani swojej duszy. Nie zrobiłabym tego.

Miranda zrobiła się przygnębiona.

Ale jednak kiedy była sam na sam z Frankiem Lundquistem, uspokojona gorącą herbatą i jego współczującym spojrzeniem, czuła się zmuszona, żeby powiedzieć mu parę rzeczy. Wykorzystywała go dość bezlitośnie, jak jej się wydawało, i nie czuła się z tym dobrze. Szczerze mówiąc, czuła się paskudnie z tego powodu i przez to podczas sesji terapeutycznych odsłaniała się bardziej, niż to zaplanowała. Tak właśnie doszło do tego, że zaczęła mu opowiadać o niebieskim samochodzie.

To był pontiac lemans z 1969 roku. Miał pysk, długi wyraźny

pysk, który kończył się dwoma światłami podobnymi do nozdrzy. Przednia szyba była wygięta do tyłu jak wybrylantynowana fryzura w stylu Elvisa Presleya, a dach otwierał się za dotknięciem przycisku, wydając z siebie uroczysty skowyt, gdy powoli odsuwał się i składał, chowając w przegrodę za tylnymi siedzeniami.

Miranda pierwszy raz zobaczyła ten samochód, kiedy Neil Potocki, najważniejszy sponsor jej ojca, zaparkował go przed ich domem w Pittsburghu, parę tygodni po zwycięstwie Edwarda Greene'a, gdy zdobył miejsce w Kongresie. Kartony do przeprowadzki zaczęły zapełniać korytarze domu. Mężczyźni naradzali się przy stole kuchennym, a matka wyganiała Mirandę i Amy na zewnątrz. A tam, na podjeździe, stał ten kabriolet. Miranda udawała, że go prowadzi, a Amy przeglądała się w bocznym lusterku, robiąc miny. Miranda miała pięć lat, Amy – dwanaście.

Neil Potocki miał wtedy brzuszek. Był właścicielem stacji telewizyjnej w Pittsburghu, w której pokazywano transmisje z posiedzeń rady miasta, i kanału 23 – dla dzieci. Brązowe garnitury, brązowe krawaty, brązowe wąsy, małe brązowe oczy, cienkie brązowe cygaretki. I niebieski samochód.

Chyba naprawdę go uwielbiał. Minęły lata i w 1981 roku, kiedy Miranda miała trzynaście lat, znowu zobaczyła Neila Potockiego, tym razem w Waszyngtonie, w niedzielę finału mistrzostw futbolu. Jedyne, czego nie zmienił, to kabriolet. Mieszkał wtedy w północnej Wirginii, na posesji ze wzgórzami w – jak to określali jej rodzice z ukrywanym podnieceniem – „krajnie łowów”. Na szczycie wzgórza, z widokiem na sąsiednią farmę, gdzie okryte

kocami konie biorące udział w biegach z przeszkodami jadły siano z wozów.

– To nie dom, to posiadłość – powiedziała jej matka, gdy jechali po ośnieżonej, stromej i krętej drodze prowadzącej na podjazd. Dom wyglądał na stary, był cały z białego drewna, z kamiennymi i ceglanymi balustradami, ale pachniał nowością. Neil Potocki nie ubierał się już na brązowo. Nosił teraz sweter w kolorze głębokiej czerwieni i spodnie khaki. Włosy mu posiwiały i zgolił wąsy. Wyglądał szczuplej i palił papierosy mentolowe, a czasem – fajkę. Niebieski samochód zaparkowany był przed domem, obok białego mercedesa. Matka Mirandy powiedziała jej, że sprzedał stację telewizyjną, zarobił kupę forsy, zainwestował w telewizję kablową, znowu się wzbogacił i wykupił wielkie posiadłości na wschodnim wybrzeżu.

– Jest milionerem? – spytała matkę.

– Och tak – odparła.

– I dał tacie pieniądze?

– Przekazał pieniądze na kampanię, kochanie, nie dał ich tacie.

Na obie kampanie.

– Był wściekły, kiedy tata przegrał?

– Nie wiem – powiedziała matka. – Ale nie pytaj go o to.

Finał mistrzostw leciał na największym telewizorze, jaki kiedykolwiek widział ktokolwiek z rodziny Mirandy. Tak wielkim, że miał swój projektor i wyświetlał obraz na olbrzymim, wygiętym ekranie. Na niskich kanapach mężczyźni w sportowych butach i kobiety w wełnianych spodniach i złotej biżuterii pili krwawą mary i jedli małe krakersy posmarowane pastą łososiową.

Drinki chyba były mocne, bo wszyscy mówili bardzo głośno i prawie nie zwracali uwagi na rozgrywkę ani na młodsze dzieci, które biły się i kłóciły, grając w gry planszowe w sąsiednim pokoju. Miranda siedziała na oparciu kanapy obok taty, słuchając, jak mówi o dużym porozumieniu lobbingowym dla firmy zajmującej się drewnem. Wydawało jej się, że zaraz zemdleje z nudy. Gryzła ją plisowana spódniczka podobna do kiltu. Drapiąc się pod paskiem, obserwowała mężczyznę siedzącego obok ojca, jego cienkie piaskowe włosy i duże bezbarwne oczy. Przytakiwał wszystkiemu, co mówił jej ojciec, ale co chwilę zerkał na mecz w telewizji. Obserwowała, jak jego wzrok przesuwa się tam i z powrotem, z ekranu na ojca. „Dorośli są strasznie fałszywi”, pomyślała. Przysięgła sobie, że nigdy już nie włoży tej okropnej spódniczki.

W końcu poszła poszukać Amy, przechodząc przez niezliczone pokoje, każdy z nieco innym ustawieniem perfekcyjnie miękkich kanap, krzeseł i stołów z polerowanego drewna. Na bibliotecze stało oprawione w ramkę zdjęcie pana Potockiego, na którym ściskał dłoń prezydenta. Prezydent uśmiechał się, a pan Potocki został uchwycony, kiedy coś mówił, z otwartymi ustami. Wyglądał jak ropucha usiłująca złapać muchę.

Znalazła Amy w ogromnej kuchni, gdzie rozmawiała po hiszpańsku z wynajętym barmanem. Uczyła się hiszpańskiego trzeci rok i usiłowała namówić rodziców, żeby pozwolili jej spędzić wakacje w Ameryce Południowej. Siedziała na blacie do krojenia mięsa, machając długimi nogami w białych wełnianych rajstopach i mokasynach.

– Mirando, to jest Joaquin. – Wskazała ręką niskiego,

przysadzistego mężczyznę w burgundowej kamizelce i muszce, który był zajęty krojeniem cytryn i limonek na plasterki. – Joaquin, *mi hermana* <sup>3</sup> – powiedziała do mężczyzny.

– Tak, *pardon* – odpowiedział z lekkim skinieniem. – Muszę teraz znaleźć pana Potockiego. Potrzebuję więcej toniku. – Wyglądał na zadowolonego, że znalazł pretekst, aby wyjść z pomieszczenia.

– Odwieszysz mnie do domu? – spytała Miranda, kiedy wyszedł.  
– Umieram z nudów.

Amy ześlizgnęła się z blatu i w roztargnieniu zaczęła ćwiczyć jakieś kroki z tańca cheerleaderek.

– Nie wiem. Myślisz, że tata by mi pozwolił?

Zrobiła prawo jazdy trzy tygodnie temu, za drugim podejściem („Naprawdę nie wiem, dlaczego migacze są takie ważne”, mówiła, wzruszając ramionami).

Miranda opadła na krzesło przy ogromnym stole kuchennym zastawionym tacami z jedzeniem, które czekały na podanie: krwiste plasterki rostbefu ułożone w fale, sałatka ziemniaczana w masywnych żółtych kopcach. Amy, nadal tańcząc do niesłyszalnej muzyki, chwyciła marynowanego ogórka z miski.

Otworzyły się wahadłowe drzwi i pojawił się pan Potocki.

– Cholera, Rosie, potrzebujemy toniku i...

Urwał nagle, gdy zobaczył Mirandę i Amy.

– Szukam gosposi.

– Rosie ma dolor de cabeza <sup>4</sup> – powiedziała Amy. – Poszła się położyć na chwilę.

– Kurwa. – Zmarszczył brwi i popatrzył na podłogę. Potem



podniósł wzrok, jakby nagle przypomniał sobie, gdzie się znajdują.  
– Nie słyszałyście tego, moje damy. – Puścił oko. Miał jeszcze niewielki brzuszek i gruby kark, ale poza tym można było uważać go za wytwornego, jak by powiedziała mama Mirandy.

– Umiesz prowadzić, kochanie? – zwrócił się do Amy.

– Jasne. – Uśmiechnęła się Amy.

– Dopiero co zrobiła prawo jazdy – powiedziała Miranda.

– Więc legalnie możesz prowadzić. Na pewno przyda ci się trochę praktyki. – Wyciągnął z kieszeni ciężki łańcuch chyba z dziesięcioma kluczami z grubą literą „P” wyrytą w mosiądzu. – Nie mogę zostawić gości samych. Weź mercedesa i pojedź po skrzynkę toniku. Niedaleko jest C-Mart, wystarczy zjechać drogą.

– Nie jestem pewna – powiedziała Amy, jakby na widok grubego łańcucha z kluczami ogarnęły ją wątpliwości.

– Mam pomysł. – Schował pęk kluczy z powrotem do kieszeni i z wąskiej szufladki pod telefonem wyjął pojedynczy klucz. – Masz ochotę przejechać się zabytkowym kabrioletem? To sportowy wóz, ma zryw.

– Tym niebieskim? – spytała Miranda.

– Tak, właśnie tym.

– Dobra. – Amy wyciągnęła rękę po kluczyk.

Spojrzał na nią oceniająco.

– Umiesz ubijać interesy. Córeczka tatusia. – Puścił oko. – Możesz nawet odsunąć dach, nadal działa.

Amy przytaknęła, lekko oszołomiona.

– Na dworze jest strasznie zimno! – wykrzyknęła Miranda.

– Świeci słońce. Pogoda w sam raz na przejażdżkę kabrioletem –

powiedział drwiąco.

– Mam powiedzieć tacie? – spytała Amy.

– Sam mu powiem – odparł, skubiąc rostbef z tacy.

– Moim zdaniem nie powinna prowadzić – powiedziała Miranda.

– Zamknij się! – warknęła Amy.

– Panienki – wtrącił się Potocki – bądźcie grzeczne.

Zwinął plasterek rostbefu i wsunął go sobie do ust, potem wyciągnął z tylnej kieszeni czarny skórzany portfel i wyłowił z niego banknot pięćdziesięciodolarowy. Podał go Amy, ściskając jej lekko dłoń. – Dzięki. I weź też tonik light, proszę. Tuzin.

– Poczekaj, aż wyjadę, zanim im powiesz – wyszeptała Amy do Mirandy.

Miranda zgodziła się. W końcu prawie zawsze robiła to, co kazała jej siostra.

Wyglądała przez duże wykuszowe okno we wnęce śniadaniowej. Odpalenie samochodu i opuszczenie dachu zajęło Amy dłuższą chwilę. Nosła rękawiczki, które babcia Rosalie kupiła w Garfinckel's. Kremowe, z kaszmiru. Ścisnęła mocno kierownicę, wycofując wóz tyłem z parkingu. Wtedy samochód wyślizgnął się z krętego podjazdu i zniknął wśród fioletowych, ośnieżonych wzgórz, ponad którymi wisiało zimowe słońce, jak znoszony srebrny medalion na bladej skórze nieba.

Samochodem nie jeżdżono od dwóch lat i linki hamulcowe całkiem sparciały. No i plama czarnego lodu, albo może jeleni, choć nie znaleziono śladów zwierząt. Tylko ślady gwałtownie skręcających opon, samochód z parującym niebieskim pyskiem

zakopany w śniegu i szesnastoletnia dziewczyna wtulona w oddaloną zaspę.

NISKA ŻYLASTA KOBIETA Z CELI NAPRZECIWKO MIRANDY pracowała na ulicach podejrzonej dzielnicy w Syracuse przez ponad dwadzieścia lat. Po oddziale krążyły plotki, że poderżnęła gardło frajerowi, który nie chciał zapłacić, i uniknęła krzesła elektrycznego tylko dlatego, że był zbiegłym więźniem, i do tego Afroamerykaninem. Nazywała się Weavy Moore. Każdego dnia siedziała przy małym biurku, które zrobiła sobie z grubego kartonu i sterty pudełek, i gryzmoła list do świata na tylnej gładkiej powierzchni kawałków papieru ściernego, który kradła z warsztatu stolarskiego, gdzie pracowała.

Tego dnia Weavy spojrzała na Mirandę, gdy wychodziła ze swojego pokoju, udając się do kuchni.

– Gadałaś całą noc – powiedziała.

Miranda zatrzymała się. Falujący głęboki głos. Weavy nigdy przedtem się do niej nie odezwała. Zawahała się przy otwartych drzwiach celi. Obok zaimprovizowanego biurka piętrzyła się wysoka do kolan sterta kawałków papieru ściernego. Ściany były gołe, nie licząc wyrwanej strony z magazynu przyklejonej taśmą klejącą nad biurkiem. Zdjęcie młodego, przystojnego Jessego Jacksona.

Weavy nie podniosła wzroku znad swojej pisaniny. Siedziała na krześle wyprostowana jak struna, ściskając gruby pisak. Głowę ciasno owijał czarno-biały szal, jakby jej umysł był raną, którą trzeba zabandażować.

– Mówisz przez sen. Gadasz coś bez sensu.

– Nie wiedziałam.

– Przeszkadza mi to.

– Przykro mi, ale nie wiem, co mam z tym zrobić. Nawet nie wiedziałam, że mówię przez sen.

– No i co z tego, to mi przeszkadza. Ty mi przeszkadzasz.

– Nie martw się – powiedziała Miranda. – Niedługo już mnie tu nie będzie.

Wtedy spojrzała na nią, powoli kierując szeroką pomarszczoną twarz w stronę drzwi. Patrzyła z głęboką obojętnością, w jej wzroku była taka pustka, że Miranda poczuła, jakby mogła w niej utonąć na zawsze.

– Nie będzie cię. Tak – powiedziała Weavy. – Pójdiesz prosto do piekła.

Miranda wycofała się. Weszła z powrotem do swojego pokoju. Bez udziału woli, jak za pociągnięciem sznurka, pojawiła się dziecięca postać. Zamknęła drzwi, oparła się o metal. Przycisnęła czoło do chłodnej powierzchni.

Czoło przyciśnięte do chłodnej powierzchni.

Zobaczyła leącą dziewczynę. Świeżo upieczonego kierowcę.

Teraz dziewczyna leciała nad śniegiem, tuż przed jej oczyma, pod mocno zaciśniętymi powiekami.

A za leącą dziewczyną kolejny obraz: ruszający się, promieniujący na czerwono i niebiesko. Przyciskała czoło do chłodnej powierzchni, trzynastoletnia, chłonąc chłód szyby, kiedy patrzyła na migające w ciemności światła, czerwone i niebieskie, czerwone i niebieskie, w ciemności zaraz za wnęką śniadaniową pachnącej nowością, wyglądającej na starą posiadłości w krainie

łowów. Małe rozmazane kropki czerwieni i błękitu przesuujące się szybko po ciemnym podjeździe. Kręgi światła, tłumy świecących istot goniących się w nocy. Jej czoło oparte o chłodną powierzchnię.

Z tyłu, za nią, pokój rozbrzmiewający dźwiękami. Wzdychanie, przełykanie, stłumiony płacz jej matki, jakby ktoś podtapiał ją ciągle od nowa w głębokiej wodzie.

– Dopiero co zrobiła prawo jazdy – zawodziła. Męskie głosy, wśród nich głos jej ojca. Stłumiona rozmowa. Potem brzękanie bransoletek, głośnie, zbliżające się do ucha Mirandy. Obce ręce na jej ramionach, dusząca mgiełka perfum, uderzenie pocałunku na czubku głowy.

– Biedna mała. – Głos, którego nawet nie znała. – Biedne maleństwo.

Daleko z tyłu dźwięki meczu, który dalej leciał w telewizji. Widownia w studiu klaskała, gdzie grała muzyka.

– Odrzuciło ją trzydzieści metrów od szosy – powiedział jakiś głos.

Zastanawiała się nad tym. Obracała ten fakt w pamięci. Nadal tam był.

Jakie to musi być uczucie, unosić się nad śniegiem?

Oparła czoło o stalowe drzwi celi, chłodzące skórę okrywającą jej mózg.

Tak prędko żeglowałaś, tak lekka. Tak wolna.

# 7

## **PODJAĆ KROKI, ŻEBY ZMINIMALIZOWAĆ SZKODY, KIEDY DA SIĘ JE PRZEWIDZIEĆ**

(Zasada 3.04.a)

Elavil, czyli chlorowodorek amitryptyliny, jest antydepresantem zawierającym trzy pierścienie w cząsteczce. Nie jest specjalnie silny. Niektórzy lekarze używają elavilu w terapii bulimii, w terapii chronicznego bólu, w zapobieganiu migrenie albo w celu złagodzenia patologicznego płaczu lub śmiechu związanego ze stwardnieniem rozsianym. Standardowa dawka elavilu to 75 miligramów dziennie. Nie jest on uważany za niebezpieczny lek, ale jego przedawkowanie może mieć skutek śmiertelny.

Nie miałem powodów, by uważać, że go przedawkuje.

Przeciwnie, nawet uważałem, że następuje poprawa. Czułem, że rozwija żagle. Ta historia o jej siostrze wydawała się przełomem. Wyjaśniała też źródło jej chmurnej natury, kiedy chodziliśmy do liceum. Nie żeby zawsze wydawała się smutna. Szczerze mówiąc, była lubiana, często otaczały ją puste dziewczyny i zadufane w sobie chłopaki. Ale zawsze dało się w niej wyczuć mądrą duszę, która wiele przeszła. W moich oczach nastolatka odróżniało ją to od

wrzaskliwych uczniów Lincolna. Coś w wyrazie jej twarzy, gdy mijala mnie na korytarzu, gdy oboje byliśmy sami. Zawsze to zauważałem. Czasami nawet zawracałem i szedłem za nią, kiedy mnie wyminęła. Uważałem, że wygląda na niesamowicie głęboką, nawet pochylenie jej głowy widzianej z tyłu, jej sposób chodzenia zdawały się wyrazem jej wyższych uczuć. Oczywiście byłem przekonany, że ja także jestem głęboki, mam dodatkowy wymiar, którego nikt jeszcze nie odkrył, jako że był schowany pod zwyczajnym wyglądem późno dojrzewającego chłopaka.

Pewnego zimowego dnia, gdy czułem się wyjątkowo odważny, bardzo znudzony albo szczególnie zły, poszedłem za nią aż na sam dół, dwa piętra schodów, do podziemnego przejścia prowadzącego do pracowni ceramiki, odległego piwnicznego królestwa ukrytego w ciemnościach i chmurze sproszkowanej gliny, wciśniętego między pomieszczenia magazynowe. Szum płomieni ze szkolnego pieca wypełniał powietrze. Śledziłem ją, aż nagle zatrzymała się, tuż przed drzwiami do pracowni. Zawahała się, jakby studiując tabelkę z godzinami wypalania w piecu. Zastygłem i usiłowałem schować się między wiadra z mopami.

Czy mnie zauważyła? Czy widziała, że byłem tam z nią?

Może. Trudno powiedzieć. Nadal tego nie wiem.

Wtedy, w podziemiu pełnym kurzu i ognia, miałem piętnaście lat i byłem pewien, że kolejne lata doprowadzą do jakiegoś zadowalającego rezultatu. Może nie widziałem w sobie geniusza, nie mogłem marzyć o osiągnięciu wielkości mojego ojca, ale zakładałem przynajmniej, że moje działania będą mieć jakiś wpływ. Że zmienię bieg życia paru osób, że pchnę je w dobrym kierunku.

Więc może nie jest pozbawione sensu pytanie: czy w tamtej cichej chwili, tam na dole, z dala od szkolnego chaosu, bliżej płomieni pieca, bliżej środka planety, może wyczułem, że w jakiś sposób los mój będzie spleciony z losem M.? Może ona też to wyczuła?

Może. Nadal nie wiem.

Weszła do pracowni. A ja spóźniłem się na chemię.

PO TYM, JAK ODGRZEBALIŚMY HISTORIĘ JEJ SIOSTRY, pomyślałem, że nasza relacja terapeutyczna znalazła swój rytm. Ale w następnym tygodniu pojawiła się w moim gabinecie przygaszona i odległa. Kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że cofnęliśmy się o krok. Co nie jest niezwykle, często po przełomie klinicznym obserwuje się wycofanie.

Czego wtedy nie wiedziałem, to że planowała umrzeć przed końcem tygodnia.

– Jak się czujemy? – spytałem.

– Och, nieźle – odparła.

– W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o śmierci Amy. – Zawahałem się przez chwilę. – To było straszne dla pani i dla rodziców. Chciałem jeszcze powtórzyć, jak bardzo mi przykro. To było potwornie traumatyczne wydarzenie, miała pani trzynaście lat, to bardzo delikatny wiek.

– Dziękuję za kondolencje – powiedziała bez wyrazu.

– Pozbieranie się po czymś takim zajmuje całe życie.

Spojrzała na mnie z posępną miną.

– Ma pan dobrze skalibrowany kompas moralny? – spytała. – Jestem ciekawa.

– Nie spotykamy się po to, żeby mówić o mnie –



przypomniałem.

– Bo mój chyba nie działa. I to mnie martwi.

– Rozumiem.

– Ale wydaje mi się, że ludzie, którzy naprawdę rozumieją różnicę między dobrem a złem, nie tylko rozumieją, ale też wprowadzają zasady w życie, występują rzadziej, niż sądzimy. Myśli pan, że to prawda?

– Być może.

Zmarszczyła brwi na tę wymijającą odpowiedź. Na moje miganie się.

– Podnoszę ten temat, bo wydaje się, że jest pan osobą, która za bardzo ufa innym. Lubię pana, więc... – Zamilkła.

– Cóż, dziękuję – odpowiedziałem spokojnie. – Ja też panią lubię. Ale, jak przypuszczam, faktycznie wierzę we wrodzoną moralność przeciętnego człowieka.

– Oczywiście, ma pan do tego prawo. – Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego sądzi pani, że... jak to pani ujęła, pani kompas nie działa?

– Niech pan nie żartuje – zaśmiała się. – Niech pan zobaczy, gdzie skończyłam. Zrobiłam mnóstwo głupot. Ewidentnie dość wcześnie zesłam na złą drogę.

– No dobrze, więc kiedy? – Wyprostowałem się na krześle. Puls nieznacznie mi przyspieszył. Może mogłem jeszcze sprowadzić z powrotem terapię na dobry kurs. – Kiedy zaczęła się pani gubić?

– Kto wie? – Westchnęła. – Jakoś po Amy. Kiedy Neil Potocki zaczął mówić, że ukradła kluczyki z kuchni.

– Ale pani była tam...

– Jego słowo przeciwko mojemu. – Wytarła dłonie o uda, jakby chciała zetrzeć z nich okruchy nerwowości.

– To duże obciążenie dla dziecka.

– Mój ojciec powiedział, że my znamy prawdę. Wiemy, że Amy nie wzięła kluczyków, i to jest najważniejsze. Chyba mu uwierzyłam. Przynajmniej wierzyłam w to do czasu. Przez parę lat.

– A potem? Co się stało?

Zamilkła na dłuższą chwilę, patrząc mi w oczy. W końcu powiedziała coś, przez co niemal spadłem z krzesła.

– Wygląda pan znajomo.

Zabrakło mi tchu.

– Co pani ma na myśli?

– Zastanawiam się, czy kiedyś się nie spotkaliśmy. Obydwoje mieszkaliśmy w Nowym Jorku, pewnie w tym samym czasie. Mieszkał tam pan przez dłuższy czas, prawda?

Przytaknąłem. Czułem się nieswojo. Oparłem brodę na dłoni.

Zerknęła na mnie z boku.

– Nie chodził pan przypadkiem biegać przy zbiorniku wodnym?

– Nie biegam, mam problemy z kolanami. – To była prawda.

– Uwielbiałam tam biegać. Myślałam, że może tam pana widziałam. – Westchnęła.

Nagle poczułem gwałtowny impuls. Miałem ochotę biegiem okrążyć biurko, złapać ją za ramię i powiedzieć jej. Wszystko. Nie tylko to, że ją znałem, że chodziłem za nią po szkole. Nie, wszystko o mnie. O mojej serii nieudanych romansów, o mojej złamanej karierze. O Winnie. O Zacharym Fehlerze. Słuchaj! Wiem coś o bólu, o stracie, o błędach. Gdybyśmy mogli porozmawiać przy

kawie, moglibyśmy znaleźć nić porozumienia...

„Przestań!”, powiedziałem sobie. „Źle. Całkiem niewłaściwie”.

Musiałem zmienić swój tok myślenia, i to natychmiast. Czy ja mam moralny kompas? Oczywiście. Tak.

– Chciałbym, żeby spotkała się pani z jedną z moich koleżanek – powiedziałem, zduszając drżenie głosu. – Nie jestem pewien, czy nadal robimy postępy, nie wiem, czy jest sens kontynuować nasze sesje...

– Dużo mi dały nasze spotkania – przerwała mi. – Proszę mi wierzyć.

Wstała. Przykuła mnie do krzesła spojrzeniem. W jej oczach zaczęły zbierać się łzy, mieniły się wieloma odcieniami jesiennych liści, był tam las pełen głębokich kolorów. Nie chciałem zrezygnować z oglądania tych oczu. Ale miałem zamiar to zrobić, żeby być dobrym.

Kolejne duże łzy wymykały się i spływały po jednym policzku.

– Ma pan rację – powiedziała, ocierając je wierzchem dłoni. – Nie będę już tu przychodzić.

– Może nazwijmy to przerwą. – Zebrałem się znowu w sobie i też wstałem, z walącym sercem. I wtedy poczułem niewielką otuchę. Naprawdę postępowałem teraz właściwie. Moralnie. –

Niech pani da sobie trochę czasu, żeby to rozważyć. Jeśli zdecyduje pani, że chce kontynuować, chętnie wyślę panią do którejś z koleżanek. Może do doktor Masterson.

– Nie – powiedziała ledwie słyszalnym głosem. – Doszłam już tam, gdzie chciałam. – Podeszła do drzwi, posłała mi łamiący serce uśmiech. – Naprawdę. Już skończyłam.

W TAMTEN WEEKEND OJCIEC PRZYLECIAŁ DO NOWEGO JORKU. Miał zostać odznaczony Legią Honorową Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego. Organizacja zarezerwowała mu pokój w Warfield, starym budynku z cegieł niedaleko Columbus Circle. Znalazłem sobie miejsce na schodach hotelu i czekałem na jego przyjazd. Było piątkowe popołudnie, połowa lipca, Broadway. Japońskie turystki osłaniały się od słońca parasolami golfowymi, a podekscytowane dzieciaki tłoczyły się wokół wózków sprzedawców lodów. Kobiety w upale chodziły bez staników. Biała limuzyna podjechała do krawężnika i wysiadł z niej speszony tata.

– Absurdalny samochód. Porozmawiam o tym z komisją budżetową – wymamrotał, gdy go objąłem. Przycisnął mnie mocno, dosłownie na sekundę, i uwolnił się z objęć. Przyjrzałem się jego twarzy. Oczy otoczone były czerwoną obwódką.

– Płakałeś?

– Nie. – Spojrzał na mnie gniewnie. – Gdzie mój bagaż? Boy go zabrał?

– Tato. Co się dzieje?

– Twojej matce bardzo by się podobało. Biała skóra, telewizor. Byłaby zachwycona.

– Taa. – Patrzyliśmy na samochód. W słońcu odbijanym przez szyby limuzyny zdawał się widnieć szeroki uśmiech Colleen.

Jeśli nałogiem Clyde'a była heroina, moim – no dobrze, zostawmy to, to przewiną taty było zaprzeczanie. Colleen nie żyła od trzech lat, a on cały czas mówił o niej w czasie teraźniejszym.

– Dobra, ale świętuj, bądź szczęśliwy – powiedziałem, wychodząc z tego nastroju. – Dostajesz nagrodę.

– To nic niewarte, a jestem tu tylko dlatego, że dostałem

darmowy przelot. Znalazłeś tego swojego brata? Co u niego, synu?

Prawda była taka, że Clyde chwilowo zniknął. Wybrałem się do Jimmy'ego, ale nikt nie otworzył, chociaż wiem, że tę zapadającą się pod poczerniałym wiaduktem Gowanus Parkway szeregowkę zajmuje wielu ludzi. Poplamione prześcieradła i płachty plastiku pokrywały okna, zardzewiałe rynny ropiąły w sidingu jak nieleczone rany. Zadzwoiłem do drzwi, dzwonek odezwał się wielotonowym dźwiękiem, wygrywając chyba kawałek *Ody do radości* Beethovena. Jezdnia biegła górą, jej ogromna struktura wyglądała z dołu jak klatka piersiowa wielkiego dawno zmarłego zwierzęcia. Pod wiaduktem wiał gorący wiatr. Mijały minuty. Znowu oparłem się o dzwonek, potem zagrzechotałem ozdobną żelazną bramą, która broniła dostępu do drzwi. W końcu ktoś krzyknął przez okno:

- Jak nie masz nakazu, to nie wejdiesz.
- Nie jestem gliną. Jestem bratem Clyde'a. Szukam Clyde'a.
- Nie znam Clyde'a. Nikt tu nie zna Clyde'a.

Ostatnim razem, kiedy go szukałem, usłyszałem to samo. Tak Jimmy prowadzi interesy. Kiedy przyjdzie ktoś obcy, zaprzeczaj wszystkiemu. Wpadnij w czarną dziurę. Całe jego przedsiębiorstwo było oparte na koncepcji czarnej dziury.

Wiedziałem, że Clyde czasami po prostu wymykał się na „bezpłatny urlop”, jak go nazywał. Polegało to na znalezieniu kobiety z gotówką i własnymi zapasami towaru i zakopaniu się w jakimś śmierdzącym szcurami mieszkaniu w opuszczonej okolicy do czasu wyczerpania obydwu źródeł, kiedy związek tracił blask. Dziewczyny łatwo zakochiwały się w słodkich niebieskich

oczach Clyde'a. Urodę odziedziczył po Colleen.

Ojciec utrzymywał, że uzależnienie Clyde'a to tylko przejściowa faza, przedłużone dojrzewanie, odmowa wejścia w dorosłość.

– Mógłbym wysłać go jednak do tej szkoły rolniczej w Vermont – powiedział, wzdychając. – Chyba jeszcze by się mieścił w przedziale wiekowym.

Wyobrażał sobie, że mieszkanie na wsi wyleczyłoby go. To czyste zaprzeczanie, specjalizacja mojego taty. Myślę, że nadal widział swojego najmłodszego, ukochanego, rozpieszczonego późnego syna w jego pokoju nastolatka, rozwalonego na pufie ze sztucznego futra wypełnionym kulkami styropianu, oglądającego MTV i palącego jointy.

– Próbowałem zostawić mu wiadomość tam, gdzie ostatnio mieszkał – powiedziałem. – Chciałem mu przekazać, że jesteś w Nowym Jorku.

Wyjął z kieszeni wykałaczkę i zaczął ją żuć, marszcząc wełniaste siwe brwi, pognieciony, lecz elegancki w bluzie z gnieczonego lnu, luźnych spodniach khaki i lekko pomiętej fedorze.

– Założę się, że sam cię znajdzie, jak będzie potrzebował pieniędzy.

– Martwię się o niego, tato.

– To tylko taki okres, to przejdzie. To etap rozwoju, zobaczysz.  
– Skrzywił się.

WJECHALIŚMY WINDĄ HOTELOWĄ DO APARTAMENTU NA NAJWYŻSZYM PIĘTRZE, zbyt wyziębionego klimatyzacją i śmierdzącego płynem do polerowania drewna, z widokiem na

krajobraz smołowanych dachów i wierzchołków drzew z oklapniętymi z gorąca liśćmi. Tata zniknął w łazience, żeby sprawdzić swój cewnik. Kosz z owocami wielkości owczarka niemieckiego był ustawiony na biurku. Zerknąłem na przyczepiony do niego liścik. Było tam napisane: „Gratulacje, doktorze Lundquist. Trzydzieści lat doskonałych testów!”.

Chyba już wspomniałem, że mój ojciec jest sławny w swojej dziedzinie. Każdy, kto zajmuje się wczesną edukacją albo psychologią dziecięcą, zna Erskine’a Lundquista. Jest autorem najczęściej stosowanego narzędzia do przewidywania życiowych sukcesów u dzieci w Stanach Zjednoczonych. Jego genialne połączenie ćwiczeń w formie zabawy i prostych gier kognitywnych służyło do klasyfikacji całych pokoleń dzieciaków.

Tak, byłem jego pierwszym przedmiotem testów – w młodym wieku pięciu miesięcy. Faktycznie, można powiedzieć, że ten test to ja, a ja jestem tym testem. Znany jest pod moim nazwiskiem – także jego nazwiskiem. Wzorował się na mnie jako na typowym dziecku, z wierzchołka krzywej Gaussa. Każdy brzdąc w Ameryce, albo prawie każdy, jest oceniany w porównaniu ze mną. Czy odniesie sukces, czy jego życie będzie produktywne, czy będzie żył w dobrobycie? Czy poniesie porażkę? To zależy od tego, jak wypada w porównaniu ze mną.

Jednak jest pewien problem. Typowe dziecko nie wyrosło, jak się wydaje, na typowego mężczyznę. Nie żebym był w stosunku do siebie zbyt surowy. Jestem wystarczająco dobrym psychologiem. Tak, w miarę upływu lat mogłem stopniowo tracić równowagę, jakbym potknął się na zacienionym zboczu krzywej.

Akceptuj siebie. Kochaj siebie. Przebaczaj sobie.

Wyciągnąłem się na stojącym obok okna szezlongu w złote pasy. Kontemplowałem ściany pokoju, krzykliwą szmaragdowo-czerwoną tapetę z kwiecistym wzorem. Nie mogłem zdecydować, czy jest urocza, czy absurdalna. Strzeliste łoże z baldachimem dotykało różowego sufitu.

Myślałem o M. Czułem się nieswojo w związku z tym, jak poszła nasza ostatnia sesja. Takie zakończenie naszej pracy... Stanowcze trzymanie się zasad moralnych jest dobre, ale trudne. Zastanawiałem się, co ona teraz robi. Miałem nadzieję, że czuje się dobrze.

Odwróciłem się do okna i patrzyłem przez mgiełkę na zatłoczone stoliki włoskiej restauracji po drugiej stronie Broadwayu. M. wspomniała, że jadała tu, kiedy mieszkała w Nowym Jorku. Też bywałem w tej restauracji, wiele razy. Może miała rację, może nasze ścieżki faktycznie przecięły się w mieście. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek jedliśmy tam kolację tego samego dnia, te same ravioli szefa, piliśmy to samo wino.

Wtedy tata wyszedł z łazienki.

– Chodźmy na hot doga – powiedział, zapinając suwak w spodniach z lekkim podrygiem. – Lubię hot dogi w Nowym Jorku.

MÓJ SMOKING, CHOĆ CZYSZCZONY W PROFESJONALNEJ PRALNI, ZAPAKOWANY PRÓŻNIOWO i wiszący z tyłu szafy, nadal pachniał moim ślubem. Rozerwałem plastikową torbę i uniosła się z niego chmura zapachu złożonego z dymu cygar, prosecco i potu. Podniosłem rękaw, by go powąchać, i zastanawiałem się, do której pralni go oddałem. Nie zostanę tam stałym klientem.



Wziąłem prysznic i ogoliłem się. Starłem się skupić myśli na przemowie. Zostałem poproszony o wygłoszenie toastu na przyjęciu taty. W tym szczególnym punkcie mojej kariery, po ostatniej sesji z M., która ewidentnie stanowiła zerwanie, tylko rok od porażki z Zakiem Fehlerem, nie cieszyłem się specjalnie na przemawianie do najbardziej tęgich umysłów psychologii.

Kot leżał na telewizorze i obserwował mnie, kiedy wkładałem poszczególne części smokingu. Zwróciłem się twarzą do niego i podniosłem wyobrażony kieliszek z szampanem.

– Wznoszę toast za Erskine’a Lundquista, najlepszego z możliwych ojców. To zaszczyt dla mnie, że wybrałeś mnie jako pierwszy przypadek do testowania, i przykro mi, że nie potwierdzam w bardziej przekonujący sposób twoich teorii.

– Pierdoły – wyszeptalem. Opuściłem rękę do boku.

Jak w ogóle mogę wygłosić mowę na cześć mojego ojca? Miłość i podziw, jakie do niego czułem, zbyt zmieszają się z moimi rozczarowaniami. Czym mogę się pochwalić jako potomek jednego z wielkich psychologów? Zostałem wygnany, metaforycznie i dosłownie, na niższy poziom profesji, do czyścica więziennego ośrodka pomocy psychologicznej. I tam pozwoliłem, by etycznie ryzykowna sytuacja trwała zbyt długo. I to z pacjentką, która była dla mnie ważniejsza niż ktokolwiek z wszystkich moich pacjentów.

Ale nie mogłem nic z tym zrobić. W każdym razie nie teraz. Mogłem tylko zapiąć szarfę od smokingu i znaleźć spinki do mankietów. Ten wieczór jest poświęcony Erskine’owi. Jutro znowu będziesz mógł myśleć o niej.

W SALI BANKIETOWEJ PIĘTNAŚCIE MASYWNYCH KANDELABRÓW unosiło się nad głowami gości jak statek kosmiczny obcych. Z balkonu dochodziła muzyka fortepianowa. Klimatyzacja słabo działała i wszyscy obficie się pocili, twarze błyszcząły, ręce wilgotniały, pot skraplał się nad górną wargą uczestników przyjęcia. Ludzie niechętnie cmokali powietrze obok swoich policzków, bojąc się, że się przykleją. Zachłannie pili zimne białe wino, jakby to był napój izotoniczny.

Tłum najeżony był wielkimi nazwiskami – w uznaniu dla mojego ojca, ale również dlatego, że doktorki od głowy uwielbiają przyjęcia. Był tam Harvey Privett, guru ruchu autodynamizacji, w kamizelce i łososiowym krawacie, otoczony przez akolitów, którzy wybuchali salwami śmiechu w odpowiedzi na jego żarty. Bella Olivera Azevedo, wielka brazylijska teoretyczka, brylowała przy centralnym stole, z grubymi włosami splecionymi w koronę własnego projektu. Połowa redakcji „DSM-V” tłoczyła się wokół bufetu z przystawkami, trzymając w dłoniach wykałaczki, nabijając na nie kostki sera jarlsbergost i polując na obrane krewetki, które pływały w salaterce z roztopionym lodem.

Czułem się całkiem nie na miejscu, tak jak się spodziewałem. Starłem się wyglądać na bardzo zajętego – z zainteresowaniem oglądałem obrazy w holu wejściowym, widoki rzeki Hudson, miejsca niedaleko Milford Basin, albo gadałem o niczym z barmanem, który na przyjęciach w tym salonie musiał zabawiać miliony samotnych gości takich jak ja. Powiedział mi znudzonym głosem, że cierpi na ataki paniki i pewnie powinien iść do psychologa, ale jego ubezpieczenie nie pokryje kosztów, a on nie widzi sensu w wydawaniu własnych ciężko zarobionych dolarów

po to tylko, żeby gadać z jakimś facetem o swoich problemach.

– Bez obrazy – powiedział. – Ale sam w pracy dużo psychologizuję. W barze. W sumie mogę więc gadać sam do siebie.

– To chyba dobry pomysł.

Poczułem ciężką dłoń na ramieniu. Odwróciłem się. Najpierw dostrzegłem tylko wąsy, grube i siwiejące. Zza wąsów wynurzała się twarz Gary’ego Grovera.

– Nigdy do mnie nie dzwonisz – powiedział, cały czas trzymając dłoń na moim ramieniu i pocierając je żwawo. – Mieliśmy iść na hamburgera.

– Zostałem wegetarianinem – skłamałem.

– No to co? Możesz zjeść tofuburgera. Chyba istnieje coś takiego. – Zrobił krok w tył i zmierzył mnie wzrokiem. – Wygląda na to, zdrowo się odżywasz. Wydaje się, że zgubiłeś parę kilo.

Poruszyłem się z zażenowaniem pod jego spojrzeniem. W ustach mi zaschło. Spróbowałem wewnętrznego dialogu, który często doradzałem swoim pacjentom, a który zaczynał się od pytania: „Co tak naprawdę mam do stracenia w tej sytuacji?”.

Odpowiedź, w przypadku Gary’ego Grovera, była jasna. Mój były partner był świadkiem i współsprawcą mojego zawodowego upadku. Romansował z moją byłą żoną. Nie miałem nic do stracenia.

– A ty, zdaje się, przytyłeś – powiedziałem. Język miałem nadal jak z gumy. – Co słyhać u Winnie?

– Jest w Peru. W jakiejś wiosce w Amazonii wybuchła epidemia zapalenia mózgu. Znasz ją. Bardzo poświęca się pracy. Naprawdę może stanowić przykład dla każdego.

– Z pewnością.

– A jak tam sprawy w więzieniu? – spytał, zniżając głos. – Słyszałem, że robisz tam świetną robotę.

– Fascynująca. Fascynująca baza pacjentów. Uwielbiam tę pracę.

– To więzienie kobiece, prawda? Pewnie masz tam przypadki całkowitej dysocjacji. Fajna robota, nie? Miła odmiana.

– Inny rodzaj pacjentów.

– Na pewno. – Pociągał piwo z butelki, oparty jednym łokciem o bar, skanując tłum wzrokiem. – Wśród pacjentów na Central Park West nie ma takiej różnorodności. Ale studio naprawdę już odbiło się od dna. Głównie ten sam stary miejski lęk egzystencjalny, nic ekscytującego. – Zachichotał. – I jeśli o mnie chodzi, tak ma być.

– Fajnie, miło mi to słyszeć – udało mi się wydusić.

– Mam teraz przypadek podobny do tego twojego dzieciaka Fehlerów. – Zmierzył mnie wzrokiem.

Jednak nie drgnąłem.

– Tak?

– Rodzice bardzo się starają. Szprycuję go lekami, ale dalej wariuje. Poniewiera niańką. I okropnie wrzeszczy. Jezu, pękają mi bębniaki w uszach. Ale ty wiesz coś o tym.

Przypatrywał mi się badawczo.

– Mhm – przytaknąłem, chwytając kieliszek wina z tacy przechodzącego kelnera.

– Jednak nauczyliśmy się czegoś z tej historii. Mama i tata podpisują zwolnienie od odpowiedzialności od teraz na wieki wieków amen. – Potrząsnął głową. – Nasze rachunki za błąd

w sztuce lekarskiej nadal są niebotyczne. Mimo że rozstaliśmy się z tobą – dodał szybko. – Zrobiliśmy dokładnie to, czego chcieli ci cholerni ubezpieczyciele, a i tak oszwabiają nas na rachunkach. Brakuje nam ciebie, stary.

Trzymałem nerwy na wodzy.

– Ile lat ma dzieciak?

– Siedem. Tyle, ile miał dzieciak Fehlerów, kiedy... nerwy mu puściły.

Strasznie chciałem zerknąć na zegarek. Czy godzina koktajlu już się nie skończyła? Właśnie wtedy zobaczyłem ojca. Stał niedaleko, otoczony przymilnym tłumem.

– Nigdy nie poznałeś mojego starego, co, Gary?

– Nie – odpowiedział. – To będzie dla mnie zaszczyt.

Pokierowałem go przez tłum ludzi tłoczących się wokół ojca i przedstawiłem mu go.

– Bardzo lubiliśmy pracować z Frankiem. Brakuje nam go, naprawdę za nim tęsknimy, doktorze. – Głos Grovera dobiegał mnie, gdy się oddalałem. – Cholerni oszuści z ubezpieczenia – mówił. – Przeklęci prawnicy.

W LOBBY, DOKĄD POSZEDŁEM, żeby zebrać myśli i zaczerpnąć świeżego powietrza, znalazłem sobie fotel z podłokietnikami. Obserwowałem kłębiące się grupki turystów, kobiety z upudrowaną na biało skórą, wypchanymi torbami i spodniami z niskim stanem. Czekały na przewodnika, żeby je przepędził jak stado owiec przez Midtown i zagonił do różnych teatrów. Ich twarze były bezbarwne i miłe. Wiele z nich miało duży biust i tłuste, miękkie ramiona. Chciałem, żeby mnie objęły,

pogłaskały po głowie i powiedziały, że każdy popełnia błędy, każdemu zdarza się parę razy coś spierdolić, każdy dochodzi do punktu, w którym wie, że pójdzie do piekła.

„Dziecko furii”. Pierwszy raz usłyszałem ten termin na kursie terapii przez zabawę. Nieufne, impulsywne, łatwo się złości. „U takich dzieci gwałtowne zachowanie pełne przemocy, nawet sadystyczne, jest normalne podczas sesji z pacynkami i lalkami”, powiedziała profesor. „To konstruktywne przepracowanie wściekłości”, wyjaśniła te ekstremalne scenki. Terapeuci pracujący w nurcie terapii zabawą muszą być na to przygotowani i zachować spokój podczas burzy.

Podczas naszej pierwszej sesji Zachary Fehler chwycił pałeczkę od zabawkowego bębena i walnął nią żabę – pacynkę, którą miałem na ręku. Grzmotnął tak mocno, że zrobił mi się fioletowo-żółty siniak. Tak zaczęliśmy.

Zanim minął tydzień albo dwa, zbił okno w moim gabinecie, ciskając w nie drewnianą kanapą z domku dla lalek. Ale mieliśmy przełomową rozmowę. Założyłem głowę żaby na rękę (zapropnowałem, że będzie przedstawiać dorosłych, którzy go zdradzili – stale nieobecnego ojca i ledwie funkcjonującą matkę alkoholicką). Poprosiłem go, żeby powiedział żabie, co go złości.

– Nienawidzę cię. Śmierdzisz, przypominasz mi psie gówno. Ucieszę się, jak umrzesz.

„Konstruktywne przepracowanie wściekłości”, zapisałem później w swoich notatkach.

I w końcu nasza ostatnia sesja, trzeci tydzień. Założyłem głowę żaby na dłoń i spytałem, jak się dziś czuje. Ugryzł pacynkę. Mocno.

Ostre dziecięce ząbki. Trafiał w nerw na kciuku. Czysty odruch – uderzyłem go wolną ręką. Prosto w głowę. Upadł i gapił się na mnie przez nieznośnie długą chwilę. Tam, gdzie zaczynają się włosy na skraju czoła, pojawiła się plama, okropny, czerwieniejący pasek. Wtedy wydał z siebie przeszywający, przerażający skowyt. Bałem się, że jego matka zapuka do drzwi. Ale dałem mu szansę na odwet, udało mi się sprawić, żeby przestał krzyczeć. Położyłem pacynkę żaby na podłodze i pozwoliłem mu poskakać po niej przez chwilę. Zmęczył się. Wtedy przeprosiłem go, wyjaśniłem, że terapeuci też czasem się złością, tracą panowanie nad sobą, tak jak ich pacjenci.

– Ja też popełniam błędy, tak jak ty, Zach. Przepraszam.

Nic nie powiedział. Dalej szlochał. Nie patrzył na mnie.

Ale w końcu popłakiwanie przeszło w pociąganie nosem i wydawało się, że się uspokoił. Myślałem, że atak minął. Wkrótce wrócił do wyrywania nóg i rąk wielokulturowej rodzinie lalek. Ale nie patrzył na mnie.

Nie powiedziałem nic jego matce o uderzeniu. Była pijana i nie wiedziałem, czy w ogóle coś zauważy.

Dwa dni później Zachary dostał szaku.

A tego lipcowego dnia, gdy psychologzy świata zebrali się w Nowym Jorku, mała Emily Fehler miałaby pięć i pół roku. O tej porze już by spała, śniła, byłaby żywa. Gdyby ten moment w terapii zabawą potoczył się inaczej.

Po tym, jak wiadomość o śmierci dziewczynki dotarła do gabinetu, wyznałem prawdę o incydencie Gary’emu Groverowi. Oczywiście, nie mogę winić go za odcięcie się ode mnie. Myślę, że

na swój sposób starał się, żeby to przebiegło tak szybko i bezboleśnie, jak to możliwe.

Nie wiem, jak długo siedziałem w tym fotelu, kiedy spojrzałem w górę i zobaczyłem wiszące nade mną wąsy Grovera.

– Frank, wysłali mnie, żebym cię znalazł, do cholery. Zaczynają się przemowy – powiedział. Poczulem nagłą chęć, by uciec. Jakby to wyczuł i położył mi swoją ciężką dłoń na ramieniu. – To twoja wielka chwila, chłopie. – Spójrz prawdzie w oczy, jak często dawałeś swojemu ojcu powód do dumy?

A potem usiadłem na podium obok ojca. Przed nami rozciągało się spienione morze psychologów, tysiąc twarzy wytrenowanych do rozbierania na czynniki pierwsze osobowości innych ludzi.

– Dobrze się czujesz? – spytał ojciec. – Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Coś jest nie tak?

– Wszystko w porządku – odparłem, wygładzając twarz. – Po prostu strasznie tu gorąco.

– Prawdziwa sauna fińska – powiedziała kobieta siedząca obok mnie, drobna blondynka w sukience bez ramiączek. Jej szmaragdowe kolczyki pasowały do dużych zielonych oczu. – Nie znamy się jeszcze. – Wyciągnęła w moją stronę szczupłą dłoń z manikiurem. – Jestem Lydia Buchanan. W zeszłym miesiącu zostałam wybrana do zarządu.

– Frank Lundquist. – Uścisnąłem jej dłoń. – Jestem synem. – Wskazałem na ojca.

– Oczywiście, wiem. Napisałam doktorat z Lundquista. Może pan sobie wyobrazić, co znaczy dla mnie to spotkanie.

Ojciec pochylił się nade mną i posłał jej promienny uśmiech.



– Chciałbym kiedyś przeczytać pani dysertację.

Lydia Buchanan spłonila się.

– To byłby dla mnie ogromny zaszczyt, doktorze. – Spojrzała na mnie. – A pan też pracuje w tym biznesie, jak rozumiem?

Przytaknąłem.

– Daleko, w Westchester. – Bardzo, bardzo daleko. Za drutem kolczastym.

– Ja pracuję w New Jersey. W Summit. Mam głównie zaburzenia jedzenia.

Z gracją wyjęła z ust rybią ość i powiedziała coś o dysforii ciała, ale nie dosłyszałem. Miałem dziwne poczucie, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłem się i napotkałem spojrzenie pustych oczu. Na postumencie pokrytym filcem, dokładnie za mną, stała kryształowa głowa. Przezroczysta, naturalnych wymiarów. To statuetka Legii Honorowej Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego. Na podstawie widniało nazwisko ojca. Jej pozbawione źrenic oczy patrzyły na mnie z antypatią. Szybko odwróciłem się z powrotem do stołu. Paliła mnie twarz.

Zasłużyłem na antypatię. Wiedziałem to, wiedziałem głęboko w sercu, w każdej komórce krążącej we mnie krwi.

Milczący kelnerzy sunący między stolikami niepostrzeżenie zabierali talerze po kolacji. Fortepian, którego dźwięk cały czas dobiegał gdzieś z góry, nagle ucichł. Prezes Towarzystwa, niski, łysiejący Jerry Stidwell, wszedł na podium. Nie jestem pewien, jak długo przemawiał. Czas się zakrzywił. Co jakiś czas gestykulował w stronę mojego ojca. Erskine przytakiwał i dużo się śmiał, co jakiś czas ocierając czoło złożoną serwetką.

Ludzie na podium i w sali byli pełni życia, kochający, troskliwi. Ludzie, którzy pomagali innym stawać się lepszymi i prostować swoje życie. A ja, co zrobiłem?

Źle obszedłem się z siedmioletnim pacjentem. Ten pacjent zabił swoją siostrę. Skręcił jej kark, a ona nie wróciła do formy jak multikulturowa lalka. Przez słabą technikę terapeutyczną i jedną złą chwilę, jednym strasznym odejściem od klinicznego dystansu chyba zepchnąłem wściekłego małego Zacha ze skały – na wieczne potępienie.

A teraz M. Cudowna M. Słodki inteligentny uśmiech. Melancholijne jesienne oczy. Moja koleżanka z klasy. Moja pierwsza miłość. Nie poprawiłem jej humoru tymi cotygodniowymi pogadankami. W ogóle jej nie pomagałem. Szczerze mówiąc, kiedy teraz o niej myślę, to wydaje mi się, że raczej jej stan się pogarszał. Wykończyłem ją, opuściłem swoją najcenniejszą pacjentkę.

Plecy mnie swędziały, czułem to spojrzenie kryształowej głowy. „Ale jest sposób, żeby zadośćuczynić wyrządzonemu złu”, pomyślałem. Jeszcze mogę poprawić los M., wyjaśniłem głowie. I nie miałem na myśli terapii rozmową. Rozmowa nie miała z tym nic wspólnego.

Mogłem ją uwolnić. Uwolnić ją.

Wtedy tysiąc twarzy zwróciło się w moją stronę. Wyglądały jak cętki światła na ciemnej powierzchni jeziora, jak blade petunie zwrócone do słońca. Jerry Stidwell wywołał moje imię.

Wstałem. Ktoś wepchnął mi statuetkę. Wziąłem ją w obie dłonie, trzymając rękami za uszy. Była taka zimna i twarda. Taka twarda.

Trzęsącymi się rękami postawiłem ją na postumencie. Gapiła się

na mnie. Tłum też się gapił. Nachyliłem się do mikrofonu.

– Nazywam się Frank Lundquist. – Mój głos rozbrzmiał echem w sali, za głośno. Odsunąłem się trochę. – Miałem zaszczyt jako pierwszy zostać poddany testowi Lundquista. Zawsze byłem dumny, że zostałem „zerowym niemowlakiem”. Co więcej, zawsze byłem dumny, że jestem synem Erskine’a Lundquista.

Ten ślepy szklany wzrok. Zrobiłem pauzę, przesunąłem statuetkę tak, żeby była zwrócona twarzą do publiczności. Potem znowu pochyliłem się nad mikrofonem.

– Moja matka pracowała jako sekretarka w Narodowych Instytutach Zdrowia. Zawsze powtarzała, że wyszła za tatę, bo był jedynym mądrym naukowcem, jakiego kiedykolwiek tam spotkała. Był bardziej uprzejmy niż inteligentny.

Pot piekł mnie w oczy.

– Mój ojciec zdobył najbardziej prestiżowe granty i stypendia, ale zawsze pozwalał mojemu bratu wygrywać w monopoli. A kiedy ja nie dostałem się na prawie żadne studia doktoranckie, powiedział tylko, że nie wiedzą, co tracą. – Głos mi zadrzał. Ojciec spojrzał na mnie, mrugając gęsto. Wziąłem kolejny głęboki oddech. – Test Lundquista przewidział dla mnie sukcesy, tato. Ale jedyny sukces, jakiego w życiu pragnąłem, to żebym był trochę bardziej podobny do ciebie.

Nie słyszałem braw, tylko tornado dźwięku, które otaczało nas, gdy się obejmowaliśmy.

– Cholercia, Frank – powiedział ojciec. Potem trzymał w ręku kryształową głowę, migaly lampy błyskowe, a ja ześlizgnąłem się z podium i wymknąłem się bocznymi drzwiami. Desperacko

potrzebowałem łyka chłodnej, orzeźwiającej wody i spokojnego miejsca, żeby pomyśleć.

A może wybrałem złą terapię dla M.? Zapomnij o poprawie terapeutycznej. Muszę dać jej wolność. Uwolnić ją.

Właśnie dotarłem do wodotrysków z wodą pitną, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi damskiej toalety i wynurzyła się z nich błyszcząca Corinne Masterson, ubrana w obcisłą sukienkę pokrytą ciemnoniebieskimi cekinami, niemal nierozpoznawalna jako codzienna, zwykła Corinne z ośrodka pomocy i z kantyny. Zatrzasnęła małą wieczorową torebkę, spojrzała w górę, zauważyła mnie i wykrzyknęła przestraszona:

– Frank! Wyglądasz strasznie! To potworne! Przedawkowanie i to w taki ważny dzień dla twojego ojca.

– Co? – spytałem zdumiony. – Jakie przedawkowanie?

Wydeła usta, błyszczące od świeżo położonej pomadki.

– Nie wierzę. To twoja pacjentka. Nie zadzwonili do ciebie?

Znaleziono ją nieprzytomną, nawaloną mieszanką zolofu i elavilu. Natychmiast zabrali ją do Ośrodka Medycznego Hudson Valley na płukanie żołądka, a to wszystko stało się jakąś godzinę temu. Jej szansa na przeżycie wynosiła pięćdziesiąt procent. Kiedy dziękowałem Corinne za wiadomość, musiałem już krzyczeć. Biegłem przez kilometry czerwonych tureckich wzorów rozciągających się od ściany do ściany, szukając znaków z napisem „wyjście”.

## 8

### LIPIEC 1999

Szybkuje nad białą ciszą.

Dziewczyna w locie.

Jej ubrania trzepoczą jak flagi, buty odlatują, ukazując stopy w białych pończochach.

Wstążki długich jak u syreny włosów wiją się i rysują fantastyczne kształty.

Kończyny też przesuwiają się, czasem pod dziwnym kątem, ale kiedy indziej z doskonałym wdziękiem, wykonując figury jak z baletu na wodzie.

I jej twarz: łagodnie uśmiechnięta. Czy proszę o zbyt wiele? Jeśli tak, niech będzie po prostu bez wyrazu, niech śpi.

Zimowe poduchy, ułożone wysoko, czekają, by ją w siebie przyjąć. Zatapia się w nie, tworząc kołyskę o kształcie dziewczyny.

Śpiąca nastolatka, o mlecznej skórze i jedwabistych włosach rozpościerających się jak promienie albo udrapowanych na twarzy jak wodorosty.

Owszem, niektóre szczegóły są zapożyczone z zaczytanego tomu baśni, kupionego za ćwierć dolara na wyprzedaży w Pittsburghu.

Baśnie, które opowiada się milion razy.

W tej konkretnej baśni zimowe niebo zostało pozbawione słońca i czar prysł.

Roztopiony śnieg na poboczu zamarznął. Ostry zakręt, nerwowy skręt kierownicą, być może po to, by oszczędzić życie jakiegoś stworzenia, które dojrzała tylko ona. Nerwowy skręt świeżo upieczonego kierowcy w podrasowanym, nieujarzmionym przez hamulce samochodzie, kierowcy jadącego na oklep na dzikiej maszynie.

Niebezpieczny samochód z lekkomyślnych czasów. Bez pasa przez ramię. Tylko prosty pas przypinający jej szczupłe biodra. Dziewczyna jest wolna, może się wyślizgnąć i lecieć.

ŻYCIE POZAGROBOWE NAJWYRAŹNIEJ MIAŁO SWÓJ ZAPACH. Mocny zapach kwiatowego proszku do prania. Alkoholu do dezynfekcji. Cytrynowego płynu do podłogi.

Wyglądało też inaczej, niż Miranda oczekiwała. Ciemność z przebłyskami żółtego i błękitnego światła, które powoli obracało się przed jej oczami. Czasem zamglona biel. Jakby widok oglądany przez dziesięć moskitier, kształty cieni dryfujących dokoła niej.

Zdziwił ją dźwięk telewizji, który słyszała nieprzerwanie: quizy, opery mydlane, pompatyczne akordy zapowiadające wieczorne wiadomości. I nawet po śmierci słyszała trzaski krótkofalówek i zaciąganie strażników narzekających na szefów i kochanki. „Dlaczego to zawsze ja mam być tym złym? Ma język w gębie, może sama się odezwać. Dlaczego to ja mam być tym złym?”

I wtedy nagle mgły się podniosły. Obudziła się. Żyła. Zaczęła płakać. Strażnik o chudych ramionach garbił się na krześle obok jej

łóżka.

– Obudziła się – krzyknął.

Twarz okolona złotymi włosami ujarzmionymi przez czarne wsuwki pojawiła się z drugiej strony łóżka.

– Faktycznie – powiedziała twarz.

Miranda zakochała się w ciemnoorzechowym spojrzeniu pielęgniarki. Zakochała się w piskliwym śmiechu dochodzącym z sąsiedniego pokoju. Właściwie natychmiast zakochała się w każdym skrawku materii żywego świata. Powietrze, światło jakby owijało ją kokonem błogosławieństwa. Wróciłam, wróciłam, już nigdy więcej nie ucieknę, śpiewał jej mózg. Więc jej mózg nadal działał. Radujmy się! Cóż za wspaniała wiadomość. Usiłowała go zabić, ale nie umarł. Cóż za wspaniały, silny mózg. Pogratulowała sobie za to, że nie umarła. Jesteś cudowna, powiedziała sobie. Jesteś niesamowita, wspaniała.

Od płaczu zebrała jej się ślina w ustach, z nosa jej kapało. Wyciągnęła rękę, żeby zetrzeć łzy, ale jej ramię zatrzymało się z brzękiem.

Może zmieniła się w metal – taki zardzewiały jak Blaszyński Drwal z Krainy Oz? Spróbowała unieść drugą rękę. Poruszyła się o parę centymetrów, a potem została unieruchomiona. Spróbowała znowu podnieść obie ręce. Brzdęk, brzdęk.

– Nie próbuj się ruszać, kochanie – powiedziała pielęgniarka. – Po prostu odpoczywaj.

Miała miłą twarz z teatralnym makijażem. Róż rozmazany na policzkach sprawiał, że wyglądała, jakby właśnie została spoliczkowana.

– Chcesz soku pomarańczowego? – Trzymała w ręku plastikowy kubek z przykrywką, z którego wystawała długa skręcona słomka. Pielęgniarka wygięła słomkę w jej kierunku. Miranda podniosła głowę, żeby się napić i spojrzała w dół, na swoje ręce. Nadgarstki zdobiły błyszczące kajdanki, przypięte do ram biegnących po obu stronach łóżka.

– Wytrę ci nos – powiedziała pielęgniarka. – Trochę cię ogarniemy.

Gdy wycierała jej nos chusteczką, Miranda poruszyła nogami. Przynajmniej one były wolne.

– Dmuchaaj – rozkazała pielęgniarka i Miranda posłusznie dmuchnęła.

– Muszę powiedzieć, że miałaś szczęście, dziewczyno – Kościsty strażnik mówił z cudownym karaibskim akcentem.

– Co się stało? – zachrypiała. Poczowała, że boli ją gardło. Boże, jej głos brzmiał jednak wspaniale. Lubiła jego dźwięk. Wzięła kolejny łyk słodkiego rozwodnionego eliksiru.

– Tak się złożyło, że wczoraj o dziesiątej wieczorem był dodatkowy apel – powiedział strażnik. – Bo któraś paliła zapalki w swoim pokoju. Naruszenie zasad bezpieczeństwa, więc obudzili wszystkie na liczenie. A ty nie wstałaś z łóżka. Gdyby minęła jeszcze godzina albo dwie, już by było po tobie, dziewczyno. Miałaś szczęście.

„Taaa”. Miranda uśmiechnęła się do kafelków na suficie. „Mam szczęście”.

NASTĘPNEGO DNIA TRACIŁA I ODZYSKIWAŁA ŚWIADOMOŚĆ,



POJAWIAŁY SIĘ WSPOMNIENIA. W którymś momencie stanęła obok niej Amy, nucąc pod nosem piosenkę z listy przebojów: „Jeśli mnie teraz zostawisz, zabierzesz moje serce”. Jak zwykle w niedzielę słuchały listy przebojów w samochodzie. Teraz Amy stała obok niej, miała na sobie granatowy wełniany płaszcz z jaskrawoniebieskim kołnierzem i mankietami ze sztucznego futra. Miranda w koronkowych rajstopach i czerwonym płaszczu z dużymi fioletowymi guzikami. Zimne listopadowe powietrze szczypało ją w kolana. Patrzyła na sklep Sears po drugiej stronie parkingu i myślała o tym, jak bardzo chciałaby być w jego wnętrzu, zamiast marznąć z siostrą i mamą na platformie obok wielkich mówców. U ich stóp oddechy wyborców wisiały w późnopołudniowym powietrzu jak malutkie, osobiste chmurki. Zielone transparenty z białymi literami powiewały nad polem kosmatych czapek z pomponami i różnych typów włosów: „Greene do Kongresu!”, „Greene do Kongresu!”. Cementowe niebo tężało nad nagimi drzewami przy autostradzie.

Platforma, na której stali, była zrobiona ze stali i zimno metalu przedostawało się przez podeszwy lakierków Mirandy. Za nimi była stacja benzynowa. Co chwilę rozlegał się dźwięk dzwonka, kiedy samochody przejeżdżały po czarnych przewodach ograniczających teren z pompami. Powietrze śmierdziało benzyną i gorącym cydrem, nalewanym z termosów przez kobiety z organizacji Greene do Kongresu. Miranda wcisnęła nos w kołnierz i zadygotała, czekając na sygnał: „A co obecny poziom inflacji oznacza dla naszych dzieci?”. Wtedy jej ojciec miał się zwrócić do niej. Nie powinna dłubać w nosie ani drapać tyłka w gryzących rajstopach. Powinna stać prosto, z poważnym i zamyślonym wyrazem twarzy, który mówi: „Mam dziewięć lat i martwię się tym, co inflacja

oznacza dla mojej przyszłości”.

Tata miał się do niej odwrócić, to znaczy miał odwrócić do niej głowę, bo ciało nadal miało być zwrócone do publiczności. Jego twarz zmarszczy się w tym śmiesznym, prawie smutnym uśmiechu i po prostu popatrzy na nią przez chwilę. Wtedy zniży głos, jakby rozmawiał z nią w ich własnym domu, ale jego głos nadal będzie słyszalny przez mikrofony i odbije się echem z głośników na parkingu przed sklepem Sears.

– Myślę o tej małej dziewczynce o imieniu Miranda, która w roku 2000 będzie miała trzydzieści trzy lata. Chce być dentystką.

W tym miejscu ona przytaknie z poważnym wyrazem twarzy, a tłum zareaguje przychylnym śmiechem.

– I dlaczego ma nie mieć marzeń, swojej wersji amerykańskiego snu? Chcę być pewien, że ona i każde inne dziecko o dobrym charakterze i silnej woli będzie mieć szansę na spełnienie swoich marzeń...

Potem ojciec popłynie. Rzeka słów, tych samych za każdym razem. Słabe światło będzie wybielać niebo. Opuszki palców bolały ją w białych rękawiczkach, palce u stóp piekły, gdy nimi ruszała. Zaczęła przeskakiwać z jednej nogi na drugą, aż łagodnie, ale stanowczo na jej ramieniu wylądowała ręka, upominająca ją, żeby stała nieruchomo. Ręka jej matki, lodowata jak ręka upiora, diamenty zmatowiały pod brudnym brejowatym niebem.

Usiłowała się skupić na kawałku Amy.

– Moja starsza córka Amy któregoś dnia wróciła ze szkoły i spytała mnie, czy to prawda, co powiedzieli w szkole, że Sowieci mogą zabić każdego Amerykanina dwadzieścia razy. „Po co

mieliby to robić, tato?”, spytała.

Ten fragment oznaczał, że to prawie koniec i niedługo będą mogły z Amy wsiąść z powrotem do ich kombi, i mama weźmie je do samoobsługowego baru z lodami w kawiarni z czerwonym dachem niedaleko centrum handlowego. Miranda zaciskała przemarznięte dłonie w pięści i gapiła się na rozmazane czerwone twarze w tłumie, wierzące się ciała, ludzi na obrzeżach, którzy wykruszali się, niezainteresowani, i odchodzili w stronę swoich samochodów. Ci znudzeni uciekający ludzie ranili ją. Wstydziała się za ojca, kiedy odwracali obojętne twarze i po prostu odchodzili.

W końcu mowa dobiegła końca, słabe brawa przemknęły przez pole ludzi jak zabłąkany podmuch wiatru w wysokiej trawie i tłum zaczął się rozchodzić. Zeskoczyły z Amy z platformy i pozbierały leżące na asfalcie zielone transparenty, które wrzuciły do bagażnika samochodu. Już miała na języku smak gorącego sosu karmelowego, czuła, jak rozpływa się jej w ustach.

Odgrywała swoją rolę na platformie tak jak dziewczynki, które są aktorkami w telewizji i udają, że śmieją się lub płaczą. Nie martwiła się naprawdę o swoją przyszłość. Nie martwiła się inflacją, cokolwiek to było, ani tym, że Sowieci zabiją ich dwadzieścia razy.

Szczerze mówiąc, martwiła się tylko jednym, a to się nie zdarzyło – przynajmniej nie wtedy, nie mroźnego listopada 1976 roku, kiedy pierwszy raz kandydował, gdy wszystkie dzieciaki w jej szkole miały zielono-białe naklejki z napisem „Greene” na okładkach książek zrobionych z papierowych toreb na zakupy, kiedy odgrywała swoją rolę na platformie, kiedy jej matka jeszcze

wyglądała na szczęśliwą, kiedy uśmiechała się, ścisnęła ręce i machała, kiedy ona miała dziewięć lat i trzymała tatę za rękę w kabinie do głosowania, i ich zdjęcie następnego dnia było na pierwszej stronie gazet, a tytuł sprawiał, że tata potrzasał głową z niedowierzaniem. Przez cały ten czas miała tylko jedno zmartwienie: że jej ojciec, który stał przed tymi wszystkimi ludźmi i prosił ich, by go lubili, przegra. Wszyscy zobaczyliby, że przegrał, ona też. I wtedy nic nie byłoby już takie samo.

KIEDYŚ, GDY SPAŁA, PRZYŚNIŁ JEJ SIĘ FRANK LUNDQUIST, pochylający się nad jej łóżkiem. Światło się odchyliło, gdy jego cień padł na jej twarz. Poczowała, jak poła jego marynarki musnęła jej ramię. Wydawało się to dość realne. Jego oddech był urywany. Chciała z nim porozmawiać, ale nie mogła otrząsnąć się z sennego otępienia. Chciała powiedzieć: „Przepraszam. Wyrządziłam panu krzywdę. Wiem, że chciał mi pan pomóc. Życzę panu wszystkiego dobrego”.

Jej zakochanie w byciu żywą nie przygasło, gdy ostatnie cząsteczki leków zniknęły z jej krwiobiegu. Trzeciego dnia zawieziono ją z powrotem do Milford Basin, czarną furgonetką Forda o przyciemnionych szybach, w towarzystwie strażnika o kwadratowej głowie, który na kolanach trzymał karabin automatyczny. Ręce spinały jej plastikowe kajdanki. Karaibski strażnik (oficer Aaron Smythe z wyspy Nevis, jak się dowiedziała) odprowadził ją na miejsce z ceremonialną pogardą. Miała to gdzieś. Wydawało jej się, że zemdleje z rozkoszy, kiedy słońce głaskało ją po twarzy, gdy przeszła te parę kroków od wejścia do szpitala do furgonetki. W lipcu drzewa wzdłuż wijących się dróg Doliny

Hudson mieniły się barwnymi kwiatami, a kwitnące pola tworzyły gęsty, misternie spleciony dywan, który okalał pobocze parkingu. Przejechali przez Tappan Zee, rzeka miała dla niej wygląd zimnej herbaty. Pięły się nad nią ciemnozielone wzgórza. Miranda chłonęła te widoki z tym samym intensywnym zdumieniem, z którym kiedyś patrzyła na twarz mężczyzny w chwili pierwszej rozkoszy.

Jednak widok grubego drutu kolczastego błyszczącego na wierzchu ogrodzenia z siatki, gdy furgonetka zjechała ze wzgórza i zatrzymała się przed zakratowanym wjazdem do więzienia, sprawił, że jej nastrój nieco opadł. Kwadratowa wieża strażnicza z oknami z hartowanego szkła, niskie budynki z cegieł, bezwzględnie skoszona trawa, dziwna cisza. Nic się nie zmieniło od dnia, gdy pojawiła się tu pierwszy raz, nieco ponad dwa lata temu. „Moje życie nadal jest problemem”, pomyślała Miranda. „Jak mam żyć?”

Brama otworzyła się z nieprzyjemnym zgrzytem. Miranda nie mogła się poruszyć.

– Idziemy – powiedział płaskogłowy strażnik i popchnął ją trochę, gdy gramoliła się z furgonetki. Z rękami spiętymi kajdankami potknęła się i straciła równowagę. Poczowała, jak piekące łyzy zbierają się jej pod powiekami, ale nie miała zamiaru pozwolić im wypłynąć. Wzięła głęboki oddech i dała się wprowadzić do środka.

– Cholera, wystraszyłaś mnie. – Beryl Carmona opierała się o biurko, jedząc śliwkę. – Już wyzdrowiałaś? – Wyglądała na szczerze zmartwioną. – Mam dziś wolne, ale jak usłyszałam, że cię przywiozą, zostałam. – Wyrzuciła pestkę do kosza i wytarła dłonie

o spodnie. – Chyba już nie będziesz tego próbować, co?

– Nie będę.

– Dobrze. Bo naprawdę coś wnosisz do tego miejsca.

Miranda nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Staram się.

– Przez jakiś czas będziesz pod obserwacją, ale wrócisz na oddział, nim się obejrzysz. Za to nie dostaniesz z powrotem swojej celi, Majowa Panienko. Należy teraz do twojej przyjaciółki Watkins.

Dorcas Watkins w jej pokoju. Pewnie też wzięła jej dywanik łazienkowy. Cóż, trudno. To już nie ma znaczenia. Co teraz jest ważne, to że Miranda żyje. Wszystkie inne problemy same się w końcu rozwiążą.

NA PÓŁNOCNO-WSCHODNIM KRAŃCU TERENU MILFORD BASIN PŁOT OTOCZONY JEST LASEM obrosniętych bluszczem drzew. Tuż za ogrodzeniem przycupnęła mała chatka z cegieł z białymi wykończeniami, niegdyś letni dom ogrodnika. Przytulny budynek w stylu Tudorów, coś jak z książki Beatrix Potter. Teraz jest tam filia oddziału psychiatrycznego.

Wieczorem po powrocie Miranda stała przy zakratowanym tylnym oknie na parterze domku, obserwując, jak ściemnia się w lesie. Za nią stało w rzędzie sześć łóżek, zasłanych białymi prześcieradłami, z kocami złożonymi w kostkę. To miała być jej sypialnia na czas obserwacji. Zachwycała się tańcem wiatru wśród drzew. Miała najlepszy widok w całym więzieniu.

– Tam są umarlaki, w dzikości – powiedziała nastolatka z łóżka obok. – Nie pacz tam. – Miała cienkie złote kółka w uszach, wokół

których włosy opadały w błyszczących zwojach. Siedziała na swoim łóżku, podgryzając czekoladki Peppermint Pattie. – Widziałam tam prawdziwego umarlaka, jak cholera.

– Co ty powiesz? – Miranda wpatrywała się w jej twarz w kształcie serca, o śniadej, gładkiej jak płatki kwiatów skórze i ogromnych brązowych oczach. – Ile masz lat?

– Co cię to obchodzi, ile mam lat? – odpowiedziała dziewczyna, wzruszając ramionami. Nie mogła jednak ukryć cienia uśmiechu. Miranda widziała, że jej pytanie sprawiło jej przyjemność. Dziewczyna zjadała czekoladkę, obracając ją dookoła i obgryzając brzegi. Cały czas gapiła się na Mirandę, jakby ta mogła nagle wyrwać jej smakołyk.

– Nazywasz się Miranda, co nie?

Miranda przytaknęła.

– A ty jak masz na imię?

Dziewczyna przypatrywała jej się.

– Wiem, dlaczego jesteś w filii – powiedziała po chwili. – Próbowalaś przedawkować.

Miranda schyliła się, żeby zdjąć adidas.

– O której dają tu kolację?

– Ta pieprzona kurwa na moim oddziale związała i ugryzła mnie, dlatego tu jestem. I powiedziała, że zaraziła mnie AIDS i że umrę, co nie? A mój strażnik powiedział, że kłamię, wiesz? – Jej oczy w kolorze kawy zaświeciły się na to wspomnienie. – Zesrałam się ze strachu i podpaliłam swoją celę. – Westchnęła wykończona i położyła się na łóżku. – Jedzenie przynoszą gdzieś tak o wpół do piątej. I nie myśl, że dostaniesz pepsi. Według nich dziewczyny

z filii są za bardzo szurnięte, żeby dostać pepsi.

– Przeżyję bez pepsi – powiedziała Miranda.

Dziewczyna zlizwała ostatni okruch czekolady z kciuka. Przekręciła się na bok i podparła głowę na łokciu.

– Bóg nie dopuszcza do siebie ludzi, którzy próbowali przedawkować. Wiedziałaś?

– Nie wiem. Pewnie zapomniałam.

Dziewczyna wywróciła oczami i parsknęła.

– Zapomniałaś? – spytała. – Czegoś takiego nie powinno się zapominać, do kurwy.

Znowu przekręciła się na plecy i wgapiała w sufit, podpierając głowę na rękach.

– Ta kurwa na moim oddziale kłamała. Przełożona powiedziała, że nie ma ani trochę AIDS-a.

PO APELU O CZWARTEJ POPROSIŁA STRAŻNICZKĘ, KRZYWONOGĄ KOBIETĘ z imieniem Jessop na identyfikatorze, żeby zabrała ją do telefonu, który wisiał w wąskiej wnęce, niegdyś szafie na płaszcze, tam, gdzie dawniej było główne wejście do domku. Drzwi szafy zdjęto, z sufitu zwisała naga żarówka. Miranda zadzwoniła do matki, na jej koszt.

Gdy Barb Greene zgodziła się zapłacić za rozmowę, zaczęła łkać. Miranda też poczuła zbierające się w jej oczach łzy, ciężar w klatce piersiowej i ściskanie w gardle. Minęła pełna minuta płaczu po drugiej stronie telefonu. Miranda gapiała się na ścianę przez piekące łzy wypełniające jej oczy, które rozmazywały obraz. Gruba warstwa zielonej farby łuszczyła się i była podrapana. Zwierzęcymi pazurami? Paznokciami kobiet, które usiłowały



wydrapać swoją ucieczkę z filii, przez linię telefoniczną, z powrotem do świata żywych?

– Tak mi przykro, mamó.

W końcu jej matka przemówiła.

– Ojciec teraz podniesie drugą słuchawkę – powiedziała. – Obiecałam mu.

Przez chwilę panowała cisza. Potem kliknięcie i od razu włączył się ojciec.

– Dlaczego to zrobiłaś, Mirando, to znaczy, mogę zgadnąć dlaczego, ale apelacja jest w toku.

– Mój prawnik powiedział, że powinnam realistycznie spojrzeć na szanse związane z tą apelacją.

– Chryste, co za dupek.

– Edward, proszę. Alan wierzy w uczciwość – powiedziała Barb. Zapadła cisza. Wszyscy troje wiedzieli, że gdyby ta rozmowa nie toczyła się w tak delikatnych i dramatycznych okolicznościach, Barb pewnie wbiłaby w tym miejscu szpilę ojcu: „Bardziej niż ty kiedykolwiek” czy inny ostry komentarz przez lata doprowadzony do perfekcji.

– Mirando, proszę, nie stawiaj się już nigdy w tak niebezpiecznej sytuacji.

– Twój ojciec ma rację. Proszę, nie trać nadziei, kochanie. Jakoś z tego wyjdiesz.

– Chciałabym w to wierzyć. – Miranda dotknęła palcem śladów zadrapań.

– Nie przeżylibyśmy tego, gdybyś... Gdyby cię w porę nie znaleźli. Najpierw twoja siostra...

– Wiem, źle zrobiłam. Po prostu byłam... w desperacji.

Matka znowu łkała.

– Muszę się z tobą zobaczyć. Kiedy będziesz miała znowu prawo do odwiedzin, kochanie? – spytała.

– Powiedzieli nam, że gdy jesteś pod obserwacją, nie masz wizyt. Ile to zwykle trwa, wiesz coś, kochanie?

– Słyszałam, że może za miesiąc. Pewnie to zależy.

Jessop zastukała kłykciami we framugę obok głowy Mirandy.

– Czas – rzuciła.

– Muszę już kończyć – powiedziała Miranda.

– Musisz nam obiecać... – Głos ojca się załamał. – Proszę, proszę, nigdy już tego nie próbuj, nigdy.

W końcu popłynęły jej łzy.

– Obiecuję. Naprawdę, obiecuję. – Pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Wytarła oczy i wtedy zauważyła, że na ścianie nad telefonem wydrapano jakieś litery. Była nadzieja.

I MIRANDA MIAŁA NADZIEJĘ. NIE POTRAFIŁA TEGO WYTŁUMACZYĆ, ALE MIAŁA. Leżała w nocy, słuchając chrapania i pojękiwania koleżanek z filii, i zastanawiała się, jak może im pomóc, co może im z siebie dać. Robiła plany. Kiedy odeślą ją na oddział, zgłosi się na ochotnika do programu przeciwdziałania analfabetyzmowi. Zapisze się na czuwanie w hospicjum.

W którymś momencie, w najczarniejszą godzinę nocy, obudziła się. Przekręciła się na bok i gapiła w las, pasmo cienia za jasno oświetlonym geometrycznym ogrodzeniem. Umarli między drzewami. „Tak mi przykro, Amy. Proszę, wybacz mi”.

W wieku trzynastu lat, w wieczór lotu Amy, dostała przecież

prezent – życie. Życie, które biegło dalej, gdy życie jej siostry się zakończyło. A ona zaczęła traktować je tak beztrosko, z taką nonszalancją. Kiedy i dlaczego? W którymś momencie życie zaczęło być dla niej jak używane ubranie, które można z siebie zdjąć, rzucić na ulicę, zostawić w taksówce, bezpowrotnie zgubić bez większych konsekwencji.

Weźmy na przykład Nicky’ego. Kiedy spróbowała z nim zerwać, wściekł się – złapał ją za szyję, prawie ją udusił. Nie mogła uwierzyć, że jej życie skończy się w taki sposób. Tak tanio, jako historia dla lokalnej telewizji. W końcu Nicky ją puścił, chwycił swój płaszcz i zatrzaskał za sobą drzwi. Nadal pisał do niej od czasu do czasu serdeczne listy ze skandaliczną ortografią. Dlaczego dopuściła, żeby sprawy zaszły tak daleko?

Dlaczego?

A dlaczego nie?

Dominick Scorza był kwintesencją tego okresu w jej życiu, który przebiegał pod znakiem „dlaczego nie?”. Czemu nie zabrać do łóżka argentyńskiego turysty z klubu nocnego? Czemu nie spróbować narkotyku, który dała jej chichocząca dziewczyna na imprezie? Dlaczego nie? W tamtym okresie nie znajdowała dobrej odpowiedzi na to pytanie. Zerwała – boleśnie – z chłopakiem z college’u, dopiero co skończyła dwadzieścia cztery lata, jej sytuacja finansowa była stabilna, nie była z nikim związana, była zdrowa i nie znajdowała powodów, dla których nie miałyby robić tego, co przyjdzie jej do głowy.

Bo w końcu dlaczego nie? Dlaczego nie?

Przygotowania do ślubu jej kuzynki Gaby, pierwszego ślubu

młodsze pokolenie w rodzinie. Wydarzenie. Kamień milowy. To było w lutym 1992 roku. Gaby i ciotka Ruth wybrały suknie dla drухen z atlasu w kolorze kości słoniowej: dekolt w łódkę, wdzięczne krótkie rękawki, zamaszysta spódnica do połowy łydki. Zamówiły je w eleganckim sklepie na Madison Avenue. Wnętrze przypominało komnatę, ściany były wyściełane grubym szarym aksamitem. Wszystkie sprzedawczynie były piękne i dumne, trzymały perłowe pióra, którymi zapisywały wymiary klientek w oprawionych w skórę notesach. Miranda przyszła na przymiarke któregoś wieczoru po pracy. Sklep był prawie pusty. Zajął się nią nieco ospała sprzedawczyni o włosach w kolorze białego wina. Zdjęła jej płaszcz i ostrożnie go powiesiła. W głębi sklepu był rząd luster ustawionych pod różnymi kątami, otaczający trzy okrągłe podesty. W przymierzalni za zasłoną Miranda włożyła suknię i została poprowadzona do środkowego podestu. Kobieta ze szpilkami w ustach uklękła u jej stóp na poduszce i kredą zaznaczała długość na krawędzi materiału. Sprzedawczyni stanęła za Mirandą i zebrała luźny stan sukni.

– Trochę bardziej dopasowany i rowek między piersiami odrobinę się pogłębi – wymruczała. – Widzi pani?

Miranda widziała. Wybaczyła Gaby, że ta wymagała od drухen, żeby wybuliły na sukienki po dwieście dolców. Krawcowa uśmiechnęła się do odbicia Mirandy.

– Pasuje pani ten kolor – powiedziała. Sprzedawczyni puściła suknię i dekolt ześlizgnął się, ukazując większą część czarnego stanika Mirandy.

– Niech pani pomyśli nad wysokim upięciem włosów –

powiedziała bogini białego wina, wprawnie zwijając długie loki Mirandy i upinając je wsuwkami, które wyjęła z kieszeni. Na obrzeżu lustra Miranda zauważyła mężczyznę. Usiłowała podciągnąć stanik sukni.

– Proszę się nie ruszać! – warknęła krawcowa.

Mężczyzna miał może dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Ubrany był w ogromną bluzę z kapturem, z napisem „Chicago Bulls”, czarno-czerwoną, włosy nosił po wojskowemu, krótko obcięte, z płaską górą. W lustrze jego odbicie wpatrywało się ciemnymi oczami w odbicie Mirandy. Powoli wysunął się z zasięgu odbicia lustra i zniknął.

– Dominick – krzyknął z zaplecza damski głos z akcentem. – Wróciłeś z przerwy?

– Tak, proszę pani. Ma pani coś dla mnie?

– Idź na dół do magazynu. Właśnie przywieziono dwie skrzynki z lotniska. I następnym razem wracaj szybciej, drogi panie.

Zanim krawcowa skończyła pracę i Miranda z powrotem przebrała się w swoje ubranie, drzwi wejściowe zamknięto i przygaszono światła. Sprzedawczyni wypuściła Mirandę ze sklepu.

– Wyślemy pani suknię za cztery do sześciu tygodni – powiedziała.

Ulica opustoszała, zimny wiatr zmusił ją, by owinęła się szczelniej płaszczem. Pospieszyła do wejścia do metra. Usłyszała, że pociąg wjeżdża na stację, i zbiegła ze schodów z torebką objającą się o biodra, wyleciała z bramki obrotowej i wpadła do wagonu. Ktoś wbiegł za nią i pchnął ją lekko, gdy zamykały się

drzwi.

– Przepraszam – odezwał się męski głos.

Odwróciła się i zaskoczona zobaczyła z bliska magazyniera. Jego jasnobrązowe oczy z zieloną obwódką, jego gładką skórę. Był od niej wyższy. Odwróciła się od niego i wybrała miejsce w opustoszałym wagonie. Usiadł naprzeciw niej, pocierając dłonią kwadratową szczękę z kilkudniowym zarostem. Przypatrywał się jej oceniająco. Długie nogi w dzinsach wyciągnął na środek wagonu. Nosił olbrzymie, luźno zasznurowane buty robocze. Usiłowała unikać jego wzroku. Żałowała, że nie ma ze sobą książki do czytania, prawie zawsze nosiła ją w torebce, ale dzisiaj, oczywiście, jej nie wzięła.

– Mieszkasz w centrum – powiedział. Spojrzała na niego. Jego lśniące włosy odbijały światło jarzeniówek.

– Tak – odparła.

– Założę się, że jesteś Irlandką.

– Nie.

– Nie? Wyglądasz na Irlandkę. To komplement.

Uśmiechnęła się lekko, co przypadło mu do gustu.

– Mój ojciec był pół-Irlandczykiem, pół-Włochem. Mama jest cholerną P.R. – Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Wiesz, że to znaczy Portorykanka, prawda?

– Wiem – powiedziała.

Podniósł się z siedzenia z zauważalną gracją, pochylił w jej stronę i wyciągnął rękę.

– Jestem Nicky – powiedział. Powoli wyjęła dłoń z kieszeni płaszcza i podała mu ją. Była ciepła, a jego uścisk dość mocny.

– Cześć.

Puścił jej rękę i opadł z powrotem na siedzenie.

– Nie podałaś mi swojego imienia. – Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Nie szkodzi. Na razie możesz być bezimienna. – Schował dłonie do kieszeni pikowanej bluzy. Oparł głowę o podrapane okno, zamknął oczy. – Wiesz co, Bezimienna – powiedział cichym, ale słyszalnym ponad stukotem pociągu głosem. – Wciąż mam cię przed oczami w tej sukience. – Zamilkł na dłuższą chwilę, potem otworzył oczy i przyłapał Mirandę, gdy gapiła się na niego jak w transie.

Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem na Union Square. Miranda wstała nagle i podeszła do drzwi. Stał tuż za nią.

Odwróciła się do niego.

– Nie idź za mną – powiedziała.

– Może to też mój przystanek. – Położył jej dłoń w dole pleców i skierował Mirandę przez otwarte drzwi na peron. Wysiadł za nią. Pociąg odjechał ze stukotem, pozostawiając ich samych.

– To nie jest twoja stacja – powiedziała Miranda.

– Pozwól mi tylko odprowadzić cię do domu. – Uśmiechnął się. Leniwy, wyćwiczony uśmiech, któremu nie oprze się żadna kobieta.

Dlaczego nie?

NASTOLATKA Z DUŻYMI KOŁAMI OBUDZIŁA SIĘ, WYJĄC, gdy pierwsze promienie światła dopiero co wpadły do filii.

– *Mentiroso, mentiroso!*<sup>5</sup> – piszcziała. Inne kobiety zaczęły gwizdać i przeklinać w swoich łóżkach. Dziewczyna wstała, chwyciła metalowy dzbanek z wodą ze stolika i rzuciła nim w kraty

okna. Rozległ się grzechoczący w mózgu szcęk. Nocny strażnik przybiegł i usiłował złapać ją za rękę. Odwróciła się i podrapała mu twarz bladą różowymi paznokciami. Celowała w oczy. Krzyknął. Zawyla triumfalnie i zaczęła zdzierać prześcieradło z materaca. Pojawił się drugi strażnik, prosząc o pomoc przez krótkofalówkę. Po minucie czterech strażników przyszpilało ją do podłogi twarzą w dół. Dziewczyna cały czas krzyczała i gryzła wszelkie części ciała, do których mogła sięgnąć zębami.

– MENTIROSO!

Strażnicy w końcu skuli jej ręce kajdankami i unieruchomili nogi łańcuchem. Leżała na linoleum, ciężko dysząc. Strażnicy ocierali sobie nawzajem rany papierowymi ręcznikami.

– Mam hifa, pojeby – powiedziała, śmiejąc się.

– Lepiej leż spokojnie, dziewczyno – odezwał się jeden ze strażników.

– Pierdol się – ryknęła. Kiedy ją zabierali, cały czas ryczała: – Pierdol się!! – Aż ochrypła.

Dziewczyny w filii były podniecone tą sceną. Chodziły w kółko i drwiły.

– Baw się dobrze w Marcy, kochanie – krzyknęła za nią jedna z nich. – Mają tam też facetów!

– I basen! – dodała inna. – To wariatkowo z największymi przystojniakami z całych Stanów.

Ogólna wesołość trwała, aż wrócił jeden ze strażników i krzyknął, że mają się zamknąć i stawić na apel o siódmej.

Po apelu, z jego niekończącymi się komunikatami przez krótkofalówki i nieustannymi uwagami: „Bez rozmów podczas



apelu, dziewczyny, cicho!”), co oczywiście nie powstrzymało ich od gadania, przyjechały wózki ze śniadaniem. Miranda, wciskając koc pod cienki materac, usłyszała, jak ktoś obok niej powiedział:

– Mówiłam ci.

Odwróciła się, kiedy April zatrzymała się z metalowym wózkiem wypełnionym małymi opakowaniami płatków śniadaniowych Special K u stóp jej łóżka.

– Mówiłam ci, że nie wyjdiesz stąd przede mną. Nie myślałaś chyba, że możesz mnie zostawić z tymi kurwami na 109 C?

Miranda objęła wąskie krzepkie ramiona April, wdychała zapach jej cytrynowego proszku do prania. Kolejne ciche podziękowanie za to, czego nie zostawiła. Puściła ją i wskazała wózek.

– Nie masz służby w kuchni.

April wzruszyła ramionami i posłała jej swój nieśmiały uśmiech.

– Przekupiłam Cherie, żeby zgłosiła chorobę. Dałam jej całe pudełko gorących kubków. – A potem, z poważnym wzrokiem, słodka ze swoimi piegami, dodała: – Musiałam zobaczyć się z moją siostrą. Lu twierdziła, że coś planowałaś, ale powiedziałam jej: „W życiu. Nie zrobiłaby tego”.

Nagle jest rozpalona, jakby miała w środku rozżarzone węgle. Usiadła na łóżku i potarła twarz dłońmi, starając się ją ochłodzić. Ponownie spojrzała w górę na April, jeszcze raz zauważając elegancką linię głowy pod krótko obciętymi włosami, inteligencję widoczną w spojrzeniu, zwarte, silne ciało. To byłby postęp przynoszący wstyd, opuścić tę cenną ludzką istotę, tego małego zbawcę, na którym polegała bardziej niż na kimkolwiek innym w życiu, szczególnie w tym przygnębiającym miejscu.

– A co z twoją rodziną, Miranda? Nie pomyślałaś o matce? –  
beształa ją, rozdzierając jej serce.

– April, nie wiem, co myślałam. Ja... wiesz, pięćdziesiąt dwa  
lata.

– No i co z tego? Kwiat musi rosnać tam, gdzie go posadzono,  
dziewczyńno.

To było ulubione motto dziewczyn, nawet wymalowano je jako  
mural na ścianie siłowni.

Miranda przytaknęła.

– Pracuję nad tym.

– À propos, dawny pokój Watkins dali nowej dziewczynie,  
nazywa się Nessa. Chodzimy trochę razem na spacer. –  
Uśmiechnęła się nieśmiało. – Taaa, Nessa. Jest bystra. W formie.

– Rozumiem. – Miranda uśmiechnęła się. Czuła się zadowolona  
niewspółmiernie do sytuacji.

April potrząsnęła nieśmiało głową.

– Nie, to nie to. Jest po prostu dobrą osobą. – Podała jej dwa  
pudełka płatków. – Lu wysyła ci to na spódzie. Nie wiem, co w nim  
jest, ale nie otwieraj, dopóki nie skończy się runda śniadaniowa.  
Mogłabym przez to mieć przesrane.

– Dzięki. – Miranda chwyciła dłoń April, gdy odbierała od niej  
płatki, i uścisnęła ją.

April odwzajemniła uścisk.

– Nie mogę się doczekać, aż wrócisz na oddział.

– Naprawdę myślisz, że z powrotem wyślą mnie na 109?

April uśmiechnęła się do niej przez ramię, wyjeżdżając  
wózkiem.

– Beryl robi wszystko, żeby znowu się do ciebie dostać.

Kiedy wywieźli już wszystkie wózki ze śniadaniem z filii i na oddział wrócił spokój, Jessop czytała gazetę na swoim stanowisku, a większość kobiet grała w pokera w dalszym końcu sali, Miranda oderwała taśmę klejącą z drugiego pudełka płatków. Wyciągnęła z niego owinięte w jednorazową chusteczkę do nosa zawiniątko, w którym znalazła miniaturową buteleczkę kremu Harveys Bristol i nowusieńką szminkę Revlon w kolorze głębokiej czerwieni o nazwie luminesque. Był tam też ciasno zwinięty skrawek papieru. Miranda rozwinęła go i przeczytała liścik od Lu, napisany jej dziwnym pismem drukowanym, w którym można było znaleźć resztki liter z cyrylicy: „WIĘCEJ SZCZĘŚCIA NASTĘPNYM RAZEM, MIMI”.

## 9

### **MIEĆ ŚWIADOMOŚĆ, JAKIE EFEKTY NA PROFESJONALNĄ OCENĘ MOŻE WYWIERAĆ STAN WŁASNEGO ZDROWIA PSYCHICZNEGO**

(Zasada A)

Zawsze byłem żarliwym obrońcą niekonwencjonalnych rozwiązań. Kreatywnego rozwiązywania problemów we wszystkich jego przejawach. Nawoływałem pacjentów: „Myśl poza schematami. Przełamuj stare nawyki i błędne koła. Zrywaj ze zwyczajami. Podejmuj ryzyko”.

Nie można uniknąć ryzyka porażki, jeśli mamy mieć możliwość odniesienia sukcesu. Powiedział to Hasenhaide, mój dawny mentor z Uniwersytetu Nowojorskiego, a w obliczu próby samobójczej M. miałem zamiar stosować się do tej zasady.

Krok pierwszy: odnowić kontakty z M. To nie było łatwe. filia oddziału psychiatrycznego podlegała Corinne Masterson, która była przewrażliwiona, kiedy zauważyła, że inni psycholodzy mieszały się w sprawy przypadków pod jej obserwacją. Udało mi się jednak wślizgnąć do filii późnym popołudniem tego dnia, gdy M. przywieziono ze szpitala. Oczywiście opiekowałem się nią

w szpitalu tej nocy, kiedy odbywał się bankiet, i przez cały kolejny dzień. Jej świadomość była zamglona, znajdowała się pod wpływem silnych środków uspokajających, nie sądzę, żeby była świadoma.

A teraz, kiedy wróciła, nie byłem pewien, jak mnie przyjmie. Mój puls musiał chyba osiągnąć 200 uderzeń na minutę, kiedy minąłem biurko strażnika przy wejściu do filii, mamrocząc coś o tym, że doktor Masterson jest na spotkaniu. W rzeczywistości wiedziałem, że Corinne tego popołudnia poszła na wagary, bo chciała załapać się na popołudniówkę na Broadwayu.

Przebiegłem wzrokiem pomieszczenie: ciężkie poplamione belki na suficie, okno z kratkami i równe rzędy łóżek wzdłuż obydwu ścian. Brudne, jakby zużyte światło padało ze starych białych żyrandoli z mlecznego szkła. Gdyby pominąć więźniarki w uniformach i strażników, można by pomyśleć, że to sypialnia w podupadłym, ale dystyngowanym internacie damskiego college'u. Zauważyłem M., podpartą na łóżku z książką o Eleanor Roosevelt.

– Ciekawa? – spytałem.

Odłożyła książkę. Czułem się, jakby w mojej klatce piersiowej młot walił o gardło. Inne kobiety gapiły się z zaciekawioną wrogością. Na pewno nie byłem doktor Corinne Masterson.

Zerknęła szybko w moją stronę, potem w przeciwnym kierunku.

– To mój nowy wzór do naśladowania, naprawiaczka świata.

– Tak, silna kobieta. Z tego, co wiem, silna pierwsza dama.

Właśnie w tym momencie kobieta z drugiego końca sali zaczęła wykrzykiwać:

– Gdzie doktor Corinne, potrzebuję mojej doktor Corinne.

Za moimi plecami natychmiast pojawił się strażnik.

– Doktorze, mógłby pan zająć się najpierw Leną, chyba ma jakiś atak.

– Jasne, nie ma sprawy, już tam idę.

Strażnik zmierzał do wyjącej Leny. Odwróciłem się z powrotem do M. i powiedziałem po cichu:

– Proszę, niech pani przyjdzie do mnie na wizytę, kiedy pani będzie mogła.

Przez chwilę skrzywiła mocno twarz. Wzrok zafiksowała na Eleanor Roosevelt.

– Myślę, że nie potrzebuję już terapii – powiedziała głosem o ton wyższym od szeptu.

– Tylko raz – powiedziałem, odwróciłem się i odszedłem.

Uspokoilem Lenę i przeszedłem przez salę. Nie było jej już. Spytałem strażnika, gdzie zniknęła.

– W kiblu, doktorze – odparł. – Powiedziała, że musi do sracza.

PO TYM, JAK ZWIAŁEM Z HOLU BANKIETOWEGO W HILTONIE, mój ojciec stanął przy mikrofonie i wygłosił mowę akceptacyjną, którą okrzyknięto największą w historii Towarzystwa: inteligentną, pełną gracji, błyskotliwą, jak mi później powiedziano. Ostatnio wpadł mi w ręce stary rocznik Towarzystwa i miałem okazję ją przeczytać. Wszystkie komplementy były trafione, a jeszcze można by trochę dodać.

Znakomici rodzice ciążą nad życiem dzieci, prawda? Kiedy kroczysz swoją ścieżką, nieustannie jesteś świadomy tej wydeptanej przez nich, biegnącej obok twojej, ale w pewnym momencie

wyczuwasz, że oni w jakiś sposób przemierzali bujniejsze lasy, piękniejsze krajobrazy, wspinali się na wyższe szczyty, skąd podziwiali bardziej majestatyczne widoki, podczas gdy ty błdziłeś i kręciłeś się w kółko jak dziecko we mgle. Być może wyobrażanie ich sobie na szczycie przynosi ci satysfakcję, mimo że podejrzewasz, że, no wiesz, tak naprawdę nigdy nie staniesz obok nich. Wleciesz się w tę stronę, mijają lata, czasem zatrzymujesz się w codziennych rundach, żeby rzucić wzrokiem w górę, żeby podziwiać ich pozycję, żeby zanurzyć się na chwilę w swojej tęsknocie za nimi, zanim w końcu, stopniowo, znikną z widoku.

Jerry Stidwell potem odciągnął tatę na bok i spytał, czy nie potrzebuję terapeuty.

– Po prostu wyglądał na... trochę rozbitego.

Zwierzył się ojcu, że jego córka jest performerką i że właśnie dzisiaj można zobaczyć ją w centrum, w skatologicznej praktyce pod tytułem *Płody/Odchody*. Westchnął i dodał:

– Pewnie to prawda, co mówią. Dzieci szewca bez butów chodzą, Erskine. – Poklepał ojca po plecach. – Powiedz mu, że zwalnia mi się godzina we wtorki wieczorem, chętnie go przyjmę.

Po tym, jak Corinne przekazała mi wiadomość, gnałem na łeb na szyję do Centrum Medycznego Hudson Center, żeby pożegnać się z M., a kiedy tam dotarłem, znalazłem ją żywą. Siedziałem obok jej śpiącego ciała przez długą noc, a kościsty strażnik drzemał na krześle obok. Gdy nastał świt, wyszedłem na parking, żeby pooddychać chwilę świeżym powietrzem. Oparłem się o swój samochód i gapiłem na jej okno na trzecim piętrze przez mgłę złożoną z ulgi i wdzięczności. Wyszepiałem krótką modlitwę

dziękczynną. Gwoli wyjaśnienia, nie byłem wtedy człowiekiem religijnym, ale uważam, że tamtego kojącego świtu mogłem się nim stać. Wyczuwałem łagodną obecność na podmiejskim parkingu, gdzie gasły właśnie światła latarni i budził się chór ptaków.

Później tamtego ranka na korytarzu spotkałem Charliego Polkinghorne'a. Każda próba samobójcza stanowiła dla niego duży problem natury biurokratycznej. Czekał, aż automat wypluje mu paczkę orzeszków.

– Nie wiem, co stwierdzić o tym przypadku – powiedziałem, podchodząc. – Przysięgam ci, że dokonałem dokładnej oceny i nie wykryłem żadnych myśli samobójczych.

– Posyłają nam podkręcone piłki, przyjacielu – powiedział Charlie ze współczuciem. – I czasami chybiamy.

– Na skali Hopkinsa uzyskała 2, solidną dwójkę. Tylko lekki niepokój. Wydawało się, że dobrze zareaguje na elavil.

Byłem nieogolony, nieuczesany. Położył mi rękę na ramieniu.

– Nie przejmuj się tak, Frank. Mamy do ciebie duże zaufanie. – Podniósł kubek z kawą do ust i pociągnął łyk. – Zanim się obejrzysz, ta kobietka będzie już brykać po oddziale.

Poszedł za mną do pokoju M. Pochyliłem się nad jej łóżkiem tylko na chwilę, nadal była zamroczona, ale wydawało mi się, że może uśmiechnęła się do mnie przez mgłę. Wyprostowałem się, położyłem jej rękę na nadgarstku.

– Puls silny, cera ładnie zaróżowiona – powiedziałem do Charliego. – Myślę, że wyjdzie z tego z nową chęcią do życia. Nie mogę się doczekać, żeby spotkać się z nią w gabinecie.

Przytaknął, uroczyście monitorując tę śpiącą królownę.



– Dobry z ciebie człowiek, Frank. Dobry człowiek.

TAMTEGO WIECZORU PRZEZ CAŁĄ DROGĘ DO DOMU między składaniem przysięg, co zrobię w zamian za życie M., próbowałem wyobrazić sobie, jak pokażę się ojcu po tym, jak uciekłem. Zostawił mi kilka wiadomości na sekretarce. Brzmiał w nich niepokój. Postanowiłem wrócić do mieszkania, wziąć prysznic i ogolić się, kupić biało-czarne ciastka w Zabar jako wyraz dobrej woli, a potem zaprosić go na kolację.

Wysiadłem z windy i znalazłem Trufla zwiniętego w kłębek na gaśnicy w holu. Gapił się na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Drzwi do mieszkania były szeroko otwarte.

– Halo? – krzyknąłem niepewnie w głąb salonu. Brak odpowiedzi. Brak śladów życia, ale zniknął telewizor. Kabel bezwładnie zwisał z mebla. – Chryste – wymamrotałem. Najwyraźniej lokalne ćpuny zwinęły mi telewizor i zwiały. A w pośpiechu zgubili pilota, który leżał na środku dywanu. Kopnąłem go pod kanapę i poszedłem do sypialni.

Wtedy usłyszałem jakiś szelest dochodzący z łazienki. Z walącym sercem dałem nura do sypialni i rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś broni. Złapałem lampkę do czytania. Wyciągnąłem kabel z wtyczki i uniosłem ją nad głowę.

– Jestem uzbrojony – krzyknąłem, cofając się w stronę telefonu stojącego przy łóżku. – Dzwonię po gliny.

Podniosłem słuchawkę i wystukałem 911. Szmery z łazienki stały się głośniejsze. Usłyszałem, że zasłonka prysznicowa się rozsuwa, ktoś wychodzi z wanny. A potem wielki huk – dwudziestosiedmiocalowy hitachi rozpryskał się na kafelkach.

– Operator 911. Adres?

– Zachodnia Osiemdziesiąta Czwarta, numer trzysta sześćdziesiąt sześć. W mieszkaniu jest włamywacz.

Drzwi łazienki otworzyły się szeroko, uderzając w ścianę. Wysoka zgarbiona sylwetka z długimi włosami, pozostałości mojego telewizora słały się u jej stóp.

– Nie rób tego, bracie, proszę – wyjęczał. – Mam przy sobie towar.

– Już nic, dziękuję. – Odłożyłem słuchawkę. Odstawiłem lampę, usiadłem na łóżku i wypuściłem powietrze z płuc, starając się znowu zacząć oddychać. Clyde spozierał na mnie smutnym wzrokiem spod daszka spłowiałej czapeczki Yankees i kręcił na palcu troki swojej uświnionej bluzy z kapturem.

– Masz miotłę? – Odważył się w końcu odezwać. – Pozamiatam.

– To musi być nowe dno.

– Miałem go tylko oddać w zastaw. Przyniósłbym go z powrotem, jak tylko bym mógł. Przysięgam.

Westchnąłem. Odsunąłem stopą szkło i wyciągnąłem ręce, żeby go objąć. Czuję się, jakbym obejmował szkielet. Jakbym trzymał garść patyków. Ale jego włosy, które łaskotały mnie w policzek, wywoływały wspomnienia. Włosy naszej matki, włosy Colleen, te same fale, ich dotyk na skórze lekki jak piórko.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że jego bezprawne wtargnięcie może być dobrą rzeczą. Wypuściłem go z objęć.

– Wracaj pod prysznic. Umyj się. Ja to posprzątam.

Podszedłem szybko do szafy i wyciągnąłem niebieską koszulkę polo i parę spodni khaki.

– Frank, chłopie, przepraszam.

Gdy się odwróciłem, odgarniał stopą drzazgi plastiku z zawstydzonym wyrazem twarzy. Podszedłem i zdjąłem mu z głowy czapkę, potem odwróciłem go i mocno pchnąłem w stronę łazienki.

– Do roboty – powiedziałem. – Twój kochany tatuś czeka.

BYŁA PARNA LIPCOWA NOC, ULICE NA WPÓŁ OPUSTOSZAŁE. My, Lundquistowie, rozbijaliśmy się po mieście w białej limuzynie. Kolacja w East Side, lody w The Village, rundka wokół Battery, żeby tata mógł pokłonić się Pani Wolności. Co jakiś czas Clyde wystawiał głowę przez otwarty dach, wykrzykiwał w noc i z pędzącej limuzyny pokazywał zaskoczonym przechodniom kciuki uniesione w górę. Tata obejmował go za ramiona, gdy opadał z powrotem na białe skórzane siedzenie sanktuarium.

– Nadal jest żartownisiem.

Na mnie patrzył ze współczuciem przepełnionym troską. Kiedy zatrzymaliśmy się na nocną przekąskę w Chinatown, chciał mnie zachęcić do mówienia, pytając o rozwód. Clyde pochłaniał pierożki.

– O co tak naprawdę wam poszło z Winnie? – spytał delikatnie. – Problemy z komunikacją w związku? Problemy z seksem? Jasne, często wyjeżdżała. To mogła być technika uniku, ale może po prostu na tym polega jej praca. Trudno powiedzieć.

Wierciłem się na krześle.

– Tato, to po prostu nie miało szans.

– Nie masz ze mną problemu, mam nadzieję – problemów z tożsamością, złości?

– Nie.

– Bo... Ta twoja ucieczka wczoraj.

– Mam... Mam w pracy dużo stresów. Moja pacjentka... jest trudna, stała się – szukałem odpowiedniego słowa – trochę moją obsesją. Chcę naprawdę odpowiednio potraktować ten przypadek. Może jestem wyczerpany nerwowo.

Przytaknął z mądrym wyrazem twarzy i wypluł ogonek krewetki w soli i pieprzu.

– Tak właśnie wypadaleś na testach w wieku sześciu miesięcy. Bardzo silne superego. Niesamowicie skrupulatny. Rygorystycznie przestrzegający zasad.

Uśmiechnąłem się słabo.

– Kolejny dokładny wynik testu Lundquista. Niespotykana precyzyjność przewidywań.

– Faktycznie niespotykana – powiedział, przytakując. Odwrócił się do Clyde'a. – No i ten chłopak. Martwię się.

Mój brat uniósł pałeczkę, potwierdzając, że słucha.

– Jak ci idzie w tej pracy w piekarni, synu? Widzisz tam dla siebie przyszłość?

Ukradkiem usiłowałem pokazać Clyde'owi gestami, żeby obciągnął rękawy koszuli. W szale degustacji podwinął je sobie nad łokcie i było widać wklucia. Schował ręce w rękawy.

– Tak, jasne. Ludzie zawsze będą jeść chleb.

Tata chyba nie zauważył pokłutych rąk.

– To chyba prawda, Clyde – powiedział miękko. – Chleb zawsze będzie w modzie.

– A ja wiem, jak go upiec na sto sposobów. I jeszcze więcej.

NASTĘPNEGO RANKA TATA POLECIAŁ DO DOMU, A CLYDE WRÓCIŁ DO JIMMY'EGO z kieszeniami wypchanymi bonami prezentowymi, które kupiłem mu w różnych marketach i sieciowych restauracjach. Miałem nadzieję, że zrobi z nich lepszy użytek niż z gotówki. Kupiłem sobie nowy telewizor Hitachi, z najnowszą funkcją obrazu w obrazie i dźwiękiem dolby surround. W Ośrodku Pomocy Psychologicznej, tuż przed lunchem, Charlie Polkinghorne zawołał mnie do swojego biura. Jedną ścianę zdobiła oprawiona litografia Artura Ashe'a, za jego głową zwisały zakurzone rośliny.

– Hmm, mamy potwierdzenie – powiedział, otwierając teczkę na biurku. – Dochodzenie wykazało, że twoja pacjentka, ta próba samobójcza, faktycznie zbierała leki. Odkładała codzienną dawkę, ukrywała ją gdzieś w prywatnym miejscu. – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Jak chomiczek, nie? – Pokręcił głową. – Widać, że wymagało to długiego planowania. Niczego się nie domyślałeś?

– Nie – odparłem, nerwowo trąc brodę. – Nie widziałem w niej żadnych oznak, że...

– Zrelaksuj się, przyjacielu – powiedział. – To tylko procedura, o nic cię nie oskarżam. Wiesz, że muszę wypełnić te przekłete formularze dla Albany.

– Jasne, wiem. – Wziąłem głęboki oddech.

– Dlaczego zaleciłeś jej przejście z zoloftu na elavil? – spytał, kartkując dokumenty w teczce.

– Hmm, myślę, że chyba po prostu... myślałem, że więcej skorzysta z antydepresantu trójpierścieniowego. Zoloft chyba nie działał na nią dobrze.

– Oczywiście, oczywiście. – Charlie nabazgrał parę zdań. – Elavil jest jednym z moich ulubionych leków w apteczce.

Prawdopodobnie sam bym tak zrobił. – Zamknął teczkę i zwrócił dobrotliwe spojrzenie na mnie. – Nie myśl już o tym, Frank. Pamiętaj, jesteś cenionym członkiem naszego zespołu psychologów.

Kiedy wróciłem do swojego gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi na zamek i stanąłem na środku. Przez długi czas gapiłem się na drżące romby słońca na podłodze, taniec cienia i światła wywołany przez gorący wiatr, który wiał z dalekiej północy stanu, może aż z hrabstwa Oneanta, w dół wzdłuż rzeki Hudson i przez wzgórza Westchester, żeby niepokoić zmęczone bzy za oknem mojej sutereny. Usiłowałem myśleć wstecz, przypomnieć sobie. Przypomnieć sobie twarz M., kiedy poprosiła o „coś mocniejszego”. Wszystkie sesje po tym, jak szybko przeczytała prośbę o receptę, którą wzięła ode mnie. Robiła zapasy, jasne. A ja byłem pewien, że jej pomagałem, że, do cholery, osiągnęliśmy jakiś „przełom terapeutyczny”.

Miała własny plan.

Wykorzystała mnie.

Upatrzyła mnie sobie, wybrała mnie na ofiarę. Swoją ofiarę.

Jak mogłem do tego dopuścić?

I ten zwariowany pomysł uwolnienia jej. Jaką ja w ogóle miałem motywację? Ta kobieta to w końcu morderczyni.

Ale.

Ale może nią nie jest. Może to była samoobrona, wypadek, pomyłka sądowa. Może M. była taka, jaką ją widziałem – sama i zagubiona, osamotniona, katapultowana w te okrutne okoliczności, spadająca w boleśnie zwolnionym tempie w stronę

losu tak potwornego, że chwyciła się jedynej szansy, by go odwrócić. Zakończyć. Gotowa użyć wszelkich dostępnych środków, oszukać kogokolwiek, żeby zmniejszyć swoje cierpienie, żeby w końcu się uwolnić.

W JAKI SPOSÓB WYLĄDOWAŁEM W MOIM MIESZKANIU TAMTEGO WIECZORU, nie mam pojęcia. Nie pamiętam, żebym prowadził samochód, jechał Saw Mill, parkował. Przebrałem się, wyciągnąłem piłkę do koszykówki i oszołomiony wyszedłem do parku Riverside. Hudson wydzielala nieprzyjemną mgiełkę. Ostatni spacerowicze z psami kręcili się po promenadzie. Na boisku przy rzece zacząłem apatycznie wykonywać rzuty osobiste, obserwowany jedynie przez wynędzniałą wiewiórkę, która plądrowała śmietnik w poszukiwaniu kolacji. Usiłowałem to wszystko zrozumieć.

Wiewiórka znalazła bułkę od hamburgera. Przebiegł biegacz z zadyszka. Nad głową zamruczał cicho helikopter. Z mgły wyłonił się księżyc, miękki, migoczący, jak podwodne światło w basenie z mętą wodą. I oczywiście przyszły do mnie odpowiedzi, bo to wszystko było zakopane we mnie, czekało tylko na chwilę szczerzej autorefleksji.

Główna koncepcja: starzejemy się, dorastamy, zmagamy się pracowicie, żeby ewoluować i robić postępy, ale przez jakieś nieuniknione prawo natury „ja” nastolatka pozostaje naszym podstawowym „ja”. Niezmienialnym rdzeniem. Możesz od tego uciekać, ale to będzie uciekać z tobą. Będzie podążać za tobą każdym skrótem i piwnicznym korytarzem. I czasem cię dogoni, obejmie cię patykowatymi ramionami, zwilży ci kark swoim

gorącym oddechem.

Znajdowałem się we władzy pierwszoklasisty z liceum. Tamtego chłopaka. I nadal byłem jej niewolnikiem, ciągle wisiałem na ścianie szatni, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Gdyby przechodzący spacerowicz podał mi blok rysunkowy, mógłbym z pamięci naszkicować jej nadgarstki. Delikatne i guzowate, z lawendowymi żyłami pod skórą w kolorze kości słoniowej. Potrafiłem narysować łuk jej brwi i linię szczęki. Odcień i połysk jej włosów, jak miedź zroszona deszczem.

Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku, byłem przez nią oślepiiony.

KILKA DNI PO TYM, JAK ZOBACZYŁEM MIRANDĘ W FILII PSYCHIATRII, przeszedłem przez bramkę bezpieczeństwa z ciężkim sercem. Jest tylko jedna droga, to była dla mnie jasne. Próbowałem się nie obwiniać – my, terapeuci jesteśmy tak samo ludzcy jak wszyscy inni. Czasami klienci są dla nas atrakcyjni – w końcu znamy ich tajemnice, śmiejemy się i płaczemy razem, a nie zostawiamy hormonów w zamkniętym pudełku w domu. Pojawiają się emocje. Intymność w wymianie terapeutycznej jest intensywna.

Terapeuta, kiedy jest poruszony, potrzebuje sięgnąć w głąb siebie w poszukiwaniu siły. Powściągliwość, samokontrola. Samoograniczenie.

Zdałem sobie sprawę, że muszę trzymać się raz obranego kursu, pamiętać o decyzji, którą podjąłem podczas naszej ostatniej sesji przed jej przedawkowaniem. Zagwarantować sobie, że nie będę utrzymywał kontaktów z M.

Wziąłem mój rozkład dnia od Imeldy. Natapirowała włosy



wysoko, jej głowa wyglądała jak wykrzyknik.

– Cześć, jak leci, doktorku? – Uśmiechnęła się do mnie.

– Zobaczymy, co przyniesie dzień.

Idąc korytarzem do gabinetu, zerknąłem na rozpiszę pacjentów. To imię o 9.

Podniosłem wzrok znad kartki. Przycupnęła na ławce przed gabinetem, nerwowo nawijając na palec włosy upięte w koński ogon, który opadł na jedno ramię. Płuca mi się skurczyły, powietrze nie chciało przepływać.

– Dzień dobry – udało mi się wykrztusić.

Wstała, podeszła do mnie.

– Przepraszam.

Różnobarwne tęczęwki, skóra poznaczona piegami. Patrz gdzie indziej, napomniałem się w myśli.

– Już pani wyszła z filii?

– Nie. W przyszłym tygodniu odeślą mnie na oddział. Złożyłam podanie, żeby móc tu przyjść.

Otworzyłem drzwi do gabinetu i gestem zaprosiłem ją do środka.

Mętne poranne słońce rozmywało kształty przedmiotów w środku. Nie zapaliłem górnego światła.

– Wygląda pani dużo lepiej.

– Tak mi przykro – powiedziała znowu. – Mam nadzieję, że to, co ja... to, co się zdarzyło... nie spowodowało na pana kłopotów.

– Hmm – zacząłem ostrożnie. – Chyba byłem nadmiernie skupiony na moich własnych rozczarowaniach.

Spojrzała na mnie. Chyba nie zarejestrowała tego, co powiedziałem.

– Przyszłam tutaj, żeby przeprosić. Za to, że przychodziłam na sesję z ukrytą motywacją. – Oparła się biodrem o biurko, spojrzała na mnie z powagą. – Nie byłam naprawdę zainteresowana terapią. Tym, żeby czuć się lepiej. Chciałam się tylko stąd wydostać.

– Zrozumiałe – przytaknąłem. Wilgoć (skąd się wzięła?) pojawiła się na moim czole. W dole pleców.

Wziąłem głęboki oddech.

– I wyczuła pani, że mogę jej w tym pomóc.

Uniosła brwi w zdziwieniu.

– Z powodu tego, co nas łączy – powiedziałem.

Usiłowałem utrzymać twarz w ryzach, ale zrobiła się miękka i gorąca, jak ciepła guma, traciła rysy.

Powoli opadła na krzesło pacjenta.

– Więc pamiętasz mnie – powiedziała w końcu.

– Jak tylko cię zobaczyłem. Natychmiast cię rozpoznałem.

Wpatrywała się we mnie przez moment, potem spuściła wzrok.

– Mnie zajęło to trochę czasu – wyszeptała.

– Miałaś szafkę obok sali do nauki pisania na maszynie. – Przytaknęła. – Ciągle nosiłaś białą kurtkę dżinsową. I kolczyk z pegazem. Na trygonometrii z Showalterem siedziłaś obok tej swojej koleżanki.

– Ellen Jakaśtam. – Spojrzała na mnie.

– Twoim chłopakiem był Brian Fuller. Chodziłaś na zajęcia z ceramiki. Twój samochód był w kolorze kasztanowym. Toyota hatchback?

– Masz dużo lepszą pamięć ode mnie – powiedziała.

– Wygrałaś sprint na pięćdziesiąt metrów z Westlake.

– Jezu. – Potrząsnęła głową i zapatrzyła się w swoje dłonie. – Ja prawie nic nie pamiętam. Tylko trochę... twoje imię. Wypowiadałeś je bardzo cicho.

– Byłem nieśmiały. Nieśmiały dzieciak. – Zaczerwieniłem się, mówiąc to. Śmieszne. – Ale teraz, rozumiesz... Znajdujemy się na terytorium łamania zasad etycznych.

Westchnęła.

– Nie sądziłam, że mnie znałeś, ale... wyczuwałam, że... nie wiem. Miałeś do mnie jakąś słabość.

– I że dam ci elavil – dodałem cicho.

– Ale teraz jestem bardzo wdzięczna, że mi się nie udało. Bardzo wdzięczna. Chciałabym tylko wiedzieć, co mam zrobić ze swoim życiem. – Dłonie trzymała odwrócone wnętrzem do góry, wydawało się przez dłuższą chwilę, że czyta w nich swoją przyszłość. – Więc chodziłeś ze mną na trygonometrię. – Znowu na mnie zerknęła. – Po prostu nie mogę sobie przypomnieć.

– Byłem wtedy nieśmiały. – Znowu usłyszałem swój szept. Odwróciłem się od niej. Za oknem, nad krzewami, ciemne deszczowe chmury spieszyły na wschód, do oceanu. Niesamowicie paliło mnie w klatce piersiowej. Moje serce rosło i wypuszczało pędy, było bulwą czystej adrenaliny. Dłoń, którą dotknąłem czoła, ociekała potem. – M.? – powiedziałem, nadal patrząc w okno. – A może byśmy cię stąd wyciągnęli?

Cisza. Czuję jej wzrok na swoich plecach. Odwróciłem się do niej. Patrzyła na mnie, jakbym był obcą osobą w autobusie.

– Rozumiesz, o co mi chodzi. – Mój głos stał się bardzo cichy.

– Nie mam pojęcia – powiedziała.

Zapadłem się w krzesło.

– Naprawdę chcę ci pomóc. I coś nas łączy, prawda?

Milczała. Dukąłem dalej.

– Byłaś... jesteś... dla mnie bardzo ważną osobą.

Jej policzki zaróżowiły się powoli. Stopniowo, jak woda przesiąkająca przez piasek, ziarenko po ziarenku.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, co mówisz – powiedziała powoli.

– Szczerze mówiąc, ja sam też nie wiem. – Potarłem szczękę i szukałem w pamięci jakichś przydatnych słów. – Wiesz, jestem teraz w dziwnym momencie w moim życiu.

Wpatrywała się we mnie.

– Straciłem prywatną praktykę, jestem rozwiedziony.

– Dużo ludzi jest rozwiedzionych – powiedziała. – To nic takiego. Jezu, to nic takiego. Popatrz na moją sytuację.

Zniżyłem wzrok na biurko.

– To wszystko, co mogę zrobić. Patrzeć na ciebie. Myśleć o tobie, o tym, jak ci pomóc. Chcę ci pomóc.

Na długą chwilę zapadła cisza. Przyodziewała nas. Ją, mnie, biurko, krzesło, szafkę, czajnik, cały cholerny gabinet. Wtedy przerwałem milczenie.

– Wydaje się, że terapia nie stanowi rozwiązania.

– Chyba nie – powiedziała. Wtedy, w jej wzroku. Odległe błysnięcie, głębokie jak jaskinia. Daleki błysk – czego? Paniki, może... albo – nadziei.

– Powinienem powiedzieć wprost.

– Proszę – przytaknęła.

Nachyliłem się do przodu, wpatrując się w moje dłonie na biurku. Nie udało mi się opanować ich drżenia.

– Uciec – powiedziałem. – Wyciągniemy cię, uciekniesz stąd.

WYBÓR

# 10

## WRZESIEŃ 1999

Śnieg. Jasne, śnieg odegrał rolę. Miotany z ciemności, przychodzący znikąd, nie z tego świata, tak obfity. Transformujący. Dumne miasto stało się nieme i blade. Nowy Jork się poddał. Śnieg wygrał.

Przyjęcie urodzinowe w Morningside Heights. To było pięć lat temu. Specjaliści od pogody całą noc dziwili się i zachwycali w telewizji, gruchając jak młodzi rodzice nad dużym bobasem. Dwie stopy i dwa cale śniegu. Dwie stopy i sześć cali. A potem, proszę sobie wyobrazić, dwie stopy dziesięć cali w zachodniej części Pelham Parkway. Nieprawdopodobne.

Na przyjęciu pojawiło się tylko pięć osób. Pięć osób i skrzynka takiego sobie wina. Jedną z tych osób była Miranda, która przyjechała autobusem co rusz wpadającym w poślizg, próbując nie stracić równowagi z zapakowanym w pudełko tortem z kremem migdałowym, które trzymała w dłoniach odzianych w rękawiczki z jednym palcem. Drugą była jubilatka, artystka graficzka o imieniu Gillian, ulubiona sąsiadka Mirandy z piętra na Jacobs-Hahn, ze swoim śmiechem, sceptycznym spojrzeniem i włosami w pasemka

ściętymi na jeża, drgającymi jak czułki owada. Trzecią – gospodyni, Ann, ładna, obgryzająca skórki wokół paznokci malarka, która знаła Gillian ze szkoły. Czwarty był chłopak Gillian, dandysowaty makler giełdowy z Hiszpanii.

Ostatni był Duncan McCray.

Miranda skończyła dwadzieścia sześć lat i weszła w wiek stabilizacji. Lata pod znakiem „dlaczego nie” już się skończyły. Nicky Scorza wystraszył ją, od zeszłej jesieni była ostrożna i zachowywała abstynencję. Czasami wybrała się na randkę, ale mężczyzn trzymała na dystans. Unikała barów, pracowała, a wieczory spędzała, czytając.

– ...a to jest Duncan. Duncan – Miranda.

Skłonił głowę. Powtórzył jej imię.

W wąskiej, podobnej do kambuza kuchni wyjmowała tort z pudełka. Gillian wtoczyła się do środka i ledwie zatrzasnęła za sobą na wpół rozwalone drzwi, tłumiąc dochodzącą muzykę i piskliwy chichot Ann.

– Proszę, proszę, idź z nim do łóżka i opowiedz mi wszystko – powiedziała Gillian. – Z pikantnymi szczegółami.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Patrzy się na ciebie, Miranda. A on tobie też zdecydowanie się podoba. – Oparła się o blat kuchenny i uśmiechnęła szeroko. – Zauważyłam to.

Miranda położyła tort na talerzu.

– Siedzi z Ann w tym dużym fotelu.

– Jest jej kuzynem – powiedziała Gillian i zachichotała. – Słyszałam o nim mnóstwo opowieści. Nie polecałabym go na długi



związek, ale na krótką przygodę, o rany!

Metaliczne zgrzyty, gdy Miranda otwierała i zamykała szuflady, szukając noża.

– Złożyłam przysięgę czystości.

Gillian odwróciła się i wyciągnęła nóż do krojenia mięsa ze stojaka na blacie.

– Nie mogę oderwać od niego wzroku – powiedziała, podając nóż Mirandzie. – Gdyby Raf nie przyszedł tu ze mną, byłabym zgubiona. – Włożyła palec w krem i oblizała go do czysta. – Mmm. Uwielbiam mój tort urodzinowy. Spojrzała na Mirandę – A ty? Wpadłaś po uszy?

Przekroiła tort na pół, potem na ćwiartki. Był dużo za duży dla tej garstki gości przetrzebionej przez burzę śnieżną.

– Szczerze mówiąc, nie.

– Nie rzucaj słów na wiatr, Miranda – Gillian wyciągnęła talerz i uśmiechnęła się. – Zawsze podobają nam się ci sami faceci. Nie oszukasz mnie.

Miranda wyszła z przyjęcia sama. Albo tak jej się wydawało. Ale kiedy skręciła do windy, stał tam, zarzucając na ramiona czarny wełniany płaszcz i owijając szyję szarym szalikiem.

– Jak jedziesz do domu?

Czy chodziło o jego oczy? Głęboko osadzone, w najciemniejszym odcieniu błękitu, uważne, niechętne, tuszujące coś, jakieś ukryte intencje. Nie mogła patrzeć w nie dłużej niż przez chwilę, a to nie wystarczało, żeby odczytać jego intencje.

– Nie jestem pewna – powiedziała. – Zobaczą, co przyjedzie.

Drzwi otworzyły się, winda powitała ich szkarłatnymi ścianami

i mosiężnymi gałkami, po czym zamknęła ich w środku.

– A ty? – odważyła się powiedzieć, zerkając na niego. Włosy spływały mu na tył kołnierza płaszczka. Brązowe z nutkami czerwieni. Trochę podobne do jej włosów, ale ładniejsze, szczerze mówiąc.

– Mieszkam niedaleko – odpowiedział. Odwrócił się do niej i przechwycił jej spojrzenie. Uśmiechnął się. – Jeśli nie dasz rady dotrzeć do domu.

Ku swemu zdziwieniu poczuła, jak jej puls przyspiesza. Czuła mdłości, chyba przez zjeżdżającą windę. Odwróciła wzrok od niego, starając się uspokoić oddech.

Nie spała z nim tamtej nocy. Uciekła do metra, które nie przyjechało, więc skończyła w taksówce, której niestraszna była zamieć, co kosztowało ją trzydzieści dolców. Za to zadzwonił do niej następnego dnia i po krótkim spacerze przez zasypany śniegiem Village wylądowali w jej mieszkaniu. Była zdumiona jego wprawą. Kiedy jeszcze udawała, że robi kawę, on stał już za nią, obejmował ją i odpinał guzik bluzki. Dokończyła ostrożnie drżącym strumieniem nalewać wodę do czajnika. Odstawiła go i odwróciła się. Czuła, jakby jej oddech, może jej dusza, opuszczały ją, ale nie przejmowała się tym zbyt. Zbyt.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że nigdy czegoś takiego nie czuła, nigdy w życiu nie pożałowała kogoś tak mocno. Dokładnie w tym momencie on zatrzymał się i odsunął ją od siebie na minutę. Jej oddech był urywany. Patrzył na nią – z czym? Z dystansem? Z czułością?

– Za szybko? – wymruczał. – Bo wiesz, nie musimy się

pieprzyć. Mógłbym cię tylko obejmować.

MIRANDA GAPIŁA SIĘ NA SUFIT SWOJEJ CELI PRZEZ CAŁĄ NOC. Zacieki w świetle sączącym się ze stanowiska ochrony tworzyły trio smutnych twarzy. Smutnych zapaćkanych twarzy. Próbowwała zamknąć oczy, czytać, śpiewać bezgłośnie stare szlagiery z radia.

„Jeśli mnie teraz zostawisz, zabierzesz moje serce”.

Sen nie nadchodził.

Trwało to od tygodnia. Całe dni była niewyspana. W swojej nowej pracy w centrum alfabetyzacji przysypiała, gdy kobiety obok niej przeglądały i czytały na głos historie o Billu i Jan, które zapełniały strony *Dorosłego ucznia*. „Bill i Jan gotują”, „Bill i Jan biegają”, „Bill i Jan latają”. Jedna z jej uczennic przyłapała ją na drzemce.

– Widzisz? Książki są kurewsko nudne – powiedziała, rzucając tę, którą trzymała w ręku.

Mogła podziękować Frankowi Lundquistowi, słabo zapamiętanemu koledze ze szkoły. Owszem, trochę chciała go wykorzystać, potem powoli, powoli jej zaświtało. Ledwie pamiętała jego imię, z odczytywania listy obecności albo z dziennika. Nie mogła wyostrzyć w pamięci jego rysów. Ewidentnie nie wywarł na niej żadnego wrażenia. Jednak imię, najdelikatniejszy zarys wspólnej przeszłości, było czymś, na czym mogła się oprzeć. Pomyślała, że rozegra to spokojnie i inteligentnie, ale już ją nakrył, na długo wcześniej. Rozpoznał ją w momencie, kiedy jej cień po raz pierwszy pojawił się w jego drzwiach.

Jasne, że nie jest kryminalnym geniuszem. To było pewne.

W każdym razie dostała to, czego chciała – tabletki. Skorzystała z nich i była zadowolona, że jej plan nie wypalił. Postanowiła zobaczyć się z nim jeszcze tylko jeden raz, żeby go po prostu przeprosić. Żeby wyprostować sytuację na początku nowego życia.

A teraz ta jego nedorzeczna propozycja.

Jeśli, jakimś cudem, faktycznie udałooby mu się zrealizować ten absurdalny pomysł ucieczki z więzienia – to co wtedy?

Najwyraźniej był dobrą osobą. Najwyraźniej zależało mu na jej dobrym samopoczuciu. I faktycznie zauważyła jego przedramiona i duże dłonie o długich palcach, kiedy obracał głupią piankową piłeczkę do koszykówki podczas rozmowy. Owszem, uważała, że jego twarz coś w sobie ma, skromna i rumiana. Zmierzwiłone loki w kolorze blond często były zbyt potargane. Skopała koc z łóżka.

Po prostu chciała móc zasnąć.

GDY WRÓCIŁA NA ODDZIAŁ C, OPRACOWAŁA WŁASNY PROJEKT. Zebrać składniki, żeby ugotować risotto dla April. To było jej flagowe danie, gdy gotowała dla Duncana McCraya. Teraz chciała je przyrządzić dla najlepszej przyjaciółki na świecie. Dla swojego małego wybawcy. Ich związek był głęboki, fundamentalny dla tego nowego życia. Ale ostatnio April była jakaś wyłączona. W zeszłym tygodniu Miranda dwa razy znalazła ją zapłakaną w jej pokoju. Może ta nowa, Nessa, w jakiś sposób ją zraniła? Według Mirandy była nudna i zrzędliva, ale na April wywarła wrażenie, oczarowała ją: w jej towarzystwie April cały czas się uśmiechała i wytrzeszczała umalowane oczy. Teraz coś się zmieniło, ale nie chciała powiedzieć, co się stało. Zwijiała się tylko w kłębek na swoim łóżku, chowała twarz w dłoniach i mówiła:

– Cholernie się boję, Mimi. Jeśli tu umrę, moi nie przyjadą po

mnie. Pochowają mnie z bezdomnymi. Tak się boję. – Nic więcej nie chciała powiedzieć. Leżała w łóżku i nie chciała wstać.

– Dziewczyny, lepiej ustawcie się w szeregu, chcecie przecież wyjść na dwór – powiedziała Carmona, przechodząc obok celi.

– Mam skurcze – kręciła nosem April.

– Dobra. Majowa Panienko, a ty jaką masz wymówkę?

– Ja idę. – Miranda z niechęcią wyszła z celi. Kiedy dołączyła do pozostałych dziewczyn, stojących w szeregu przy wyjściu z oddziału, zastanawiała się, co tak wstrząsnęło April.

– Mimi! – Obok niej pojawiła się Lu. – Chodźmy razem, jestem taka szczęśliwa.

Z trójkątem białej bawełny zawiązanym na żółtych włosach, wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i żywymi turkusowymi oczami wyglądała jak urodziwa robotnica ze stalinowskiego muralu.

Drzwi oddziału otworzyły się i kolumna popychających się nawzajem rozplotkowanych kobiet wyszła korytarzem.

– Tak, jestem dziś bardzo szczęśliwa – powiedziała Lu. – Wisza i mały Wisza przychodzą dziś na małżeńską wizytę.

– Moja matka też przychodzi, ale nie na małżeńską.

– Twoja matka jest piękną damą. Kiedy ją widziałam, miała bardzo ładne kolczyki.

Grupka strażników obserwowała je, gdy wychodziły na podwórko. Wrześniowe niebo, gładkie i jasne jak niebieskie szkło, drzewa z gdzieniegdzie żółtymi liśćmi.

Miranda odwróciła się do niej.

– April jest w strasznym dole. Nie wiem dlaczego.

– Wszystkie jesteście tu smutne, Mimi. – Lu pochyliła się do niej, jakby powierzała jej sekret. – To nie jest najlepsze miejsce do życia. – Objęła się i pocierała nagie ramiona dłońmi. – Robi się chłodno. Niedługo będzie zima. Może to przez pogodę jest smutna.

– Faktycznie, dorastała w Słonecznym Stanie.

– Nie tak jak ja. Ja pochodzę z krainy śniegu. – Lu zmarszczyła brwi i ogarnęła spojrzeniem podwórko. Grupki zgromadzone przy tych samych co zawsze stołach piknikowych, inne na asfalcie.

– Wisza był w akcji w zeszłym tygodniu, Mimi. Obcięli facetowi język i jeszcze jaja.

– Jezu – jęknęła Miranda.

– Potem go zabili, oczywiście. Uważają, że sypał. – Pokręciła głową i cmoknęła zniesmaczona. – Sypanie to grzech. Pójdzie do piekła.

Doszły do ścieżki biegnącej wzdłuż ogrodzenia. Miranda chwyciła siatkę jedną dłonią. Miała zawroty głowy i źle się czuła – jak zwykle, gdy Lu opowiadała o wyczynach męża. Nie chciała tego wiedzieć. A Lu całkowicie jej ufała. Chyba uważała, że Miranda też była dziewczyną jakiegoś mafiosa, chociaż Miranda starała się jej wytłumaczyć, że to nie było tak.

– Wykąpię się w żelu do kąpieli Chanel numer 19 przed wizytą małżeńską. Dla Wiszy. Wezmę gorącą kąpiel.

– Jak masz zamiar to zrobić? – spytała Miranda. W budynku była tylko jedna wanna, w łazience obok pokoju lekarskiego na czwartym piętrze.

– Z moim panem Liverwell. Zabierze mnie na górę podczas apelu. – Uśmiechnęła się i puściła oko do Mirandy. – Może

pozwolę mu trochę podglądać.

Miranda ze zdumieniem potrząsnęła głową. Nikt nie mógł dorównać Lu w kombinowaniu.

– Idę teraz porzucać do kosza z dziewczynami z oddziału B – powiedziała Lu. – Pa, pa, cukiereczku.

Musnęła ustami obydwie policzki Mimi i przeszła przez trawnik, kołysząc swoimi długimi, eleganckimi rękami.

ODKRYŁA, ŻE MOŻE DOSTAĆ MASŁO, CEBULĘ I CZOSNEK od jednej z uczennic, która pracowała w spiżarni i mogła ukraść dla niej produkty w zamian za to, że Miranda napisze za nią apelację do rady do spraw zwolnień warunkowych. Normalnie Miranda zrobiłaby to chętnie bez żadnej barterowej zapłaty, ale Cristal wołała nie mieć długu wdzięczności – odsiadywała wyrok za długi.

Mami, królowa kuchni oddziałowej, obiecała jej parę kostek rosółowych.

– Ryż arborio i... co tu jest napisane? – Szafran? – Barb Greene patrzyła zdumiona na kawałek papieru, który podała jej Miranda podczas kolejnych odwiedzin. Barb nigdy nie była wielką kucharką. – Dostanę to w Safewayu?

– To będzie dla ciebie przygoda.

Za nimi rodzina nigeryjska, więźniarka i jej cztery siostry, niskimi głosami śpiewały hymny. Wydawało się, że ich śpiew miał kojący wpływ na wszystkich w pokoju odwiedzin, nawet na strażników i dzieci.

Barb wcisnęła karteczkę do kieszeni blezera.

– Risotto w więzieniu. Nigdy bym nie pomyślała.

Coś w jej twarzy. Coś w twarzy jej matki.

– Nie wierzę. Zrobiłaś sobie lifting oczu.

Matka wyduła usta.

– Zmieniłam kolor włosów.

– Kto stwierdził, że potrzebujesz operacji plastycznej? Alan Bloomfield?

– To nie operacja – zaprotestowała. – Małe nacięcie. Dwa nacięcia. W znieczuleniu miejscowym, w gabinecie lekarskim. To mój pomysł. Alan tylko mnie wspierał.

– Nie sądzę, żebyś tego potrzebowała. Ale jeśli dzięki temu czujesz się lepiej...

Oczywiście, że na to zasługiwała. Po gehennie, którą przeszła przez Mirandę.

– Wyglądam na trzydzieści pięć lat? – Matka uśmiechnęła się.

– Mamo, ja mam prawie trzydzieści pięć lat.

– Dobry Boże! – westchnęła Barb. Wzięła dłoń Mirandy w swoją i przypatrywała się jej.

– Błogosławiony Jezus jest moim pasterzem, och, jak cudny jest przedsmak boskiej chwały – śpiewały kobiety.

– Myślałam trochę parę dni temu. W styczniu minie dwadzieścia lat od wypadku. Nie mogę tego pojąć. A ty?

– Też nie. – Przykryła dłoń matki swoją wolną ręką. – Czas tu płynie powoli. Ale wydaje się, jakby Amy... Jakby była żywa jeszcze dziesięć minut temu. Pamiętam, jak siedziałam w jej pokoju i patrzyłam, jak szykuje się na tańce. Zjazd byłych uczniów czy coś takiego. Miała na sobie tę niebieską sukienkę z długimi rękawami.

Lekki uśmiech.

– Włożyłaś ją na bal maturalny. Na jej cześć.



– Naprawdę? – Miranda nie pamiętała.

A jednak niektóre wspomnienia były tak wyraźne jak w technikolorze, pamiętała je wszystkimi zmysłami. Szelest papieru, gdy siostra z matką odwijają purpurowe kwiaty z krepiny, żeby powiesić je przed przyjęciem urodzinowym. Swąd przypalonego sosu z gotowych dań w piekarniku – kotlet mielony i fasolka szparagowa. Oczywiście melodie i piosenki z filmów. Łaskotanie w koniuszkach palców przy pocieraniu tłoczonej tapety. Kubek na ołówki – pomalowany makaron przyklejony do puszki po soku pomarańczowym – stojący na biurku ojca w Rayburn Office Building. Imiona ratowników, z którymi flirtowała Amy na plaży w swoim kostiumie we wzorek ze spadającymi gwiazdami. Ale lata po śmierci Amy, te kilka lat później, nie zostawiły dużo wspomnień. Miranda przeniosła się do państwowej szkoły, zamiast nadal chodzić do Potomac Day, gdzie już na zawsze zostałyby młodszą siostrą zmarłej dziewczyny. Nie chciała wyróżniać się w ten sposób. Mimo obaw rodziców, którzy mówili, że mała szkoła daje więcej wsparcia, a w dużej po prostu się zgubi, zaczęła naukę w ogromnym liceum Lincolna. Ledwie pamięta ten dzień, po kilku tygodniach, kiedy wyglądało na to, że może nie zakwalifikować się do drużyny biegowej. Matka zadzwoniła do trenera. Wywołał ją podczas lekcji WF-u i powiedział, że może wejść do drużyny junierek, jeśli jeszcze chce. Barb przysięgała, że nie powiedziała mu o śmierci Amy, ale Miranda wiedziała, że kłamie. Widziała w jego wzroku współczucie za każdym razem, gdy na nią patrzył.

A potem? Po wyznaniu Franka Lundquista i jego absurdalnej propozycji spędziła niezliczone godziny i dni, usiłując

zrekonstruować te lata w liceum, te stracone lata po śmierci Amy. Cały okres pechowej drugiej kampanii ojca, jego tak zwany powrót. To wszystko zdarzyło się, gdy była w pierwszej klasie w Lincolnie, ale nie mogła sobie nic przypomnieć. Oprócz tego, że odmówiła udziału w kampanii. Jej matka też.

Poza tym te miesiące i dni były brakującymi kartkami. Zmiecione w ślad za odlatującą siostrą.

Pamiętała zakończenie roku i rozdanie świadectw. Chwiała się na scenie na zbyt wysokich obcasach, wyciągając rękę po swoje świadectwo, gdy jej wzrok padł na postać w ciemnym garniturze, stojącą z tyłu zatłoczonego audytorium. Nieproszony gość. Jej ojciec. On też zauważył, że go zobaczyła, i pomachał do niej. Nerwowy drobny gest, niepewny uśmiech. I palące łyzy, które napełniły jej oczy w tamtej chwili. Dreszcz przebiegający po plecach, brzuchu, do serca. Wydawało jej się, że zaraz się przewróci, ale utrzymała równowagę. Zanim wyszła z sali razem z resztą maturzystów, a raczej wykuśtykała na tych okropnych obcasach – zniknęła.

Ten obraz zachowała w pamięci. Za każdym razem, gdy słyszała choć kilka dźwięków granego wtedy marsza, znowu przechodził ją dreszcz.

KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ ZASTĄPIŁ JEJ DROGĘ W KORYTARZU PRZED SALĄ EDUKACYJNĄ, gdy spieszyła do swojej pracy nauczycielki. Miał nadzieję, że na nią wpadnie, to było widać. Śnieżnobiała koszula z kołnierzykiem na guziki wysunęła mu się ze spodni z jednej strony.

– Mirando – powiedział.

– Myślę, że nie powinniśmy już więcej rozmawiać.

– Poczekaj.

– Proszę, zostaw mnie w spokoju – nalegała. – Rosnę tu, gdzie mnie posadzono. – Odwróciła się i poszła dalej opustoszałym korytarzem.

Usłyszała, że jeszcze ją woła, ale nie odwróciła się.

# 11

## W PRZYPADKU PRZERWANIA TERAPII PACJENTOWI NALEŻY POŚWIĘCIĆ DUŻO UWAGI

(Zasada 10.9)

Jako nastolatek pochłaniałem historie o mężczyznach prowadzonych w życiu przez wielką pasję, poszukiwanie, które dyktowało bohaterowi każdy ruch. Patton, Jack London, Joe Montana. Mężczyźni czynu, z silną motywacją. Mężczyźni, którzy razem ze mną byłiby na szczycie krzywej Lundquista. Wieczorem w łóżku, patrząc zza zasłon w nocne niebo z gwiazdami wyblakłymi przy okolicznych latarniach, modliłem się, by odkryć swoją sekretną misję. Zamiast tego kolejny dzień zaczynał się listą przebojów w radiu, a dni mijały mi na bezcelowym odbijaniu się od jednej rzeczy do kolejnej, od testów z chemii do filmów klasy B i ludzi, którzy wcale nie rozpalali mojej wyobraźni. Na tym miało polegać życie?

Pewnego dnia w siódmej klasie matka wyciągnęła mnie, żeby kupić eleganckie buty na pogrzeb dziadka. Był optometrystą.

– Dobierał ludziom okulary – powiedziałem, gdy czekaliśmy, aż sprzedawca przyniesie brązowe buty. – To było jego celem w życiu.

– Można tak powiedzieć. – Poprawiła kocyk małemu Clyde’owi śpiącemu obok niej w foteliku samochodowym. – Ożenił się też z twoją babcią i wychował ciocię Laurie i ciocię Betsy, i mnie.

Westchnąłem i oparłem brodę na rękę, obserwując ruch na ulicy przez duże okno wystawowe. Brązowy, niebieski, czerwony, brązowy, niebieski, srebrny, niebieski. Kolory powtarzały się, zaszyfrowany kod przesyłany tylko do mnie, tutaj w sklepie obuwniczym na Rockville Pike. Ale nic z tego nie rozumiałem.

– Czy czymś się martwisz, Frank? Chodzi o dziewczynę?

Spojrzałem na nią i powiedziałem:

– Po prostu przyznaj. Nic nie ma znaczenia. To jest ten wielki sekret, który wszyscy ukrywają przed dziećmi, żeby nadal odrabiały pracę domową.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do mnie.

– Kochany jesteś – powiedziała. – Wiesz, jak bardzo mama cię kocha?

– Daj spokój, mówię poważnie.

– Posłuchaj, może wstrzymaj się teraz z oceną. Do czasu, kiedy wszystko się skończy, będziesz znał odpowiedź. Albo zapomnisz, że w ogóle o to pytałeś.

Wywróciłem oczami. Sprzedawca klęczał u moich stóp z łyżką do butów. Kiedy wciskał moje stopy w sztywne błyszczące trzewiki, matka wyciągnęła rękę i odgarnęła mi włosy z czoła.

– Jesteś osobą z niesamowitym charakterem – powiedziała. – Teraz może tego nie widać, ale zaskoczysz wielu ludzi. Jak dziadek Dan.

Nigdy nie zrozumiałem, co miała na myśli. Kogo kiedykolwiek

zaskoczył dziadek Dan? Całe życie przeżył w Baltimore, sprzedając okulary. Z tego, co wiem, jego jedyną pasją była gra w remika i łapanie krabów za pomocą kurzej szyjki przywiązanej do sznurka. Ale przypuszczam, że wiedziała o nim coś, czego ja nigdy się nie dowiem.

A ja jako osoba o niezłomnym charakterze? Być może, zależy, jaki rodzaj charakteru mamy na myśli.

DZIEŃ PO TYM, JAK ZAPROPONOWAŁEM UCIECZKĘ M., Winnie zadzwoniła do mnie do pracy z samolotu nad Zatoką Meksykańską. Powiedziała, że musimy porozmawiać, i poprosiła, żebym spotkał się z nią w jej ulubionym barze przy Columbus Circle. Zawsze uważałem, że drinki są tam za małe i za drogie, ale zgodziłem się. Przynajmniej rozmawialiśmy jak ludzie. Przykro mi było, że w taki sposób się rozstaliśmy.

Zjeżdżając Saw Mill Parkway, zwykłą wieczorną trasą do domu, zanurzyłem się w dźwiękach z lat siedemdziesiątych. „Little Willie, Willie won't go home, but you can't push Willie 'round, Willie won't go”. Chciałem zająć umysł czymkolwiek. Czymkolwiek, co odciągnie mnie od myśli o tym, że na dnie mojej egzystencji otworzył się odpływ i że jakieś ssące, wirujące, nieubłagane siły wsysały tam moje serce. Wpadłem w coś z M. Zrzuciłem wędkę w ciemną wodę i nie mogłem w żaden sposób nawinąć z powrotem żyłki na kołowrotek. I nie wiedziałem, gdzie to wszystko się zakończy, na jakim porytym pazurami i zasłanym kośćmi dnie, kiedy żyłka się napnie i przestanie się rozwijać.

Ta ucieczka. I M. Być może to ona była w końcu tym życiowym celem, którego szukałem, tym kierunkiem w życiu.

Ale jednak bardziej prawdopodobne jest, że M. jest tylko kolejnym przypadkowym awatarem. Kolejnym zrzędzeniem losu. Drugoplanową aktorką z odległej przeszłości, którą ślepy los znowu postawił na mojej drodze. Wróciła, żeby zakreślić moim kołem fortuny i pchnąć mnie w nieznaną, pozbawioną logiki i prawdopodobnie nieprzyjemną przyszłość.

Nie mogłem się zdecydować.

Nie śmiałem zadać sobie tego pytania: czy ją kocham? Czy byłem w niej zakochany? Czy ja w ogóle rozumiem pojęcie miłości po tych wszystkich terapiach, które prowadziłem, po odbytych przeze mnie szkoleniach i zdobytych dyplomach, i po staraniach, jakie wkładałem w to, by wyleczyć połamane serca pacjentów?

W końcu późno zacząłem. Dopiero kiedy miałem piętnaście lat, ledwie zacząłem w ogóle rozmawiać z dziewczynami. Przedtem dużo bardziej interesowały mnie komiksy. A potem było nieodwzajemnione zadurzenie w M. Ten model utrzymywał się przez cały college – roztrzaskiwałem się na kawałki na murze nieśmiałości, odrzucony przez różne nieosiągalne koleżanki ze studiów. Gdy miałem dwadzieścia trzy lata i mieszkałem w Nowym Jorku, zmagając się z pracą magisterską na Uniwersytecie Nowojorskim, zrezygnowałem z piękna. W zamian umawiałem się z kolejnymi rozsądnymi dziewczynami: profesjonalnymi, dbającymi o zdrowie, o prostych i łatwych w utrzymaniu fryzurach, stosującymi niezawodne metody antykoncepcyjne.

Tak więc była Vie, zaciekle i zdeterminowana dziennikarka naukowa z „New York Timesa”. Zadzwoiła do mnie po tym, jak poznaliśmy się na konferencji, zaprosiła mnie na sushi, zamówiła

dania, mówiąc po japońsku, wypytała mnie o pracę mojego ojca, całkiem nieźle zrobiła mi laskę i po tygodniu wprowadziła mnie do swojego mieszkania. W nocy, w łóżku, kiedy masowałem jej napięte pośladki, snuła opowieści o strategiach biurowo-politycznych, bezwzględne barokowe scenariusze równające się spiskom w kwaterze głównej Wehrmachtu. Mniej więcej raz w tygodniu jej szef z gazety kpił z niej w taki sposób, że potem całą noc płakała. Nosiła duże okulary w perłowych oprawkach, osadzone wysoko na wąskim nosku, co nadawało jej oczom intensywny, insektoidalny magnetyzm. Miała dźwięczny, słodki śmiech, który jednak słyszałem zbyt rzadko. Ciągle próbowała skłonić mnie do ograniczenia spożywania tłuszczów nasyconych. Ale co mam powiedzieć – nie miałem zamiaru odstawić chipsów. Kiedy byliśmy razem już prawie dwa lata, a ja nadal niechętnie podejmowałem temat ślubu, wyrzuciła mnie.

Potem była Shelby, krępa i wesoła analityczka w Goldman Sachs. Poznaliśmy się na degustacji wina w grudniu 1991 roku. Miała szeroki krąg przyjaciół, uwielbiała przygody i miała naprawdę dobre serce. Nie nudziłem się przy niej. Jeździliśmy na rowerach po Francji, wyprowadzaliśmy na spacerzy psy ze schroniska, jeździliśmy na wycieczki kulinarne po Flushing. Zagrzewałem ją do boju podczas ciężkiej walki na turniejach w systemie każdy z każdym w jej klubie tenisowym na Park Avenue. Różnica między nami w progach podatkowych nigdy nie stanowiła dla niej problemu, nigdy nie nalegała, że za mnie zapłaci, pozwalała mi zachować twarz. Shelby kupiła chatę w Quogue za pieniądze z niebotycznie wysokiej premii. Morska bryza, kamyki



i skrzypiące podłogi. Spędzaliśmy tam lato przez trzy dość szczęśliwe lata. Dość szczęśliwe, podkreślam. Dni na plaży oznaczały przegrywanie w siatkówkę i w badmintona z Shelby, która wzbijała tumany piasku swoimi krótkimi nóżkami i zaciskała oczy, walcząc zaciekle. Nie nazwałbym tego przyjemnością.

Kochałem ją jak siostrę, ale nigdy nie czułem do niej nic więcej i w końcu musiałem jej to powiedzieć. Zraniło ją to, ale nie załamało, jak sądzę. Na jakiś czas nasze drogi się rozeszły, a potem znowu się kumpłowaliśmy. Ostatnim razem, kiedy się z nią widziałem, rynek zwyżkował, a ona została samotną matką bliźniaków.

Przeszedłem się spacerkiem i pojawiłem się na Columbus dość wcześnie. Usadoviłem się przy barze i czekałem na Winnie. Była moją ostatnią rozsądną kobietą. Zdolna. Szczera, bo blask w jej oczach dawno już zgasł po dziesięciu latach randkowania w Nowym Jorku. I niezaprzeczalnie atrakcyjna na swój sposób – smukła, z burzą włosów skręconych w drobne loczki. Miała kilka lat więcej ode mnie, ale chyba obydwójce byliśmy już przejrzali – mieliśmy do wyboru albo spaść z drzewa i zepsuć się na ziemi, nie zwracając niczyjej uwagi, albo zostać wybrani i zerwani z gałęzi. Wybraliśmy siebie nawzajem – pewnie po to, żeby się nie zmarnować.

Winnie niespiesznie weszła, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Ubrana była w garnitur w kolorze spieczonego chleba. Objęliśmy się krótko. Niezręczna chwila. Wyglądała na zmęczoną i rozkojarzoną.

– Wspaniale wyglądasz – powiedziałem.

– Ty wyglądasz jakoś żółtawo – odparła. – Byłeś chory? Albo może wszędzie widzę chorobę. – Usiadła obok mnie. – Właśnie wracam po trzech tygodniach z chorymi dziećmi.

Opowiedziała mi o podróży do miasteczka w Gujanie, gdzie zatrucie ptomainą wytrzebiło całą szkołę dzieci. Zamówiłem dirty martini, a dla niej to co zwykle, czyli wodę sodową z kroplą soku ananasowego. Wyjęła słomkę ze szklanki i zaczęła ją obgryzać.

– No i co tam? – spytałem. Było widać, że ma dla mnie jakąś bombę.

– W przyszłym tygodniu wychodzę za mąż. – Zamrugła oczami.

– Szybko. – Łyknąłem martini, z wdzięcznością witając na podniebieniu szokujący smak, ostry i słony.

– Gary chce dziecka – powiedziała.

– Tak. Hmm. – Wydawało mi się, że mój stołek buja się i podskakuje jak boja na falach. – Małżeństwo wydaje się logicznym pierwszym krokiem.

Słomka wyglądała jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Rzuciła ją na bar.

– Powinieneś być przyjść na to przyjęcie urodzinowe, Frank. – Jej głos obniżył się o ton.

Urodzinowe przyjęcie niespodzianka. Mój pomysł, ale oczywiście odkryła go, nic nie da się ukryć przed Winnie. Przejęła dowodzenie. Zamówiła tort, zmieniła menu, wybrała odpowiednią markę tequili do flagowego koktajlu. Bo, powiedziała, „ty nie masz smykałki do organizowania spotkań towarzyskich, Frank, nie nadajesz się do tego. Masz mi tam tylko towarzyszyć”. Wtedy

zdarzyło się to z Fehlerem. To znaczy tamtego dnia, w dzień urodzin Winnie. Zapomniałem o przyjęciu. Musiała pójść tam sama.

– Schrzanieś to.

– Nie zrobiłem tego specjalnie.

– Małżeństwo z tobą przez większość czasu było małżeństwem z rozsądku. Jak coś załatwionego dla wygody. Pamiętasz mój toast ślubny?

– Możemy już do tego nie wracać?

Mikrofon w jej dłoni, napuszone spódnice sukni wydymają się dookoła niej, w tle muzycy z błyszczącymi muszkami. Moi rodzice stoją z jednej strony i udają, że są szczęśliwi, chociaż nie akceptowali Winnie, bo powiedziała, że przez słabe umiejętności prowadzenia domu mojej matki zawsze dostawała w ich domu alergii. Poza tym rodzice uważali, że ona podważa mój autorytet. Jej rodzice też udawali, że się cieszą, choć jasno pokazali, że uważają mnie za kiepską partię. Nie pamiętałem jej toastu.

– Powiedziała, że nasz związek opiera się na rozsądku. I że dlatego nasze małżeństwo prawdopodobnie będzie długotrwałe. Jednak się myliłam.

– Tak.

– Miłość nie wymaga rozsądku.

– Nie. – Pomyślałem o M.

Wychodząc, Winnie zwróciła się do mnie:

– Powinnam cię zaprosić?

– Neeee. – Pomogłem jej włożyć płaszcz. – Raczej nie.

Winnie i ja prowadziliśmy oddzielne życie blisko siebie, i to

w zasadzie wszystko, co można powiedzieć o naszym dwuletnim małżeństwie. Ja oglądałem telewizję w salonie, ona czytała w łóżku. Ona zasypiała o dziesiątej, ja odpływałem około drugiej. Nie budziła się, kiedy wślizgiwałem się na swój skrawek naszego małżeńskiego łóżka. Wychodziła z domu przed świtem i jechała na lotnisko, a ja budziłem się jak stary kawaler, człapiąc sam po mieszkaniu w bokserkach.

I ZNOWU NIM BYŁEM, W NASZYM MIESZKANIU SPOWITYM OPARAMI PRZYGNĘBIENIA. Spotkanie z Winnie przypomniało mi pewne prawdy. Ciągnęło mnie do M. w tajemniczy i może nawet nienaturalny sposób. Coś z niej owinęło się wokół mojej psyche od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem na korytarzu obok sali do nauki pisania na maszynie, i nigdy mnie nie puściło. Ale czy to wystarczy, bym zaryzykował własne życie? Nie miałem wiele do stracenia, w sensie materialnym, i nie czekała mnie jasna przyszłość. Ale jednak. To mieszkanie, mój brat, mój ojciec, nawet kot. To jeszcze miałem w życiu.

I miałem wybór. Możliwość czynienia dobra i podejmowania właściwych wyborów. Ludzie tego się trzymają, co nie? Aż do ostatniego tchnienia. Do tego momentu zawsze mamy wybór.

Kanapa mnie kusiła. Trufel przyszedł i wyciągnął się wzdłuż oparcia, za moją głową, w charakterze poduszki, trochę śmierdzącej, ale ciepłej. Znalazłem kanał ze starym westernem, *Samotnym jeźdźcem*, i oglądałem go do późna. Mogłem się uczyć stoickiej rezygnacji od Randolpha Scotta. Życie w samotności jest brutalne, ale rządzi się jasnymi zasadami.

M. była kobietą, na którą czekałem całe życie. Nie praktyczną,

nie rozsądną. Tą jedyną. Zwykłą i prostą.

To jednak było szaleństwo. Ucieczka z więzienia to przestępstwo federalne. Mógłbym skończyć w miejscu dużo gorszym niż to, w którym teraz pracuję. Pomarańczowy kombinezon w Attice, Auburn albo nawet Leavenworth.

Przysiągłem sobie, że już się z nią nie zobaczę. Nie zrobię tego.

Rośnij tam, gdzie cię posadzono, chociaż raz w życiu.

# 12

## LISTOPAD 1999

Listopad wytrącał ją z równowagi. Niknący rok. Dni wyborów z jej dzieciństwa, zawsze tak pełne napięcia. Krzyki gęsi odlatujących w kluczu ułożonym w literę V, co wydawało jej się ważnym symbolem, ostrzeżeniem: „Uciekaj, póki możesz. Uciekaj”.

Na kolanach ciężka księga: *Drogi do alfabetyzacji dorosłych*. Miała ambicje, chciała być lepszą nauczycielką. Na książce kartka, starannie wyrwana z notatnika, żółta w czerwone linie. Na górze strony: „Szanowna Pani Hance”.

Potem nic.

Z końca korytarza dobiegał czyjś śpiew:

*My name is Michael*

*I got a nickel.*

Żółta strona pozostawała żółta i niezapisana, pozbawiona tego, czego nie potrafiła napisać:

*Pani Hance, umarłam i wróciłam. Życie nie chce mnie opuścić i muszę żyć. Rozumiem to teraz, Pani Hance.*

*Ale jeśli, Lenore Patterson Hance, po tym, jak wyrzodziłam niewybaczalne krzywdy, moje życie ma mieć jakąkolwiek wartość,*

*muszę odkupić grzechy. Muszę odkupić. Jeśli to możliwe. Jeśli to w ogóle jest możliwe. Jeśli tylko istnieje szansa.*

*Czy to jest możliwe, Lenore? Czy mogę Panią tak nazywać? Chyba nie, podejrzewam, że to sprawiałoby Pani potworną przykrość.*

*Myślę o nim cały czas, Pani Lenore. Ile pstrągów złapał tamtego sobotniego poranka w strumieniu. Około szóstej, dopiero świtało, pojechał do Otego Creek, w górę, zaraz obok stanowego lasu, miał tam swoje ulubione miejsce, pod wodospadami. Zawsze przynosił ze sobą colę i torebkę orzeszków. To było jego sobotnie śniadanie.*

*Pamiętam, że tak Pani mówiła, Pani Hance. Pani Hance brzmi lepiej, prawda?*

*„Następnego dnia”, powiedziała też Pani, „następnego dnia po wydarzeniu wszyscy wspięliśmy się tam na górę, byliśmy w szoku, ja, mój syn Wade. I mój tata, mimo chorego kolana, też tam doszedł. Na brzegu rzeki wszędzie leżały łupinki od orzeszków. Pozbieraliśmy je, zabraliśmy do domu”.*

*To był słoik po maśle orzechowym marki Jif, Pani Hance. Łupinki były brudne, a plastikowy słoik poplamiony. Pani adwokat walnął nim w stół, niecałe pół metra ode mnie. Jif, z niebieską zakrętką.*

*Według Pani, Pani Lenore Hance, nie mam Pani nic do zaoferowania. Mogę tylko przeproszać i zamierzam to robić w każdej chwili mojej egzystencji. Tutaj w środku, między blokami, oddziałami i pracownikami Więzienia Stanowego Milford Basin, będę ciężko pracować za pani brata i robić wszelkie możliwe dobre uczynki.*

*Czy pomoże Pani wiedza, że udręka wypełnia większość moich świadomych chwil? Czy zaznałaby Pani więcej spokoju, wiedząc o moim codziennym dramacie?*

*Wyrok – moje życie, to, w jaki sposób teraz żyję, okazuje się skuteczny. Tutaj moje straty się kumulują, mój ból staje coraz bardziej nieznośny i nie mam zamiaru od tego uciekać. Być może, Pani Hance, te informacje dostarczą Pani trochę spokoju.*

DZIEŃ WCZEŚNIEJ ZAWOŁAŁY MIRANDĘ DO POKOJU APRIL.

– Ona wariuje, sra ze strachu – krzyczała Cherie.

April stała na łóżku i ścisnęła pięściami kraty w oknie. Wydawało się, że rozmawia ze sobą całkiem rozsądnym tonem.

– Hej. – Miranda podeszła i pociągnęła ją za nogawkę spodni. – Zejdź.

April odwróciła się do niej i uderzyła ją. Miranda zatoczyła się do tyłu.

– Nie dotyka się pieprzonego sierżanta z bronią – powiedziała April.

Jej oczy nie były prawidłowo umieszczone w oczodołach. Zbyt dużo białości.

Miranda usiłowała sobie przypomnieć – czy mówiła kiedyś o atakach, padaczce czy Bóg wie czym jeszcze?

– Jak słyszysz sygnał, to stajesz i salutujesz, nawet jak jesteś na siłowni albo na parkingu. Ta panienka nie stanęła i opieprzyłam ją, rozumiesz. Po prostu dalej sobie szła, a ja zawołałam: „Szacunek dla flagi, suko!”.

– April. – Mirandzie udało się odwrócić ją od okna.



Opadła na łóżko. Oczy dalej latały jej luźno, jasne i puste.

– Jechałaś tu kiedyś metrem? Zajebicie czysto.

April schowała twarz w poduszkę. Miranda podeszła do niej ostrożnie, uklękła obok łóżka.

Wtedy zza zasłony rozległ się głos.

– Nicholson, kogo tam teraz zaciągnęłaś? Mam cię ukarać?

Beryl Carmona odsunęła zasłonę. Rzępy odpięły się z nerwowym odgłosem rozdarcia.

– Żadnych gości w celi za zasłoniętą zasłoną. Której części tej zasady nie rozumiesz? Greene, powinnaś to już wiedzieć.

– April ma ciężki dzień – powiedziała Miranda przepaszająco.

– Myślicie, że nie mogę wypisać dwóch nagan dziś rano? –

Uśmiechnęła się Carmona. – Ale mam dobry humor. Właśnie wstawiłam moje batony orzechowe do sklepu z pamiątkami na północy stanu. Jestem przedsiębiorcą. Ta-dam! – Zatrąbiła. – Niedługo zostawię tę robotę, co nie, Majowa Panienko?

– Jasne! – Miranda uśmiechała się do Carmony tak szeroko, że omal nie pękła jej twarz.

– Odsłońcie zasłonę, dziewczyny. Nie obchodzi mnie, czy macie najgorszy dzień w całym życiu.

– Dziękujemy, pani oficer. – Uśmiechała się z całej siły, starając się zmusić strażniczkę do wyjścia. W końcu Carmona ruszyła się. Miranda szybko przeszła tam, gdzie stała strażniczka o wielkich, grubych stopach obutych w adidas, wylewających się ponad podeszwę, niemal dotykając nimi maleńkiego przedmiotu, który leżał na ziemi, doskonale widoczny. Carmona prawie go kopnęła. Dzięki Bogu nie wyczuła go stopą. Dzięki Bogu nie zobaczyła tego,

bo widok zasłaniał jej brzuch.

Miranda podniosła aluminiową fajkę do cracku i wcisnęła ją pod bluzkę.

– TO CHOLERNIE DOBRE CYGARA. – EDWARD GREENE PATRZYŁ ZA NIĄ, ponad jej ramieniem, w stronę biurka strażnika przy drzwiach do pokoju odwiedzin. – Montecristo. Myślisz, że mi je oddadzą?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Miranda.

Wzruszył ramionami i poluzował krawat w paski.

– Zapomniałem w ogóle, że mam je w kieszeni, szczerze mówiąc. – Uśmiechnął się do niej. – Credo starego lobbyisty: zawsze miej przy sobie parę dobrych cygar.

Miranda usiłowała odwzajemnić uśmiech, ale okazało się to bardzo trudne.

– Więc nauczyłem się czegoś podczas mojej ostatniej podróży w zeszłym tygodniu. – Spróbował inaczej zagaic rozmowę. – Bahrajn to straszne zadupie. – Potarł dłonią łysą głowę, patrząc na nią. – Przykro mi, że minęło tyle czasu, kochanie – powiedział. – Oczywiście masz prawo być zła. Jest mi dużo trudniej tu przyjechać, niż myślałem. Napięty harmonogram. Listopad. Wybory. Nowe twarze.

Miranda starała się z całej siły nie płakać.

– Więc biznes idzie dobrze?

– Hmm, z tymi z Bahrajnu to dobry interes. – Zmarszczył brwi. – Wyglądasz na potwornie zmęczoną, Mirando. Dajesz sobie radę? Potrzebujesz czegoś?

– Nie – odparła.

– W sprawie apelacji.

– Nie chcę o tym zbyt dużo myśleć.

Pochylił się w jej stronę i zniżył głos.

– Kochanie, rozważamy też inne możliwości. To nie koniec.

– Muszę skoncentrować się na tym, co jest tu i teraz.

– Ten sędzia to był zwykły pech. Bloomfield może być kutasem, ale wiem, że pracuje na sto pięćdziesiąt procent w twojej sprawie. Nie poddamy się. – Przytaknął z determinacją. – Będziemy walczyć do końca.

Pokiwała głową:

– Ale proszę. Bez żadnych mętnych interesów.

Strażniczka o dziwnie wykrzywionych wargach podeszła do nich.

– Ktoś z was potrzebuje iść do łazienki? Odprowadzam ludzi do toalety.

– Nie, dziękujemy, pani oficer. – Ojciec uśmiechnął się do niej szeroko. Poczekał, aż odejdzie.

Wtedy odkręcił się w stronę Mirandy i wziął jej dłoń w swoją, większą. Ile to lat minęło, odkąd ostatnio trzymał ją za rękę?

– Wszystko legalnie. Obiecuję. – Ścisnął lekko jej palce, jakby sprawdzając ich grubość. – Ale zawsze mamy różne możliwości, żeby obejść przeszkody. Musimy tylko zdecydować, jakie to możliwości. Mówi ci to ktoś, kto się na tym zna. Znajdź sposób, żeby obejść przeszkodę, a wtedy ona zniknie.

„Ojciec też wygląda na potwornie zmęczonego”, pomyślała Miranda, gdy czekała, aż ją przeszukają w punkcie kontroli. Półtorej dekady jako lobbysta, lata nieprzekonujących obietnic

i upokarzających ustępstw, zbyt wiele befsztyków i trzydziestoletnich whiskey, za dużo szesnastogodzinnych lotów. To wszystko było widoczne w jego twarzy. Po nieudanym powrocie do Kongresu podpisał kontrakt z jedną z dużych firm z K Street. Ale ścierały się różne style, nie mogli się dopasować, Edward Greene pierwszy to przyznał. Potem w firmie prowadzono śledztwo w sprawie handlu wpływami i partnerzy o dłuższym stażu – byli większościami deputowani, były minister handlu – chcieli z niego zrobić kozła ofiarnego. Przynajmniej w ten sposób o tym opowiadał. W każdym razie i tak z braku dowodów umorzono śledztwo. Teraz prowadził własną firmę, w biurowcu nad włoską restauracją na Connecticut Avenue. Miranda nigdy tam nie była. Alan Bloomfield powiedział, że śmierdzi tam sosem bolońskim.

„Śmieszne, że – powiedział adwokat, kiedy spędzał z Mirandą mnóstwo czasu w zamkniętych przedpokojach, czekając na rozwój sytuacji, i gawędził o byle czym, żeby odciągnąć jej myśli od nieuchronnej katastrofy – że to miejsce jest dokładnie naprzeciwko kaplicy pogrzebowej Woodley. A raczej nie śmieszne, ale na pewno dziwne. Kiedyś była z białych cegieł, prawda? Teraz odnowili ją i pokryli całą jakimś okropnym, błyszczącym metalem, wygląda jak wielka lodówka przemysłowa. Ohyda”.

Faktycznie, była z białej cegły, Miranda dokładnie ją pamiętała. Lśniące białe cegły, czarne okiennice. Miała udawać czarujący stary dom, a nie przypominać miejsce, gdzie zajmują się zmarłymi dziewczętami. Musiała być świeżo malowana, bo jej białość była oślepiająca tamtego niewiarygodnie ciepłego dnia w styczniu. Śnieg się topił, wzdłuż krawężnika płynęły rzeki. Miranda czekała obok

szklanych drzwi, otwierając je pojawiającym się ludziom. Była zadowolona, że w końcu, po trzech dniach siedzenia w pogrążonym w smutku domu, miała coś do roboty. Wchodziły koleżanki Amy z opuchniętymi oczami, ściskające w dłoniach opakowania chusteczek higienicznych, i dziwne, ciche grupki chłopców. Niektórzy nauczyciele przynosili nieocenione jeszcze wypracowania, projekty na plastykę. Ostatnie prace domowe Amy, które wciskali w dłonie matki lub ojca. Babcia Rosalie na wózku. Z przodu najmłodszy kuzyni bawili się automatycznymi oknami w czarnych samochodach czekających na przejazd na cmentarz.

Wtedy zobaczyła Neila Potockiego. Przeszedł przez drzwi, nie spojrzawszy na nią.

Potem najdziwniejszy dźwięk. Niskie zgrzytanie. I, nie wiadomo skąd, pojawiła się jej matka, szarżując przez dywany lobby w jego stronę.

– Wynoś się stąd – zawyła. – Wynocha. – Ręce trzymała przed sobą, jakby miała wypchnąć Potockiego, albo mu przywalić, ale w ostatniej chwili opadły bezwładnie do boków. – Nie jesteś tu mile widziany – powiedziała drżącym głosem. – Wyjdz.

W pełnym żałobników lobby zapadła cisza.

– Nie próbuj... – powiedziała. – Eddie! – Odwróciła się i nerwowo przeczesywała wzrokiem osłupiały tłum. – Gdzie jest Edward? – spytała jakichś stojących blisko krewnych.

– Nie, nie – powiedział Neil Potocki. – Proszę się nie fatygować. – Odwrócił się do Barb. – Chciałem tylko, żebyście wiedzieli z Edem, że myślę o was i o Amy tego straszego, trudnego dnia.

– Nie waż się wymawiać jej imienia – powiedziała matka

Mirandy i zaczęła łkać. Słaniała się na nogach i ktoś ją podtrzymał, wprowadził do świątyni, gdzie kwiliła organowa wersja piosenki *Greensleeves* zaproponowana przez Mirandę. Była to jedyna piosenka, jaką Amy nauczyła się grać na pianinie, stojącym w salonie i zbierającym kurz.

Potocki odwrócił się do wyjścia. Miranda otworzyła mu drzwi, ponieważ tym właśnie się zajmowała.

– Dzięki, cukiereczku – powiedział i pogłaskał ją po głowie, wychodząc.

W SOBOTNIE WIECZORY MIRANDA I APRIL PROWADZIŁY BINGO w budynku 4 D, na oddziale o zaostrzonym rygorze, z którego więźniarki nie wychodziły często. Była to część nowego życia Mirandy. Słyszała, że kiedyś grano tam w bingo, które cieszyło się dużą popularnością. Prowadziła je bogata morderczyni, którą zwolniono dziesięć lat temu. Miranda postanowiła odnowić tę tradycję i namówiła April, żeby jej pomagała.

Lokalny zakon kobiecy przekazał w darze pieniądze na papierosy, plastikowe grzebienie, pastę do zębów, perfumowane mydło, żelki Twizzlers i batoniki Butterfinger, które miały być nagrodami. Dziewczyny jednak grały głównie o papierosy. Miranda mogła się pozbyć mydła i grzebieni, dopiero gdy skończyły się papierosy i słodyczne.

Ale w ten sobotni wieczór nie będzie bingo. April wymieniła już wszystkie papierosy i słodyczne, mydła i nawet plastikowe grzebienie na kryształki cracku. Miranda znalazła ją na wychłodzonym, listopadowym podwórzu, drżącą i obejmującą się ramionami na ławce.

– Od kogo to bierzesz? – spytała.

– Wysypiesz. – Patrzyła na Mirandę z arogancją. Skóra na jej twarzy była sucha i przypominała w kolorze popiół. – I co zrobiłaś z moją fajką?

– Spuściłam ją w kiblu.

– Chciałabym móc zrobić to samo z tobą. – April wsysała wargę do środka. – Poza tym mam drugą.

– Mam nadzieję, że nie trzymasz towaru w swoim pokoju, April. Wiesz, że ciągle przeszukują cele.

– Potrafię o siebie zadbać – powiedziała z grymasem niezadowolenia.

– Chodzi o Nessę? Zrobiła coś, co cię wkurzyło?

Rozśmieszyło ją to. Jej zęby miały obwódki z krwi.

Wtedy przez podwórko podeszła Lu z rękami w kieszeniach wiatrówki. Ręcznie narysowana uśmiechnięta buźka zdobiła literę „o” w wydrukowanym na jej piersiach napisie NYS DOCS.

– Jest naćpana – powiedziała Miranda załamującym się głosem.

Lu potrząsnęła głową, machając z furią włosami. Położyła delikatnie dłoń na twarzy April, która wpatrywała się w nią gniewnie.

– Kochanie – powiedziała Lu. – To gówno cię zabije. Chcesz umrzeć?

– Jasne. – Jej przyćmione oczy natychmiast się napęłniły łzami.

– Chodź ze mną podnosić ciężary – powiedziała Lu, ciągnąc ją za ramię. – Kto mnie będzie pilnował lepiej od ciebie? Proszę?

– Zostawcie mnie w spokoju – odparła, pociągając nosem. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i schowała w nich głowę.

Mała istota ludzka ściśnięta w zawiniątko, które można wrzucić do worka na śmieci.

Lu wzięła Mirandę za ramię i odciągnęła poza zasięg słuchu April.

– Mimi, dowiem się, kto jej to daje. Znajdę mendę i choćbym miała poderżnąć jej gardło, ukarzę ją. Załatwię to. Nie martw się, proszę.

Tamtego wieczoru dwie dziewczyny z 4 D podpaliły łóżko, rozwścieczone brakiem bingo. Schizofreniczna paraplegiczka omal nie umarła z zaccadzenia na swoim wózku. Dziewczyny z oddziału zostały rozdzielone i wysłane do Marcy, Beacon i do jednostki modułowej na terenie Altony, siedem godzin na północ.

POTEM MIRANDA ZNALAZŁA BEZGŁOWE CIAŁO W ŁAZIENCIE.

Rząd pryszniców śmierdzący zawilgoconym betonem i nadmiarem chloru był najbardziej ponurą częścią budynków 2 A i B. Tego dnia, tak jak zwykle, weszła do pomieszczenia tuż przed kolacją, kiedy nikogo tam nie było. Pomimo brzydoty tego miejsca doceniała panującą tam ciszę, która stanowiła wytchnienie od hałasu na oddziale.

Metalowe składane krzesło zostało zaciągnięte do kąta, w którym gips na suficie łuszczył się i zwisał nad podłogą jak uszy słonia, wystawiając na widok siatkę rur, kawałki izolacji i ciemne przestrzenie między ścianami, znane kryjówki nielegalnych towarów. Na krześle, stojąc na palcach, chwiało się bezgłowe ciało, chudy skręcony tors w czarnej błyszczącej koszulce i nogi w workowatych spodniach więziennych. Długie stopy były gołe,



jedno naprężone ramię desperacko drapało sufit. Drugie ramię zdaje się zniknęło w tej samej dziurze, która pochłonęła głowę.

Miranda stanęła nieruchomo. Ale było już za późno. Ciało usłyszało, że weszła.

– Kto tam? – wysyczał głos z dziury.

– Greene – odpowiedziała niechętnie.

– Greene! Pomóż mi. Utknęłam w tej kurewskiej dziurze!

Dorcas Watkins. Miranda skrzywiła się i odłożyła swoje mydło i szampon. Podeszła do krzesła ostrożnie.

– Co mam zrobić?

– Pomóż mi się, kurwa, wydostać!

Wolne ramię znowu zaczęło szarpać gips na suficie.

Miranda wspięła się na krzesło, trzymając Watkins w talii, żeby nie stracić równowagi.

– Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek – wymamrotała uwięziona Watkins.

Miranda puściła jej pas i oparła się o górną krawędź kabiny. Zaczęła odłamywać kawałki gipsu, robiąc uniki przed spadającymi kawałkami, które roztrzaskiwały się na podłodze.

– Gorąco tu na górze – narzekała Watkins. – Skręciłam sobie szyję.

– Wytrzymaj jeszcze – powiedziała Miranda.

W miarę jak dziura się powiększała, Watkins mogła trochę się poruszyć.

– Dobra – wymamrotała. – Już się uwalniamy, uwalniamy się.

Miranda chwyciła się dużej płyty gipsu, która odpadła. Straciła oparcie.

Mignęła jej uwolniona głowa na górze, twarz błyszcząca od potu. Wylądowała na twardym betonie i gdy gapiała się w górę oniemiała, zauważyła, jak Dorcas wciska białą plastikową torbę w spodnie.

Czuła ostry ból w krzyżu i plecach.

Dorcas zeskoczyła z krzesła i spojrzała w dół na Mirandę. Jej błyszcząca twarz zwisała nad nią jak księżyc.

– Dziękuję, Greene. – Wyciągnęła dłoń i Miranda chwyciła ją. Dorcas pociągnęła ją i pomogła jej wstać.

– Jak komuś o tym powiesz, to cię wypatroszę.

Miranda patrzyła na nią bez słowa, po czym się odwróciła. Ostrożnie stawiała stopy między odpryskami gipsu.

– Może myślisz o tym, co jest w tej torbie, i o twojej słodkiej April – powiedziała Dorcas. – Może myślisz, żeby porozmawiać o tym z kimś, z kim nie powinnaś.

Miranda wybrała najbardziej oddaloną kabinę. Odkręciła kurek, który zaskrzypiał alarmująco. Nie rozebrała się, nie weszła pod wodę. Stała obok, nasłuchując. Nagle zza ściany kabiny wynurzyło się ramię i Dorcas złapała ją za włosy. Miranda wyciągnęła ręce, ale zanim zdążyła uderzyć, jej twarz zanurzyła się w gorącej wodzie i uderzyła w pordzewiałą ścianę. Natychmiastowy, rosnący, wymazujący myśli ból rozsadził jej nos i czoło. Upadła na podłogę, przyciskając dłonie do twarzy.

– Musisz być ostrożniejsza. Jak się poślizgniesz pod prysznicem, zrobisz sobie krzywdę. Albo jak będziesz sypać. To niebezpieczne, Greene.

Miranda leżała, powoli zwijając się jak jakiś skorupiak na

wilgotnym piasku. Krew przelatywała jej przez dłonie. Usłyszała plaskanie stóp Dorcas na cemencie, gdy wychodziła z łazienki. Słaby strumień prysznicza poklepywał ją po plecach, nieudolnie starając się ją pocieszyć.

*Szukam teraz odkupienia, Pani Hance. Mam nadzieję odnaleźć sens w życiu.*

Na żółtym papierze w czerwone linie w końcu napisała tę jedną linijkę, krzywą i chwiejną. *Proszę o tym pomyśleć.*

Ale z pewnością pani Lenore Patterson Hance nic nie obchodził ten kawałek papieru, nie obchodziło jej to konkretne poszukiwanie sensu przez kogoś. W końcu zobaczyć, jak umiera bliska ci osoba, zrodzona z tych samych rodziców, przez czyjeś niefrasobliwe podejście do losu, do moralności, do samego życia... Miranda coś o tym wiedziała. Tak.

*Pani Hance, już nie będę pani niepokoić. Proszę być spokojną. Jeśli w ogóle może pani zachować spokój. Proszę się nie martwić, ten nic nieznaczący skrawek papieru nie zostanie wysłany przez amerykańską pocztę, zamiast tego trafi do wywozu odpadów we wtorek, gdy niezadowolona Opal przetoczy się przez blok w swoich jednorazowych rękawiczkach lateksowych, pchając przed sobą kosz na kółkach. Tam go wrzucę, Pani Hance. Nie będzie musiała pani go czytać. Nie musi Pani wiedzieć, jak bardzo pragnę rozgrzeszenia, chociaż jego skrawka. Jest listopad, zbliżają się święta, a ja nie wyślę Pani tych bezsensownych bazgrołów ani pocztówki na święta Bożego Narodzenia, ani w ogóle nic, tylko nieme wieści z tego betonowego pudła. Wysyłam Pani tylko życzenia. Moje najszczęśliwsze ciche życzenia pociechy i pokoju*

*u schyłku roku.*

# 13

## NIE WYKORZYSTYWAĆ TYCH, KTÓRZY PODLEGAJĄ TWOJEJ OCENIE

(Zasada 3.08)

Brzydę się pojęciem „terapeutycznego kazirodztwa”. Zawarty jest w nim poziom nikczemności, który wcale nie musi występować, w zależności od okoliczności. Właściwie tego terminu ktoś mógłby użyć w podręczniku do opisanego tego, co zdarzyło się 10 listopada 1999 roku i w następujących po nim miesiącach pomiędzy M. i mną. Ale byłby to mylny opis. Implikacje są zupełnie niewłaściwe.

To określenie przywodzi na myśl zboczonych wujków. I coś, co powiedział Clyde, kiedy mnie odwiedził. Pamiętam park Riverside mieniący się różnymi kolorami liści, zanim wiatr wymiółł je z miasta i zabrał kolory ze sobą. Gdy otworzyłem bratu drzwi przez domofon, pojawił się w drzwiach ciągnięty przez kościstą dziewczynę z fretką na ramieniu i obrozą psa na szyi. Clyde objął ją ramieniem i powiedział z dumą:

– Francie, to jest Frank. Frank, poznaj Francie. – Uśmiechnął się. – Frank i Francie.

Spoglądała na mnie badawczo spod zielono-blond grzywki, która okalała jej małą, kościstą, bladą twarz.

– Cze – powiedziała cienkim, dziecięcym głosem. Fretka zeskoczyła z jej ramienia i popędziła korytarzem w stronę salonu.

– Hop, a to Luigi! – powiedział Clyde.

Jego parszywy ogon zniknął za rogiem. Francie chwyciła mnie za ramię.

– Nie nasra, chyba że masz puchaty dywan. Masz?

– Nie, ale mam aspołecznego kota. Powiem wam coś, ładny dziś dzień, może weźmy go na spacer do parku?

Francie pobiegła do salonu, po czym pojawiła się z fretką zwisającą z nadgarstka – wyglądała jak wydłużona, futrzana portmonetka.

– Fajne masz rzeczy – skomentowała.

– Nie, nie mam nic wartościowego w środku – powiedziałem, wyprowadzając ich na zewnątrz. – W większości klamoty z drugiej ręki.

W parku Luigi brykał w żółtych, czerwonych i pomarańczowych liściach ścielących się na ścieżkach, a Francie biegała za nim na swoich patykowatych nogach przyodzianych w legginsy w zebkę, w których odbijało się popołudniowe światło. Usiłowała nauczyć fretkę przynoszenia piłeczki. Clyde i ja obserwowaliśmy ją, przechadzając się kilka kroków z tyłu.

– Poznaliśmy się przy samochodzie, gdzie rozdawali szczepionki przeciw gruźlicy – powiedział. – Jak ją zobaczyłem, to pomyślałem sobie, hej, milutka dziewczyna. – Uśmiechnął się do mnie. Chyba zapuszczał baczki.

– Jezu, Clyde, ona chyba nawet nie ma szesnastu lat.

– Powiedziała, że ma dwadzieścia dwa, Frank – odparł. – I nie sądzę, żeby mnie okłamała. – Posłał mi spojrzenie pełne wyrzutu. – Kurczę, uratowałem ją.

– W jaki sposób?

– Jakiś ksiądz dawał jej darmowy bilet na autobus Greyhounda do Indiany i talony do Burger Kinga. Pojawiłem się na dworcu w ostatniej chwili, żeby wyperswadować jej jazdę tym autobusem.

Obserwowałem, jak skakała za fretką, która wyciągnęła krążek cebulowy z kartonowego pojemnika ze śmieci i potrząsała nim, trzymając go w pyszczku.

– Ta dziewczyna powinna być teraz na lekcji matematyki.

– I codziennie po szkole powinna wracać do domu do pijanego ojca? Świetny pomysł. – Odwrócił się do mnie, śmiertelnie poważny. – Powiedziała mi, że mieli ją sprzedać do podziemnej sekty satanistycznej. Dlatego uciekła. Opowiada takie historie, że w głowie się nie mieści.

Westchnąłem. Znowu doszedłem do tego punktu z Clyde'em. Do krawędzi rozumu.

– Hej – powiedział, nagle się ożywiając. – A co z tobą i tą dziewczyną z liceum Lincolna?

– Skończyła terapię. Od paru miesięcy nie mam już z nią sesji.

– To chyba dobrze. Martwiłem się, że się trochę zakochałeś.

Zaśmiałem się głucho.

– Taa.

–Nie, nie, nie! Luigi, nie! – krzyczała dziewczyna. Przed nami Francie przeskakiwała z nogi na nogę u stóp słupa z budką

telefoniczną, zwrócona twarzą do nieba. Fretka chybotąła się nad nią, ześlizgując się zręcznie po kablu. Po dwóch godzinach i dwóch hot dogach udało się zwabić Luigiego z powrotem w jej ramiona.

DZIEWIĄTA RANO, ŚRODA, 15 LISTOPADA. NIŻ OBJĄŁ WESTCHESTER i groził mroźnym deszczem lub tumanami śniegu. Na korytarzu w Ośrodku Pomocy Psychologicznej zwykłe koleżeńskie przekomarzanie. Corinne i Suze śmieją się z mojego ubrania niedostosowanego do pogody. W gabinecie wieszam zbyt cienką kurtkę na oparciu krzesła. W roztargnieniu zerkam na rozkład dnia, który zostawiono mi na podkładce na biurku.

O 13.30 wpisane imię jak migający neon, jak znak, sygnał, jak wyjąca syrena, zapowiadająca przyszłość.

M., migąło. Migąło – M.

To, co teraz nastąpi, to kluczowe wydarzenie w mojej narracji, nieodwracalny krok, który poprowadził mnie trudną ścieżką. Ale ta ścieżka w końcu doprowadziła do, jak to określamy, spójniejszej osobowości.

Zanim zacznę, pozwólcie mi przypomnieć słowa największego specjalisty od zdrowia psychicznego wszech czasów. Nie oceniaj, aby ciebie nie oceniano. Chyba tak to ujął.

Poranne sesje minęły w mgnieniu oka i chociaż mógłbym zgadywać, nie jestem naprawdę pewien, które z moich pacjentek zajmowały krzesło naprzeciw mnie. O dwunastej zająłem swoje zwykłe miejsce w kantine, ale nie mogłem przełknąć ani kęsa sałatki szefa. Charlie i Corinne dyskutowali, zdaje się, o nowej książce jakiegoś celebryty ze specjalizacją od czubków. Jak dla mnie, mogli rozmawiać po węgiersku.



Za piętnaście pierwsza byłem z powrotem w gabinecie. Zasiadłem na swoim plastikowym tronie. Moje dłonie były przyklejone do jego gładkich chłodnych oparc, jakby przybite gwoździami. Gapilem się na drzwi, usiłując się uspokoić. Dokładnie o pierwszej trzydzieści rozległo się pukanie.

Weszła niepewnie. Wstałem. Oczywiście zszokował mnie jej zabandażowany nos. Poczułem, jak moją twarz zalewa gorąco, a nos solidarnie pulsuje bólem.

– Co za niespodzianka.

– Pomalowałaś ściany – powiedziała, rozglądając się. – Mięta.

– Wybór administracji, oczywiście, nie mój. Ale cieszę się, że ci się podoba. Skąd ten bandaż?

– Och, głupota – odparła. – Więzienie to nie wczasy, prawda? – Oparła się o róg biurka.

Jej uda znajdowały się na wysokości moich oczu. „Odwróć wzrok”.

– Ale apelacja jest w toku, moja rodzina chwytła się wszystkich możliwości. Więc kto wie. Słaba nadzieja to wciąż nadzieja, prawda? W międzyczasie mogę skorzystać z terapii za darmo, tak długo, jak tu jestem. Tak sobie pomyślałam. – Spojrzała na mnie z dziwnym, smutnym uśmiechem. – Bardzo starałam się przypomnieć sobie coś więcej o tobie. Ze szkoły.

Kaloryfer zaczął grzechotać i jęczeć, jakby poruszony jej obecnością.

– M. – Musiałem spytać, zanim minęła kolejna minuta. – Czy zrobiłaś to, co... co jest zapisane w twoich aktach?

– Och – wymamrotała. Zaczęła wpatrywać się w sufit, potem

w swoje dłonie. Kaloryfer dławił się. – Tak. Ale nie tak, jak to jest opisane. – Dostrzegłem pojedynczą łzę, która wymknęła się spod gęstego półksiężyca rzęs.

Odwróciła się do mnie twarzą.

Spojrzenie znad bandaża, przyprawiające o zawroty głowy. Spadałem na łeb na szyję.

– Wierzę ci. Wiem, jak to jest żałować swoich czynów.

Nagle byliśmy bliżej siebie, czułem, jak jej ciepły oddech muska moje policzki. Wślizgnęła się w zamazaną przestrzeń pozbawioną ostrości. Mój oddech stał się chaotyczny.

Przypominała w smaku ciepłą gruszkę.

– To się nie wydarzyło. – Wycofała się.

Potoki krwi, walące serce w piersi, szum w uszach, jednak niewytwarzający wystarczającej ilości dźwięku, aby zagłuszyć alarm w mózgu.

– Masz rację. – Odzyskałem oddech. – Bardzo mi przykro, naprawdę. Mam tak od dziewiątej klasy. – Schowałem się za biurkiem. – To znaczy, po prostu chciałem ci pomóc.

Opadła na krzesło dla pacjenta. Przez długą chwilę wpatrywała się we mnie. Z gazą na twarzy wyglądała, jakby miała woalkę.

– Ale nie tego potrzebuję – odezwała się w końcu. – Potrzebuję apelacji. Podobno mam duże szanse. Mógłbyś pomóc mi przetrwać tutaj do jej rozstrzygnięcia.

– A mój plan? Nie wchodzi w grę? – W dzielących nas trzech stopach otworzyła się przepaść.

Wtedy wyciągnęła rękę ponad pustką.

– Liczę na apelację. Ale twój plan ma potencjał.

Dosłownie na chwilę położyła dłoń na moim ramieniu, łącząc się ze mną, błogosławiąc mnie. Sekunda dotyku skóry na skórze, który czułem jeszcze przez tydzień.

# 14

## LISTOPAD 1999

Na ścianie przy wejściu na oddział przyklejono taśmą klejącą odbitą na ksero kartkę:

*W kantynie brak następujących produktów:*

*chipsy ziemniaczane, Fritos, Cheezits itp. Substytuty: tosty Melba, prażona pszenica lub żyto.*

*Chusteczki higieniczne. Substytut: serwetki.*

*Herbatniki, ciastka Oreo, Chips Ahoy, ciastka figowe. Substytuty: tosty Melba, prażona pszenica lub żyto.*

*Papierosy, wszystkie marki oprócz Virginia Slims. Substytut: papierosy Virginia Slims.*

*Multiwitaminy. Substytut: brak.*

Dziewczyny utworzyły krzywą kolejkę obok ogłoszenia. Czekały, wykrzykując, przepychając się, ściskając w dłoniach banknoty i monety.

– Jojo zajęła mi miejsce, byłam druga – oświadczyła Vera, która usiłowała wepchnąć się na początek kolejki.

Cassie odepchnęła ją.

– Takiego wała. Idziesz na koniec.

– Nie ma zajmowania miejsca koleżankom – powiedział Jerrold Liverwell, któremu powierzono odprowadzenie dziewczyn do kantyny. Z kciukami zahaczonymi o szlufki opierał się o drzwi.

– W zeszłym tygodniu zajęła mi miejsce. W zeszłym tygodniu było można.

– Ten tydzień to nie zeszły tydzień – powiedział Liverwell. – To się nazywa upływ czasu.

Cassie pchnęła Verę zaprawionym w bojach biodrem.

– Spierdalaj na koniec kolejki, rynsztokowa pizdo.

Vera z wytrzeszczonymi oczami odwróciła się do strażnika.

– Słyszałeś, jak mnie nazwała?

– Jesteś dorosła. Nie przychodź do mnie z płaczem, nie jestem twoim tatusiem. – Uśmiechnął się szeroko Liverwell.

– Chciałbyś być moim tatusiem.

– Spadaj na koniec albo dam ci naganę, zanim ruszysz swój gruby tyłek.

Miranda obserwowała to wszystko jakby przez mgłę. Przez cały ten czas głos w głowie mrucał, znajdując przestrzeń między innymi myślami: „Mogłabyś to wszystko zostawić. Mogłabyś”.

Jej złamanie się zagoiło. I czuła się dużo bezpieczniej, nosiła przy sobie żyłkę, którą dała jej Chica długie miesiące temu. Schowała ją pod podeszwę adidasa.

Lu stanęła w kolejce za nią.

– Wyglądasz prawie, jakbyś się uśmiechała, stara jędzo. Coś nie tak?

Miranda pokręciła głową.

– Po prostu myślałam.

– Ach, myślałaś. – Lu puściła do niej oczko. – Czasem dobrze pomyśleć. – Wzięła ją pod ramię. – Zobacz, kto tu idzie. Łamaczka nosów.

Miranda odwróciła się i zobaczyła stojącą na końcu kolejki Dorcas Watkins. Lu popatrzyła na nią z namysłem.

– Teraz jest dobry moment – wyszeptała do ucha Mirandzie. – Patrz tylko.

– Pojedyncza kolejka, moje panie. Identyfikatory w lewym ręku – krzyknął Liverwell i otworzył ciężkie drzwi na oddział, chowając się za nimi. Kolejka ruszyła.

Lu wyciągnęła swoją długą nogę i podstawiła ją Dorcas.

Drobne rozsypały się po podłodze, kiedy się przewróciła.

– Kurw... – krzyknęła. Zanim zdążyła skończyć słowo, Lu wykonała taneczny krok, namierzyła pokaźne, błyszczące czoło Dorcas, zrobiła mały krok do tyłu dla rozpędu, wycelowała jak piłkarz strzelający rzut karny i kopnęła, chrząkając przy tym. Twarz Dorcas skrzywiła się z bólu.

– Koniec ze sprzedawaniem cracku mojej świrniętej przyjaciółce, koniec z łamaniem nosów – powiedziała Lu, schylając się do jej twarzy. Podniosła jej głowę za ucho i grzmotnęła nią o ziemię.

Miranda gapiała się w osłupieniu. Lu spojrzała na nią i gestem zachęciła do kopnięcia. Miranda potrząsnęła przecząco głową.

– Dzidzia – zbesztła ją Lu.

Z nosa Dorcas kapała krew. Miranda była dzidzią. Nie ma mowy, żeby mogła kopnąć kogoś w głowę, nawet jeśli to była

Dorcas Watkins. Nie mogłaby też pociąć nikogo żyłką, jeśli już o tym mowa. Schyliła się, żeby pomóc jej wstać, ale Lu chwyciła ją za ramię, powstrzymując ją, i zawołała Liverwella, który sprawdzał identyfikatory przy drzwiach.

– Panie oficerze! – krzyknęła. – Stop! Oficerze Liverwell, dziewczyna źle się czuje, uderzyła się w głowę.

Liverwell spojrzał znad identyfikatorów.

– Cholera. Wracać tutaj! – krzyknął w głąb korytarza, gdzie dziewczyny kłębiły się przed następnymi zamkniętymi drzwiami, czekając na niego. – Wracać tutaj, wizyta w kantine odwołana.

Ryk wściekłości rozniósł się po oddziale. Lu spojrzała na Mirandę i wyszeptwała:

– Widzisz, mówiłam ci, że załatwię ten problem.

NOCE W WIĘZIENIU BYŁY ZIMNE, TAK NIEMIŁOSIERNIE ZIMNE, że Miranda zwijała się w kulkę i szczekała zębami. Wyciągnęła z półek wszystkie ubrania i ułożyła z nich stertę na kocu. Leżała na boku z kolanami przyciągniętymi do brody, obserwowała, jak prostokąt światła z okna nieuchronnie wędruje po podłodze.

Od ostatniego spotkania z Frankiem Lundquistem nie mogła spać. W ciągu dnia obracała w myśli pomysł ucieczki, ale w nocy przerażało ją to. Czy naprawdę pocałowała tego faceta pełnego złudzeń? Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Rano była spokojna. Wysłała w kopercie pieniądze do firmy, która wysyłkowo sprzedawała bieliznę. Komplet w kolorze koralowym, koronkowy stanik i majtki do kompletu.

W nocy dopadały ją lęki i samooskarżenia. Miała trzydzieści dwa lata. Mogłaby już być mężatką. Raz nawet otrzymała

propozycję małżeństwa, od chłopaka z college'u. Ale był tylko jeden mężczyzna, którego chciała poślubić. A on nigdy się jej nie oświadczył. A przynajmniej nie zrobił tego do chwili, kiedy było już za późno.

DUNCAN MCCRAY MIAŁ LEKKĄ OBSESJĘ NA PUNKCIE FUNDUSZY. Obsesja dotyczyła rzeczywistości, ale też samej idei. Fundusze były jego ulubionym słowem. Nieustannie potrzebował funduszy. Ponieważ był właścicielem lokali nocnych, trzech, w epoce, w której takie placówki w ciągu zaledwie kilku miesięcy mogły z tłumnie obleganych najmodniejszych miejsc stać się opustoszałymi, zapomnianymi przez wszystkich, zapadłymi dziurami. Bary Duncana w tym okresie radziły sobie dobrze, stałymi klientami byli tam artyści i rekiny biznesu i mediów, których łączyło upodobanie do nielegalnych substancji. Duncan zaspokajał ich zachcianki. Niektórych sprawdzonych dilerów wpuszczano do środka, podczas gdy długonogie modelki pokryte brokatem i mężczyźni w garniturach na miarę, chcąc nie chcąc, musieli czekać przed wejściem. Przywiązywał wagę do tego, żeby zawsze znaleźć miejsce dla paru typów ze śmietanki finansowej, hiperaktywnych chłopaków o niskich kosztach własnych i szybko rosnących pensjach, gości zainteresowanych funduszami.

Ale dla pierwszego klubu znalazł bardziej kreatywny sposób finansowania.

– Karty kredytowe – powiedział, wpatrując się w Mirandę, przeczesując jej włosy palcami, gdy leżeli w łóżku. – Należące do obcych ludzi. Nie mów nikomu.

W Nowym Jorku pojawił się w 1986 roku, w wieku dwudziestu jeden lat, dochodząc jeszcze do siebie po wychowywaniu przez



surowego owdowiałego ojca w wymierającym miasteczku w Ohio, uzbrojony jedynie w dyplom hotelarstwa z college'u i niezwykle rozwiniętą umiejętność gwiazdorzona. Pierwszą pracę dostał w recepcji najmodniejszego hotelu w mieście. Nosił uniform złożony z ciemnogrnatowej marynarki zapinanej pod szyję, która podkreślała kolor jego oczu. W salonach dla VIP-ów na lotniskach krążyły o nim historie opowiadane przez kobiety biznesu. Miał duże grono wielbicieli wśród gejów. Zbierał numery ich kart kredytowych. Podczas nocnej zmiany zapisywał na niekończących się listach w małych notatnikach numery kart należące do przedsiębiorczyń, podróżujących partnerów handlowych i innych gości. Na początku nie wiedział, co z nimi zrobić. Po prostu zbierał numery kart.

Jakiś czas później miał romans z dziewczyną z San Francisco. Chciała, żeby ją odwiedził w Dzień Niepodległości. Był kompletnie spłukany, wszystkie pieniądze przepuścił na kokę i wysokiej klasy sprzęt audio. Pomyślał wtedy o tych numerach. Użył jednego z nich do kupna biletu na samolot pierwszej klasy w liniach United. Zamieścił drobne ogłoszenie w „Village Voice” i sprzedał go za pół ceny. Wziął gotówkę, kupił sobie bilet w klasie ekonomicznej, poleciał do San Francisco, obejrzał fajerwerki.

Używając różnych wariantów tego sprytnego triku, Duncan zgromadził niezłą sumkę na swoje fundusze. Był przebiegły i ostrożny, starannie zacierał za sobą ślady. Wiedział, kiedy wystawiano wyciągi bankowe, i dostosowywał do tego swoje ruchy. Zwracał uwagę na banki emisyjne i unikał tych, które były szczególnie czujne. Wszystkie telefony wykonywał z budki

telefonicznej, nie trzymał w domu żadnych dowodów.

Posiadacze kart nie byli nawet obciążani kosztami.

– Przepięknie bez ofiary jest pięknie – powiedział z uśmiechem.

– Wiem, jestem do gruntu zły, co nie? – Zaśmiał się, a w jego oczach pojawiła się jakaś ciemna energia. Miranda mogła w nich dryfować bez końca, jak w głębokim stawie.

Dowiedziała się tego wszystkiego dopiero wtedy, kiedy byli już razem przez jakiś czas, kiedy była już kompletnie stracona, beznadziejny przypadek. W każdym razie zorientowała się, że może odwrócić wzrok od tych jego niefortunnych momentów, zawstydzającej działalności, po prostu skupiając się na jego oczach, twarzy, uśmiechu, dłoniach i uczuciach, jakie w niej wzbudzały.

I oczywiście kiedy byli razem, przekręty z kartami kredytowymi należały do przeszłości. Nie było już takiej potrzeby. Bary zarabiały dużo forsy. A firmy kredytowe wprowadziły zaostżenia. Nie można było dłużej wyciągać z nich kasy w ten sposób. Wprowadzono zabezpieczenia i pojawiły się nowe technologie.

Duncan zrezygnował dla niej z innych kobiet.

– Kiedy przychodzą do mnie teraz, jestem... jakiś pusty. W ogóle mnie nie interesują – dziwił się. – Nigdy nie sądziłem, że tak będzie. Nigdy nie pomyślałem, że mogę się zakochać. – Obejmował ją ramieniem. – Podbiłaś moje serce.

– To ty mnie zdobyłaś – przypomniała mu.

Pewnej wilgotnej nocy wczesną wiosną, kiedy byli parą już gdzieś od roku, brygada antynarkotykowa w pełnym rynsztunku wpadła do pierwszego baru i zamknęła go. To był ten bar, który przynosił prawdziwe pieniądze i utrzymywał pozostałe dwa.

Duncana zatrzymano, ale zwolniono następnego dnia bez postawienia zarzutów. Może pomógł mu jakiś przyjaciel w urzędzie miasta albo lubiący nocne życie prokurator, w którego interesie leżało ukreślenie sprawie łba. Miranda nigdy się nie dowiedziała. Jednak bar nadal był zamknięty, klamki na drzwiach pokrytych graffiti oklejone zostały taśmą policyjną. Obciążono hipotekę, kilku inwestorów z szarej strefy chciało wycofać swoje pieniądze.

Którejś nocy Duncan zwrócił się do Mirandy:

– Myślałem o tym facecie, który jakiś czas temu wpadł do baru. Ten gdzieś z północy stanu. Strażak. Nawalony w trzy dupy, nie chciał się zamknąć. Mówił, że raz w miesiącu organizują sobie noc kasyna, że to ich jedyna rozrywka. Mają z tego dziesięć tyś miesięcznie.

– Niezła sumka – powiedziała Miranda.

– Pijany kretyń. Nie chciałem tego słuchać. Wtedy powiedział, że ludzie myślą, że wszystko idzie na cele charytatywne, ale on od lat podbiera kasę. Ma już odłożone dwa miliony. Zakopane gdzieś, choć trudno w to uwierzyć. Tak mi powiedział. – Duncan pokręcił głową. Tępe wieśniaki.

– Mówił, że czeka, aż uzbiera trzy miliony, wtedy po prostu zniknie.

Zaśmiał się ze znużeniem.

– Przydałyby mi się takie fundusze – powiedział.

W środku nocy usiadł nagle na łóżku. Nie mógł spać.

– Dziwne, nie? – powiedział. – Jakiś napruty strażak. Pamiętam nazwę tego miasteczka. Candora.

OKNO W POKOJU TELEWIZYJNYM WYCHODZIŁO NA MŁODY DĄB, który w ten słoneczny dzień odmawiał oddania ostatnich liści na pastwę wiatru. Z telewizora ryczała opera mydlana. April i Miranda siedziały na parapecie, obserwując szare wiewiórki wspinające się na drzewo i schodzące z niego.

– Uwielbiam te głupie wiewiórki – powiedziała April. – W życiu jest jednak mnóstwo miłych rzeczy. – Odwróciła się do Mirandy. – Nigdy już nie dotknę tego gówna, Mimi, ani tutaj, ani jak wyjdę. Słyszysz?

– Jasne.

Jedna wiewiórka usiadła na tylnych łapkach, obracając w przednich żołądź, jakby podziwiała jego perfekcję.

– Nie cieszysz się, że twoje tabletki nie zadziałały? – spytała April. – Nie cieszysz się, że ciągle jesteś wśród żywych?

– Pewnie. – Miranda uśmiechnęła się.

– Ja na pewno się cieszę. Nie wiem, co bym tu zrobiła bez ciebie.

Uśmiech na ustach Mirandy zgasł. Spojrzała na twarz April, ozłoconą z boku popołudniowym słońcem. Miała najdłuższe na świecie rzęsy.

– Niedługo rozprawa w sprawie twojego zwolnienia warunkowego.

– Piętnastego, w przyszłym miesiącu. – Odwróciła się od okna, bawiąc się złotą bransoletką z zawieszka w formie serduszka. – Staram się nie denerwować.

– Ja myślę, że dostaniesz zwolnienie, a ty nie?

– Słyszałam, że rada ławnicza potrafi być surowa. – Spojrzała na Mirandę. – Dzięki Bogu Carmona nie znalazła tamtej fajki.

Uratowałaś mnie, dziewczyno.

– Dostaniesz zwolnienie. Jestem pewna.

– Chciałabym tylko, żebyś ty też wyszła.

Miranda odwróciła się z powrotem do okna. Pożółkłą trawę zaścielały uschłe liście, jak zmarszczki na wodzie.

– April – powiedziała – naprawdę wierzysz w życie pozagrobowe?

– Tak.

– Hmm, ja nie. Jestem dość pewna, że to życie jest jedynym, jakie mamy. Nie mogę go zmarnować tutaj. Nawet jeśli na to zasługuję – może tak jest. Nie mogę przegrać go w ten sposób.

– Może dostaniesz ulaskawienie albo coś takiego. Nigdy nie wiadomo. Może apelacja przejdzie.

April mocno przycisnęła Mirandę do siebie, oparła brodę na jej ramieniu, lekko wciskając ją w ten punkt węzłowy, którego uciskanie podnosi na duchu.

Pragnęła zwierzyć się April. Chciała móc ją spytać, co ma zrobić z Frankiem Lundquistem. Ale wiedziała, że jest skazana na bycie samą z tym problemem. Ponownie zastanawiała się nad powierzeniem swojego losu w ręce mężczyzny skrajnie niedoskonałego.

– Napiszesz do mnie o swoim nowym życiu – wyszeptała do ucha April. – Chcę znać wszystkie szczegóły.

FRANK LUNDQUIST PACHNIAŁ POŁĄCZENIEM PIŻMA I LIMONKI. Użył wody po goleniu specjalnie dla niej. Nie dotknęli się już. Wiedziała, że on chce. Było to widać. Ale zdawało się, że tak ewidentne łamanie zasad przygniatało go. Czasami wychodził z za

biurka, przechodził na jej stronę i jakby wisił nad nią. Czowała się przez to nieswojo. Prosiła wtedy o herbatę.

Jednak tym razem został za swoim biurkiem. Światło wpadające przez okno sutereny okalało jego głowę jasną kwadratową aureolą. Wydawał się zadowolony.

– Chyba już mam – powiedział, gdy usiadła na krześle dla pacjenta. – Myślałem o tym, jakie mamy przeszkody. I oczywiście największą jest ochrona. – Pochylił się w jej stronę. – Gdzie ochrona jest najsłabsza?

– Tutaj, w ośrodku psychologicznym? – zgadywała. Zauważyła, że jego fryzura jest bardziej schludna niż zazwyczaj. Włosy z rowkami po śladach grzebienia wyglądały jak słoje w jasnym drzewie.

– Nie. Widziałem, kiedy pilnował cię tylko jeden strażnik. Śpiący. Jeden jedyny chrapiący strażnik dzielił cię od wolności.

– Gdyby tak się kiedyś zdarzyło, pewnie sama bym uciekła.

– Nie zrobiłaś tego, bo tak naprawdę wcale cię tam wtedy nie było.

Wstał teraz, podszedł do niej posuwistym krokiem i zastygł przed jej krzesłem, opierając się o biurko.

– Kiedy byłaś w szpitalu, jeszcze pod wpływem leków, odwiedziłem cię. I był tam tylko jeden samotny strażnik. Który spał, Mirando. I wokół nie było żywej duszy. Mogłem to zrobić. Mogłem to wtedy zrobić. – Jego oczy szukały jej twarzy. – Żałuję, że tego nie zrobiłem.

– Jaki masz więc plan?

– Nie rozumiesz? – Uśmiechnął się do niej. Blask w jego

spojrzeniu. – Skombinujemy ci kolejną dawkę elavilu. Zabijesz się ponownie.

– Och nie. – Miranda potrząsnęła głową.

– To znaczy, będziesz próbowała. I wybierzemy taki moment, żeby cię znaleźli. A kiedy przywiozą cię do szpitala, przyjadę i zabiorę cię stamtąd w środku nocy.

– Obiecałam matce, że nigdy już tego nie zrobię – powiedziała załamującym się głosem. Zauważyła już, jak błyskotliwy jest ten plan. Nienawidziła tego pomysłu. Pogardzała nim.

– Mirando, dobrze to przemyślałem, rozważyłem wszystkie za i przeciw. Myślę, że to najlepszy sposób. Ale jeśli ty masz lepszy pomysł, to słucham.

Spojrzała na niego.

– A potem co się stanie? – Te słowa zabrzmiały tandetnie w jej uszach.

– Wtedy znikniemy. Ja i ty. Znikniemy razem.

Ukucnął przed nią, wziął jej dłonie w swoje. Wpatrywał się w jej twarz. Widziała, jak bardzo zawładnęła nim już wizja wspólnej przyszłości.

Zniknąć razem.

Nie mogła sobie tego wyobrazić. Zniknąć z tą osobą?

A jednak. Wizja nowego życia nęciła ją. Wytrzeć jej całą pokaleczoną historię przez jedną noc. Nowe, niezapisane lata otwierały się przed nią.

Spojrzała na swoje dłonie schowane w jego uścisku. Te mniejsze, bledsze. To były jej ręce, prawda? Nie przesyłały żadnych wrażeń do jej mózgu.

LU ZOBACZYŁA JĄ, GDY SZŁA KORYTARZEM ODDZIAŁU, odstawiona na spotkanie z Frankiem. Zatrzymała ją, podniosła lok ze starannie ułożonych włosów i powąchała go.

– Kwiat śliwy. – Puściła do niej oko. – Będzie mu się podobało.

Miranda uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Bardzo się mylisz.

Lu zaśmiała się i jednym zręcznym ruchem podciągnęła koszulkę Mirandy, ukazując koronkowy koralowy stanik. Miranda odepchnęła jej ręce. Z końca korytarza dobiegł gwizd.

Lu przyciągnęła ją do siebie i ucałowała w oba policzki. Objęła mocno ramionami.

– To nasza siła, Mimi – wyszeptała. – Musimy jej używać. Zawsze.

Puściła ją i lekko odepchnęła w stronę drzwi wyjściowych.



# 15

## ZAWSZE STARAĆ SIĘ BYĆ DOKŁADNYM, PRAWDOMÓWNYM I UCZCIWYM

(Zasada C)

Ocena ryzyka to dziwna sprawa. Stanowiła dużą część moich obowiązków w Milford Basin. Administracja musiała wiedzieć, czy jeśli Emilia będzie zakwaterowana na wspólnej sali, to jak duże jest prawdopodobieństwo, że roztrzaska komuś czaszkę tępym przedmiotem, tak jak to zrobiła w popadającym w ruinę domu szeregowym w Troy? Jak prawdopodobne jest, że Brittni będzie znowu biła swoje dzieci, jeśli odzyska nad nimi opiekę na zwolnieniu warunkowym? Czy Minh o smutnych oczach powinna pracować w kuchni, gdzie jest dostęp do ostrych przedmiotów, czy też będzie to dla niej prosta droga do samookaleczenia?

I ryzyka nie należy rozumieć tylko negatywnie. Pięcioetapowy proces oceny ryzyka (od etapu pierwszego: określenie docelowego zachowania, do etapu piątego: zastosowanie właściwego monitorowania) mógłby zostać wykorzystany do ustalenia, powiedzmy, szansy, czy czyjś mążonek pojawi się na urodzinowym przyjęciu niespodziance, albo prawdopodobieństwa

tego, że czyjś brat narkoman wyzwoli się wreszcie z diabelskiego nałogu.

Towl i Crichton wysmażyli przyjemną definicję w swojej ostatniej książce: ocena ryzyka to po prostu „ewaluacja prawdopodobieństwa występowania docelowego zachowania w połączeniu z rozważeniem konsekwencji takiego przypadku”.

Zastanawiam się więc – w jaki sposób skalkulowano by ocenę ryzyka w moim przypadku?

Jeśli Towl i Crichton sami przekreśliliby moją psychę przez korbę pięciu etapów, czy mogliby przewidzieć, że tak bardzo uwikłam się w związek ze swoją pacjentką, czy mogliby przepowiedzieć, że będę planował jej ucieczkę? Czy wiedzieliby, że złamię z dziesięć zasad etyki profesjonalnej i kilka bardzo podstawowych praw, żeby jej pomóc, żeby zaspokoić swoje pragnienie życia, które faktycznie coś znaczy?

Wątpię.

Nawet test Lundquista, przez długi czas uważany za niemający sobie równych pod względem dokładności, nie mógł przewidzieć takiego rezultatu w moim przypadku, w przypadku zerowego, modelowego dziecka.

Biedny, smutny Charlie Polkinghorne. Musiałem go zmanipulować, bo był mi potrzebny. Zaprosiłem go na drinka po pracy. Zbliżały się święta, wieczory nadchodziły wcześniej, ciemne i zimne. Wybrałem małą spelunkę przy rzece. On zamówił żytnią whisky, ja – piwo. Żałosna muzyka country i girlandy nikłych bożonarodzeniowych światełek pasowały do nastroju. Siedzieliśmy obok okna, pulsujące światło przytwierdzonego nad nim świętego

mikołaja sprawiało, że twarz Charliego to błyskała na czerwono, to gasła w mroku.

– Hmm, dzwoniła do mnie była żona – zacząłem. – Jest w ciąży. Wiesz, kiedy byliśmy razem, była z przekonania bezdzietna. – Tak się złożyło, że to prawda. Winnie zadzwoniła do mnie z życzeniami. I przekazała mi tę nowinę.

Charlie potrząsnął błyskającą na czerwono głową.

– Nie bierz tego do siebie, Frank. Nie wszystko trzeba brać do siebie.

Gdzieś za mną stukwały kule bilardowe, rozlegały się wybuchy śmiechu.

– Chyba nigdy nie zrozumiałem, co ją kręci. – Uśmiechnąłem się do swojego piwa. – A można by pomyśleć, że potrafię analizować zachowanie kobiet.

– Cholera – powiedział Charlie, teraz w ciemności. – Bieg własnego życia terapeuty często dla niego samego stanowi zagadkę, wiesz przecież o tym.

Pociągnąłem łyk piwa.

– Wiem.

Charlie spojrzał w czerwieniejące okno.

– Wiesz, robię w pamięci listę psychiatrów, których znam. I wiesz co, jestem jednym z niewielu, którzy nie rozwiedli się przynajmniej raz.

– Skutki uboczne pracy.

– Powierzę ci sekret naszego sukcesu, mojego i Sheili – Wziął kolejny łyk whisky. – Hobby.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, że masz hobby.

Przytaknął, znowu skąpany w czerwieni.

– Rysuję z natury. Wynajmuję modelki, przychodzą do mojego mieszkania i je rysuję.

– Nagie modelki?

– Jasne, że nagie, Frank. To sztuka, anatomia i tak dalej. – Wzruszył ramionami. – Świetna zabawa. Ujście dla emocji.

– A co robi Sheila?

– Zbiera skały i minerały.

– Och. Nie wiedziałem.

– Tak. Ma całą grupę przyjaciół podobnie jak ona zwariowanych na punkcie kamieni. Sprawia jej to radochę.

Skończyłem piwo i gestem poprosiłem kelnerkę o następną kolejkę. Bawiłem się wilgotną tekturową podkładką pod szklanę.

– Charlie, nie mogę spać. Leżę i myślę całymi nocami, że umrę w samotności.

Westchnął.

– No, tak. Można oczekiwać takich lęków. To ciężki okres, zmiana. Stresujące wydarzenie życiowe. Powinieneś coś wziąć.

– Nienawidzę brać leków. Czuję, że powinienem potrafić porozmawiać sam ze sobą i uspokoić się.

– Nie bądź śmieszny. Przepiszę ci coś. Co chcesz, halcion? Valium?

Wahałem się przez chwilę. Biedny stary Polkinghorne. Twarz znowu rozjarzyła się na czerwono i zgasła w mroku. Był wymizerowany, z pozbawionymi koloru włosami i zapadłymi policzkami wyglądał jak pognieciona, przygnębiona wersja siebie samego z czasów, gdy studiował na Uniwersytecie Cornella. Czy

może przez to stracić pracę, zostać pozbawionym emerytury? Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, będą mogli znaleźć sposób, żeby go częściowo obwinić? Ale już niewiele brakuje mu do emerytury, rozumowałem, a Sheila jest bogata z domu. Stwierdziłem, że Charlie wyjdzie z tego raczej bez szwanku.

Kelnerka postawiła napoje na lepkiem stole. Podniosłem kufel i od niechcienia pociągnąłem łyk.

– Właściwie myślałem o elavilu. Przez parę miesięcy?

Wstrzymałem oddech. Wiedziałem, że proszę o dużo. Ale tyle wystarczy, żeby załatwić sprawę M. Plus dawka dla mnie na wszelki wypadek. Bo to całe przedsięwzięcie mogło pójść nie tak.

– Jak tylko mogę ci pomóc, Frank – powiedział. – Czego tylko potrzebujesz.

Dwa dni później w moim gabinecie M. wciskała tabletki, po jednej naraz, pod dolny pasek różowo-pomarańczowego stanika w kolorze wiosennej wieczornej chmury. Odwróciłem wzrok od jej kremowej skóry, jej talii, pępka, falującej białej flagi.

JAK MOGŁEM DAĆ ZAPAS TABLETEK PACJENTCE, KTÓRA PRÓBOWAŁA SIĘ ZABIĆ za pomocą dokładnie tych samych tabletek? Ocena ryzyka. Nigdy nie widziałem tak silnej woli życia, jaką widziałem w jej oczach, kiedy rozmawialiśmy o ucieczce. Czuję, jak przez nią płynie, silnym strumieniem, wtedy, gdy trzymałem ją w ramionach i całowałem.

Wywrócenie własnego życia dodało mi odwagi.

Od tamtego momentu dni mijały mi w stanie wyostrenia zmysłowego. Moja konsternacja co do mojego celu na ziemi: znikła. Poczucie niewykorzystanego potencjału jako ważne

dziecko: brak. Teraz, kiedy M. i ja byliśmy razem, wydawało się, że świat został doprawiony tajemnym sosem, każda chwila dostarczała mi dodatkowych wrażeń. Wszystko, co widziałem, nosiło w sobie zapowiedź czegoś.

Zacząłem snuć plany i przejąłem kontrolę, jak nigdy wcześniej w życiu. Poczucie misji, sukcesu, które przewidywał test ojca – najwidoczniej w końcu się ujawniło. Ale w sposób, którego nie mogłem przewidzieć nawet najbardziej bystry umysł naukowca. Zrodzony z siły, którą M. rozumiała dogłębnie: siły niewolnika niebezpiecznej miłości.

W WIGILIĘ ŚWIĘTA DZIĘKCZYNIENIA JEŹDZIŁEM SAMOCHODEM W POSZUKIWANIU CLYDE’A. Dobrze po północy, przy dźwiękach głosu Steviego Wondera płynących z radia, zobaczyłem go, jak przeskakuje z nogi na nogę, siny z zimna, na rogu Czternastej i Siódmej Alei. Skarpetki wciśnięte do dwóch postrzępionych reklamówek, kartonowe pudło w charakterze stolika wystawowego elegancko złożone i oparte o latarnię.

Kiedy zobaczył mój samochód podjeżdżający do krawężnika, twarz mu się rozjaśniła. Nachyliłem się i otworzyłem drzwi pasażera. Z radia w lodowate powietrze niósł się głos Wondera: „I was born in Li'l Rock, had a childhood sweetheart”.

– Wskakuj, zafunduję ci hamburgera.

– Nie-e, dzięki, czekam na Jimmy’ego. Jak mnie tu nie będzie, kiedy przyjedzie, wkurzy się. – Wyciągnął głowę, patrząc w głąb Czternastej. – Spóźnia się.

– No to chociaż poczekaj tu w środku. Przemarzłeś do szpiku kości. I co się stało z twoimi włosami?

Wślizgnął się na siedzenie i przejechał ręką po świeżo ogolonej głowie. Góra pokryta była szczecina, z boku zostawił sobie przycięte bokobrody.

– To pomysł Francie. Powiedziała, że długie hairy psuły cały mój wygląd.

– Nadal kręci się koło ciebie?

– Jasne, jesteśmy zakochani.

– A co z Flor?

– Rzuciła mnie. Dla Jimmy’ego. – Potarł dłonie przy nawiewie ciepłego powietrza.

– Rozumiem.

– Żona Jimmy’ego, Agata, to duża kobieta z ramionami jak George Foreman. Nie zadzierałbym z nią. Ale mieszka z dziećmi w Forest Hills. Słyszałem, że mają garaż na sześć samochodów.

– Chciałem zabrać cię jutro na kolację z okazji Święta Dziękczynienia – zawahałem się. – Francie też może przyjść.

– Och, to miło, Frank, ale mamy już plany.

– Plany? Jakże ty możesz mieć plany?

– Schronisko Saint Joseph robi wyzerkę: indyk, farsz, kupa dodatków. I zgadnij, kto piecze dwadzieścia pięć placków z dynią?

– Odwrócił się do mnie i uśmiechnął z dumą. – Oczywiście ja. Francie pomaga mi rozwałkować ciasto.

– Och. – Musiałem wyglądać na szczerze zawiedzionego, bo pochylił głowę ze współczuciem i powiedział:

– Może w przyszłym roku?

– Słuchaj, Clyde, mam nowiny.

Ciepłe powietrze rozchodziło się wokół nas w samochodzie, stare znane przeboje dodawały mi odwagi i wyłożyłem mu cały ten scenariusz nie z tej ziemi. Mój śmiały plan na kolejny rozdział mojego życia. Powiedziałem, że potrzebuję pomocy, jego i Jimmy'ego. Powiedziałem, że muszę spotkać się z szefem. Żeby mu powiedział, że zapłacę. Nie chciałem zaufać temu facetowi, ale sam nie dałbym rady. Miałem tylko nadzieję, że Clyde jest wystarczająco przytomny, żeby docenić powagę sytuacji.

Wtedy szef we własnej osobie zatrzymał się obok nas w brudnym białym minibusie bez tłumika. Pucółowaty, z krzaczastymi brwiami, wyglądał na wkurzonego. Za nim podskakiwał ładunek złożony z ludzi o dzikich fryzurach i szeleszczących balonów. Clyde wyskoczył z mojego samochodu i schylił do mnie w otwartych drzwiach.

– Porozmawiam z nim, Frank. Nie wiem, czy się zgodzi, ma kłopoty na Brooklynie. Ruscy. Przez to jest przewrażliwiony. Ale porozmawiam z nim. W twojej sprawie.

Jego nagle urywany głos przestraszył mnie. Zauważyłem, że oczy mu posmutniały.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, Frank – powiedział i szybko się odwrócił. Zabrał swoje pudło i torby ze skarpetkami i podbiegł do czekającego minibusu.

Popatrzyłem za odjeżdżającym samochodem, wrzuciłem bieg i pojechałem w stronę śródmieścia. Zanim się zorientowałem, przejechałem Jersey, kierując się na południe, i wjechałem na płatną autostradę. Sygnał radia z przebojami z lat siedemdziesiątych zaczął zanikać, wskazówka paliwa wskazywała na prawie pusty bak.



Zatrzymałem się na stacji, zatankowałem i poszukałem budki telefonicznej.

– Tato – powiedziałem – możesz powiedzieć Irmie, żeby przygotowała mi łóżko?

Podążałem przez noc iskrzącą się żyłą autostrady międzystanowej, przez uśpione środkowoatlantyckie zamieszanie, mijając bramki do opłat na autostradzie, zbiorniki oleju, wijące się gdzieś słońce rzeki. Nad mostem przez Delaware pojawił się gościnnie księżyc, wąski rogalik wysoko w górze, dołeczek na twarzy z gwiazd.

Jadąc, oczywiście myślałem głównie o M. Wyobrażałem sobie nas, jak żyjemy gdzieś daleko, ukryci, pod fałszywymi nazwiskami, z fałszywą tożsamością. Pokój z widokiem w obcym mieście. Stół, dwa krzesła. Poranne słońce, łóżko. W nim śpiąca M. Siedzę przy stole, piję kawę z małej filiżanki ze spodeczkiem, czytam książkę i od czasu do czasu zerkam na nią, gdy porusza się przez sen.

Budzi się i uśmiecha do mnie. Oglądam ten fragment filmu jeszcze raz: budzi się i uśmiecha do mnie.

Mogłoby tak być. To jest możliwy rezultat. Mogłaby wypowiedzieć moje imię z miłością. Nawet z pożądaniem.

Możliwy rezultat, faktycznie, ale bez żadnej gwarancji. Towl i Crichton nie są tu dla mnie pomocą. Emocje zdusiły w zarodku jakiegokolwiek próby racjonalnej oceny prawdopodobieństwa.

Zresztą było za późno na rachunek prawdopodobieństwa. Moje życie było już zdeterminowane, skierowane na M. jak światło lasera. Z innymi mogłem się tylko pożegnać.

NIGDY NIE POKAZUJĄ ZDJĘĆ WASZYNGTONU W LISTOPADZIE. Nie, na pocztówkach zawsze są przesycone kolory wiosny, wszystkie drzewa pokryte pączkami kwiatów, równe linie czerwonych tulipanów okalają białe pomniki. I czyste, błękitne amerykańskie niebo. Zawsze nienawidziłem Waszyngtonu. Jego turystycznej wersji. Jason DeMarea, Anthony Li i ja wałęsaliśmy się po centrum i nabijaliśmy się z turystów. Specjalnie podawaliśmy im mylne wskazówki, jak gdzie dojść, i wykrzykiwaliśmy za nimi: „Spadajcie do domu, wieśniaki!”, gdy przetaczali się obok nas w małych otwartych wózkach, które wozili ich w tę i z powrotem po parku National Mall. Każdy, kto nosił skarpetki do sandałów, zostawał obłany wodą z purpurowego pistoletu Jasona.

Nie, Waszyngton, w którym mieszkaliśmy, nie był tą wersją z kodaka, szczególnie w ponurym listopadzie, gdy trawniki brązowiały i twardniały. Alabaster zmieniał się w zachmurzone niebo, nikt nie wchodził na samotny pomnik Waszyngtona, a tym, co miało znaczenie, było codzienne życie w rządowym świecie. Do naszej szkoły chodziły dzieciaki, których ojcowie byli przetrzymywani jako zakładnicy w Iranie. Znaliśmy mamy, które kupowały broń i wyposażenie wojskowe, i nastolatków, którzy spędzali wakacje, odbierając telefony w urzędzie skarbowym. Nie znaliśmy grubych ryb, senatorów miliarderów ani członków rządu uczęszczających do klubów dla elit. Wśród znajomych mieliśmy urzędników średniego szczebla i mało znaczących kongresmenów albo mało znaczących byłych kongresmenów.

Mój tata nadal mieszkał na ranczu, na którym wychowywaliśmy się z Clyde'em, przyklejonym do zbocza wzgórza tuż za liceum. Małe różowe chmurki jak odciski stóp jakiegoś niebiańskiego

bobaska leniwie wisały na wyblakłym niebie, gdy wjechałem na ulice miasta o świcie. Nisko posadowione domy z poprzedniej epoki: Eisenhowera, Kennedy'ego i Johnsona były prawie całe ciemne, tylko kilka żółtych okien świeciło gdzieś tam. To pewnie w kuchni ktoś tak o świcie formował ciasto na bułeczki albo nerwowo wpychał nadzienie do na wpół rozmrożonego indyka. Skręciłem na podjazd. Trzeba przyciąć krzewy. Zaslaniają okna frontowe. Colleen musiałaby się tym zająć. Trzy lata minęły, odkąd odeszła. Wystarczająco dużo czasu, by cisy się zapuściły.

Do matki zwracaliśmy się po imieniu. Zaczął to robić Clyde, gdy miał ze cztery lata. Spodobało jej się to, więc ja też zacząłem tak do niej mówić. Miałem osiemnaście lat i uważałem, że to brzmi dorośle. Miała szeroki, przyciągający uwagę uśmiech, delikatną twarz okoloną miękkimi kosmykami włosów w kolorze mlecznej czekolady, czułe niebieskie oczy. Była wysoka, tak jak ja, jak Clyde. Była niezłą laską, jak mawiał Erskine, musiała się opędyć od chłopaków. Na przyjęciach grała na pianinie i śpiewała piosenki Dylana, ale tak naprawdę była nieśmiała, jak ja.

Odeszła tak nagle. Pochowaliśmy ją potwornie gorącego lipcowego dnia. Mimo upału nabożeństwo odbyło się na cmentarnym parkingu, żeby mogły w nim uczestniczyć także osoby na wózkach inwalidzkich. Przez lata była wolontariuszką w domu dla niepełnosprawnych, na pogrzeb przyjechało jej trzydzieścioro ośmioro podopiecznych. Rozstawieni na zalanym słońcem parkingu stanowili żywy dowód na to, że była osobą, która czyniła dobro. Że jej życie miało sens.

Przez chwilę siedziałem w samochodzie, wywołując jej ducha.

Odkąd umarła, życie trochę się pogmatwało. Moje, Clyde'a.

Do domu wszedłem o szóstej czterdzieści trzy rano. Kuchnia była jasno oświetlona, różowe ściereczki do naczyń wydziergane na szydełku przez Irmę świeciły jak zerwane z nieba skrawki świtu. Ojciec nalał mi kawy. Wyglądał krucho w swoim szlafroku frotte i szurających kapciach z łuszczącej się skóry. Powiedział, że nie spał całą noc.

– Twój telefon strasznie mnie podekscytował, nie było mowy, żebym znowu zasnął. Grałem w pasjansa i obejrzałem ciekawy film dokumentalny o węzach. A Irma nie spała do drugiej, robiła zapiekankę z ryżu z serem.

– Nie trzeba było...

– Jako dzieciaki zawsze uwielbialiście to danie. A Irma tak się cieszy, że ma dla kogo je upiec.

Kiedy wypiliśmy kawę, tata powiedział, że się zdrzemnie. Poszedłem do salonu. Nic tu się nie zmieniło: ten sam pomarańczowo-brązowy dywan, ten sam telewizor Quasar, ta sama sofa w szkocką kratę. Wszystko jak za moich szkolnych lat. Na biblioteczce stało oparte moje zdjęcie, poźółkłe i zwijające się w rogach. Mam na nim aparat na zębach, włosy wchodzą mi do oczu. Trzymam w ramionach Clyde'a i karmię go z butelki. Za mną uśmiecha się do nas Colleen.

Za zdjęciem na półce rząd roczników ze szkoły. Zmatowiałe kartki o zaklejonych folią rogach lepiły się do siebie, gdy kartkowałem album z pierwszej klasy liceum. Strona ze zdjęciem drużyny biegowej junierek, a w dolnym rogu fotka dziewczyny przebiegającej linię mety. Wyrwałem tę kartkę, złożyłem w mały

kwadracik i wsunąłem do kieszeni koszuli. Potem wziąłem też zdjęcie Colleen ze swoimi chłopakami.

Później musiałem zasnąć na kanapie. Kiedy się obudziłem, usłyszałem dochodzące z oddali odgłosy uderzeń. Moje serce? Wpatrywałem się w pokryty kurzem mosiężny żyrandol. Szyba w oknie drżała w takt uderzeń. Bum. Bum. Bum – bum. Bum.

– Naprzód, Bears. Naprzód, Blue Bears. – Coroczne starcie z okazji Święta Dziękczynienia, Blue Bears z Lincolna przeciw odwiecznym rywalom, Bulldogs z Churchilla. Mecz był w toku, tuż u stóp wzgórza. Odgłos bębnow orkiestry marszowej dobiegał zza jodeł.

Oczywiście musieliśmy pójść, ja z tatą, przez wzgląd na stare czasy. Irma, która gotowała i sprzątała nasz dom od lat, spakowała nam swoje fińskie bułki. Tata w tweedowej czapce i parce, ja w swojej zbyt cienkiej kurtce.

Przedarliśmy się przez zarośnięty ogród, przez gąszcz młodych drzewek i winorośli, tak jak to robiłem każdego ranka w liceum. Przecieliśmy parking i nagle zdałem sobie sprawę, że to jest to miejsce, gdzie M. po raz pierwszy wkroczyła w moje życie. Mam przed oczami jej kasztanową toyotę, to początek szkolnego dnia. Wysiada z tego ubłoconego samochodziku, ma świeżo umyte włosy, które spływają obficie na ramiona okryte białą kurtką dżinsową, jej dopiero co pomalowane błyszczącym usta lśnią kleistym wodnym blaskiem w porannym słońcu, dżinsy są uroczo połatane. Gdy idzie, frędzle zamszowej torby podskakują. Miękkie rysy jej twarzy, mina ostrożnie powściągliwa, ale widać, że żywo reaguje na otoczenie. Taka inteligentna, taka głęboka. I dwa

kolczyki w uchu, trochę zbyt blisko krawędzi. Stoję tam, gapiąc się, niezdolny wydukać nawet: „Ładny dzień, co?”. Patrzę tylko, jak przechodzi obok mnie. Zawsze mnie mijała, ta dziewczyna. A teraz? Razem weszliśmy do beczki i właśnie mamy się w niej rzucić w dół wodospadu.

Wdychając opary popcornu i hot dogów, weszliśmy z tatą na trybuny, ogłuszeni przez dudnienie orkiestry marszowej, która grała teraz z miejsc w niższych rzędach.

Taki rodzaj na wskroś amerykańskiej normalności, ta scena z naszego miasteczka rodzinnego na zawsze pozostanie poza naszym zasięgiem, M. i moim. Skandujące cheerleaderki, chłopaki z pryszczami i poklepujący po plecach tatusiowe w tym momencie byli całkowicie pochłonięci tym, co się dzieje. Szczerze przejęci meczem, prawdziwie zafascynowani wielką galą. Przestrzegali praw tego narodu. Kochali ten naród.

Ale ja też go kocham. Też go kochałem.

Po prostu M. kochałem bardziej.

A to oznaczało, że będę musiał pożegnać się z tym wszystkim. Na zawsze.

Był już prawie koniec pierwszej połowy i Bears prowadzili, trzynaście do siedmiu.

– Podobno rozgrywający jest pierwszorzędny – powiedział tata.  
– Może nawet tak dobry jak ten dzieciak z twojego rocznika. Bushmiller. Wiesz, że odszedł z zawodowstwa?

Cheerleaderki robiły salta, migając krągłymi udami odzianymi w pończochy.

– Tato – powiedziałem – żałuję, że nie możesz być ze mnie taki

dumny.

Odwrócił się do mnie. Czapka zacieniała mu oczy schowane pod niesfornymi brwiami.

– Ależ dałeś mi wiele powodów do dumy. Już jako dziecko – pamiętasz, jak świetnie wypadłeś w teście? I potem też, oczywiście. Zawsze byłem z ciebie dumny.

– Chciałbym być lepszym terapeutą. Przypadek Fehlera...

– To się mogło zdarzyć każdemu, Frank.

– Tobie nigdy się nie zdarzyło.

Głośny brzęczyk oznajmił koniec pierwszej połowy. Rozgrywający as rzucił piłkę do sędziego.

– Bo nigdy nie wychodziłem z laboratorium, to dlatego. Po prostu zająłem się badaniami. – Tata postukał mnie w kolano. – Ty żyjesz w prawdziwym świecie.

Orkiestra marszowa ruszyła gwałtownie na środek pola, tuba huśtała się we wszystkich kierunkach. Chłopak w wysokim kapeluszu szarpał struny elektrycznego basu, ciągnięty przez dzieciaka, który pchał na taczce wzmacniacz. Wszyscy razem czynili zadziwiający hałas, ryczeli tak głośno, że można ich pewnie było wyraźnie słyszeć po drugiej stronie Potomacu, jak bomby podczas wojny secesyjnej. Siedzieliśmy z tatą obok siebie, bombardowani przez dźwięki.

Jednak praca w laboratorium całkiem go pochłaniała przez wszystkie te lata, zanim urodził się Clyde. Byłem wtedy jedynakiem i, szczerze mówiąc, większość moich wspomnień związanych z ojcem wiąże się z jego wyjazdami. Pamiętam, jak wychodził rano, mierzwiąc mi włosy podczas pożegnania. Jak

kupował mi gumę do żucia na lotnisku, kiedy go odprowadzaliśmy. Tata w naszym kombi podrzuca mnie i kumpli na tor jazdy na rolkach w Rockville Pike, gdy w niedzielne popołudnie wraca do laboratorium. Oczywiście spędzaliśmy ze sobą długie godziny, kiedy poddawał mnie badaniom i udoskonalał test Lundquista, ale niestety byłem tak malutki, że w ogóle tego nie pamiętam. Furgonetka z Harry's Donuts wjechała na boisko, a dwóch chłopaków, wybranych ze względu na swoją zręczność w rzucaniu, ciskało cynamonowymi ciastkami na trybuny.

– Zobacz – powiedział ojciec – ciągle jeszcze rzucają „łapy niedźwiedzia”.

Ciastko poleciało w naszą stronę.

– Łapcie! – krzyknął ktoś.

– Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy – powiedziałem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Co? Dlaczego? – Wyciągnął się, żeby złapać kolejną „łapę niedźwiedzia” lecącą w jego kierunku, i stracił równowagę. Przechylił się za mocno i potknął na stromych schodach przejścia.

Chciałem go złapać, ale za późno wstałem. Kilka osób już go otoczyło. Usłyszałem niski jęk.

– To mój ojciec – powiedziałem. – Przepuście mnie.

Twarz taty była wykrzywiona z bólu.

– Gdzie wyjeżdżasz? – wyszeptał. – Daleko?

Daleko w dole orkiestra zaczęła grać *Luck Be a Lady Tonight*. Jakaś nastolatka postukała mnie w ramię i wcisnęła mi coś w dłoń.

– Masz moją motorolę. Zadzwoń po pogotowie.



# 16

## LISTOPAD 1999

April Toni Nicholson była najlepszą przyjaciółką w życiu Mirandy. Była to silniejsza, głębsza i bliższa relacja niż ta z Gillian w Nowym Jorku albo z którąkolwiek z dziewczyn ze szkoły. Żeby być przyjaciółką w zatrutej rzeczywistości więziennej, prawdziwą przyjaciółką, trzeba mieć duże poczucie solidarności, potężną mieszkankę miłości i taktu. April dawała to wszystko Mirandzie, a Miranda przyjmowała to z wdzięcznością.

W kwestii pochodzenia łączyło je więcej, niż można przypuszczać. Podczas dni spędzanych na gadaniu, od kiedy Miranda pojawiła się na oddziale, a April zaprzyjaźniła się z nią, odkryły, że obie dorastały w świecie, który wymagał, aby publiczny wizerunek rodziny był tak wypielegnowany jak ogródek przed domem. Ojciec April zaciągnął się do wojska i z wysiłkiem wspinał się po szczeblach kariery w marynarce. Ojciec Mirandy: polityk, który pchał się na urząd. W przypadku obu kobiet ich upadek stanowił katastrofę dla rodziny, ale z dużą różnicą – ojciec April nigdy jej nie wybaczył, a ojciec Mirandy – tak, bo wiedział co nieco o przestępstwach.

Z czasem April pokochała Mirandę jak siostrę.

– Miałam tylko trzech braci, więc jesteś moją jedną jedyną siostrą – mówiła z miękkim zaśpiewem z Pensacoli. Miranda też tak kochała April. Jak drugą siostrę. Na tyle, na ile się odważyła.

Podczas świąt April i Miranda Ignęły do siebie, odkładały na tę okazję kilka nowych magazynów i trochę przysmaków, żeby te dni były choć trochę miłsze. Na Święto Dziękczynienia Mirandzie udało się przygotować w końcu risotto, April załatwiła puszkę sosu z żurawiny i pudełko ciasteczek Lorna Doone. Żadnej z nich nie zależało na indyku. Zgadzały się, że najważniejszy jest sos żurawinowy.

Dlatego było to jeszcze dziwniejsze, że April nie doczekała tego dnia. Dziwne, że uległa pokusie w wigilię święta. Dziwne, że wzięła tyle skryzalizowanej kokainy, że narkotyk doprowadził do drgawek serca. Wywrócił na drugą stronę ten mały woreczek niezbędny do życia.

O świcie w Święto Dziękczynienia była już zimna i coraz bardziej sztywna. W więzieniu cele zostały zamknięte i wszystkie więźniarki miały zakaz ich opuszczania. Kolacja dla strażników została odwołana.

Miranda widziała, jak wywozili April w czarnej plastikowej torbie na ciało, z wydrukowanym z boku napisem NY STATE DOCS i srebrnym grubym suwakiem biegnącym przez środek jak strumień rtęci.

Przez większość kolejnych trzech dni leżała skulona w łóżku, myśląc o elavilu ukrytym w środku wieszaka. Ostatnie przedawkowanie splątało jej duszę i chociaż przyjęła tabletki od

Franka Lundquista, jeszcze nie zaakceptowała jego planu. Nie mogła przełknąć jego pomysłu drugiego samobójstwa. Ale teraz czuła, że się waha. Połknąć je, zasnąć. Zapomnieć cały ten chory pomysł ucieczki. W końcu, może, byłoby dużo łatwiej uciec z tego miejsca we śnie. Na zawsze.

JEDNAK NIE ZROBIŁA TEGO, A W ZAMIAN USŁYSZAŁA SWOJE NAZWISKO WYWOŁANE PRZEZ GŁOŚNIKI:

– Greene do wyjścia numer 3.

Usiadła, wsunęła stopy w adidasy, usłyszała szuranie Carmony, a potem jej kłocowate ciało zablokowało światło.

– Jesteśmy zamknięci, ale mówią, żeby cię wypuścić. Myślisz, że jestem na twoje rozkazy, Panienko, czy jak? – Zasuwy otwarły się z głuchym odgłosem i Carmona otworzyła drzwi. – Nie sądzisz, że mam tu wystarczająco dużo roboty z trupami dziewczyn?

Miranda drgnęła i Carmona zauważyła to. Zniżyła głos.

– Wiem, że była twoją przyjaciółką. Znajdziemy tę, która przynosi tu to gównno. Idź do pokoju wizyt. To musi być ktoś ważny, jak wyciągnęli cię przy zamknięciu.

W pierwszej chwili szaleństwa Miranda pomyślała, że to może być gubernator albo nawet prezydent, który przyszedł, żeby ją ułaskawić. Pobiegła do wyjścia z oddziału, ściskając identyfikator w spoconej dłoni.

Wypadła przez drzwi prowadzące do pokoju odwiedzin. Czekala tam już na odprawę inna więźniarka, ale przy stanowisku nikogo nie było. Gdy podbiegła bliżej, ze zdziwieniem zauważyła, że to Lu.

– Nie jesteś w zamknięciu? – spytała, podchodząc do niej z tyłu. Lu odwróciła się.

– Mimi! – Zamrugła z zaskoczenia oczami. – Czekam na strażnika. Któryś mnie wywołał, nie wiem który. Nie powiedziałaś im, co zrobiłam tej Dorcas, nie chlapnęłaś czegoś, co?

– Oczywiście, że nie – odparła Miranda, wkurzona, że Lu w ogóle podejrzewa ją o coś takiego.

– Wiem, że tego nie zrobiłaś, kochanie. Szaleję z nerwów, bo dlaczego jakiś strażnik chciałby się ze mną widzieć? Och, Mimi, w ogóle to strasznie, strasznie jestem smutna z powodu April. Naprawdę bardzo mi przykro. – Lu pokręciła głową i wydawało się, że brak jej tchu.

Miranda spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

– Nie mogę o tym mówić. Proszę, nie rozmawiajmy o tym.

– Rozumiem, kochanie. Rozumiem. – Lu ścisnęła jej ramię. – Porozmawiamy później. Ale dlaczego wyszłaś z zamknięcia?

– Zawołano mnie na odwiedzin.

– I z tego powodu wypuścili cię z celi? To musi być jakaś gruba ryba.

Miranda wzruszyła ramionami, patrząc ponad ramieniem Lu na Jerrolda Liverwella, który wyszedł z łazienki na drugim końcu korytarza z bramą i skierował się w ich stronę, ściskając w ręku klucze.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. – Idzie nasz strażnik.

ZUPEŁNIE NIE PASOWAŁ DO WIĘZIENNEGO otoczenia. Przycupnął na stanowczo dla niego za małym stołku, przy długim stole, w pustym, zbyt silnie oświetlonym pokoju odwiedzin, ubrany

w szary garnitur tak ściśle przylegający do jego ciała, że wyglądał, jakby był pakowany próżniowo. Gdyby nie siedział obok Edwarda Greena, gdyby nie wiązała go z ojcem, pewnie nie rozpoznałaby go. Kiedy ostatni raz go widziała? Na pogrzebie.

Oczywiście z łatwością przywołała w pamięci jego imię. Pokój w Hiltonie w Pittsburghu, 1976 rok, noc pierwszych wyborów, w których kandydował Edward Greene. Właśnie spływały głosy z liczenia. Greene miał trzydziestopięciopunktową przewagę w Homestead, Greene zagarniał zachodni Mifflin. Miranda i Amy skakały z łóżka na łóżko, odbijając się tak wysoko, że udawało im się musnąć sufit opuszkami palców, a dorośli kłębili się dookoła, obejmując się i rozlewając na dywan gazowane napoje. Barb siedziała przy biurku niedaleko telewizora, przyglądając się sobie badawczo w lusterku i poprawiając makijaż przed wiecem z okazji zwycięstwa. Róż na policzki, tusz do rzęs, puder, szminka. Miranda uwielbiała na nią patrzeć. Ale wtedy zachciało jej się siusiu, więc poszła za róg do łazienki.

Tam zobaczyła, jak ojciec otwiera drzwi prowadzące na korytarz hotelu, gdzie w połyskującym, wyłożonym złotymi dywanami królestwie sunął ten mężczyzna, pucołowaty facet w obcisłym brązowym garniturze, o twarzy miejscami błyszczącej i gładkiej, a miejscami jakby ponacinanej, jak nierozmrożone ciasto. W objęciach trzymał duże pudło.

– Cześć, dobrze cię widzieć. – Ojciec poklepał go po ramieniu i pomógł mu postawić pudło na podłodze.

– Asti spumante. Na ostatnią chwilę mogłem znaleźć tylko to na tym naszym zadupiu – powiedział brązowy garnitur. Spojrzał

w górę i zauważył Mirandę. Puścił do niej oko. – Przepraszam za podwórkową łacinę, cukiereczku.

Jej ojciec odwrócił się.

– Czego potrzebujesz, kochanie? Musisz do łazienki? – Popchnął ją delikatnie w stronę toalety. – Wejź i napij się drinka, Neil – powiedział, zwracając się ponownie do brązowego faceta. – Wiem, że musimy pogadać.

– Później będzie na to czas – odparł mężczyzna. – Dużo się dzieje.

Zanim zamknęła drzwi łazienki, zobaczyła, jak wyciąga rękę i wygładza ojcu krawat.

– Mówiłem ci, że osiągniesz niezłe wyniki, co nie? – powiedział.

Kiedy wyszła z łazienki, już go nie było, a tata paradował, trzymając w każdym ręku otwartą butelkę, asti dla każdego. Amy i Miranda dostały na spółkę kieliszek, napełniony małymi przestraszonymi bąbelkami, które kłuły w język jak szpilki. Wypiły do dna.

Wiele miesięcy później, w domu na Holloway Drive, zobaczyły w telewizji mężczyznę od asti spumante i jasnoniebieskiego samochodu. Złożył ofertę kupna drużyny Steelers, powiedziała kobieta czytająca wiadomości. Nazwała go magnatem.

– Co to jest magnat? – spytała Miranda.

– To znaczy biznesmen – powiedziała Amy. – Należy do niego większa część Pensylwanii.

– Łącznie z kilkoma z jej najwybitniejszych przedstawicieli – dodała matka.

Rok 1978. Znowu kampania w lodowatym zimnie. Mirandzie

nie przeszkadzało to tak bardzo, ale dla Amy to była męczarnia. Upokorzenie bycia wystawioną w okresie dojrzewania na gapiący się tłum, w ubraniach, których nienawidziła, które były, jak mówiła, albo zbyt dziecinne, albo zbyt dorosłe. Machaj i uśmiechaj się, błyskając aparatem na zębach. Dla Amy to było straszne, ale Miranda bardziej martwiła się o ojca. Widziała na jego twarzy krople potu i zauważyła, że czasami publiczność była mniej liczna niż w poprzedniej turze, więc zrozumiała, że tym razem nie układało się zbyt dobrze. Między przemowami koczowali w zimnym, na wpół opuszczonym domu w Pittsburghu.

– Trzy lata temu wystawiony na sprzedaż i ani jednego zainteresowanego – mówiła jej mama za każdym razem, gdy wjeżdżali na podjazd. W śmierdzącym stęchlizną, wyłożonym boazerią pokoju rekreacyjnym, grając ciągle w grę Sorry, Miranda i Amy słyszały wszystko. Ze schodów i przez otwory wentylacyjne dobiegały straszne słowa. Matka z ojcem w kuchni, razem z nimi pan Bloomfield, który zawsze się przy nich kręcił.

– Co się z nim dzieje, Alan? Spójrz na te wyniki.

– Nie ma reklamy, nie ma wyników – mówił już spokojniej pan Bloomfield.

– Dlaczego, do cholery, nie wydusi z siebie chociaż paru docłów? – pytał Edward Greene. – Co ja zrobiłem złego? Myślałem, że jest zadowolony.

– Już ci to tłumaczyłem. Nie o to chodzi, że to ty zrobiłeś coś nie tak. Po prostu ten Denny Hilyard zrobił więcej rzeczy dobrze.

– Co takiego zrobił? – Ojciec teraz już krzyczał. – Laskę mu zrobił? Chryste, ja też uklęknę i mu obciągnę, jeśli tego trzeba.

– Edward. Nawet jakby Potocki wyłożył dziś wieczorem pięćdziesiąt tysiaków, nie masz żadnej strategii. Musisz zacząć myśleć o innych scenariuszach.

– Zadzwoń do niego.

– Nie odbierze telefonu od ciebie, Ed. Już próbowałem, uwierz mi.

A potem, co to był za hałas? Łkanie ojca?

– Nie wracam do Pittsburgha, Eddie – krzyczała matka z furją.

– W Waszyngtonie ma szerokie możliwości – powiedział pan Bloomfield. – Szerokie.

W KTÓRYMS MOMENCIE PO STRACIE JEJ OJCIEC EWIDENTNIE NAPRAWIŁ stosunki z Neilem Potockim. Dwa lata i dwa miesiące później, w styczniu 1981 roku, jedli gulasz wołowy z małych miseczek na jego imprezie w krainie łowów w Wirginii z okazji finału mistrzostw w futbolu. I prawie dziewiętnaście lat później Miranda siedziała naprzeciwko tych dwóch mężczyzn w pokoju odwiedzin w więzieniu w Milford Basin.

– Dobrze wyglądasz. – Potocki słabo się uśmiechnął.

– Pan Potocki się spieszy – powiedział Edward Greene. – Mamy dla ciebie wspaniałą wiadomość.

– Naprawdę?

Potocki skrzyżował ramiona na klatce piersiowej, eksponując zegarek z matowego złota.

– Mam bliskie relacje z gubernatorem tutaj, w Nowym Jorku, kochanie. Twój ojciec przyszedł do mnie i jako stary przyjaciel uważam, że powinienem zrobić, co tylko w mojej mocy.

Miranda wpatrywała się w niego.



– Czy to nie wspaniałe? Ta propozycja pana Potockiego?

– Oczywiście rozumiecie, że nic nie obiecuję. – Głębia pod jego oczami, te fałdy naładowane ciemnymi wiadomościami. – To może potrwać nawet lata. Ale jest mi winien przysługę, ten gubernator.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Miranda z zażenowaniem wierciła się na krześle.

– Nie musisz dziękować, kwiatuszku. – Potocki wstał. Od niechcienia położył dłoń wysoko na ramieniu ojca, prawie na karku. – Wiem, że twój tata zrobiłby dla mnie to samo. Podrzucimy cię na lotnisko, co, Edward? – Zabrał dłoń, wygładził garnitur i poprawił nonszalancko nastroszone popielato-brązowe włosy. – Zostawię was samych.

Patrzyli za nim oboje, jak przeszedł przez pokój odwiedzin, minął zaciekawione spojrzenia strażników, którzy w admiracji zapomnieli dać mu rejestr wizyt do podpisania. Ojciec zwrócił się do Mirandy.

– No i...?

– Nie.

Odsunął się na krześle i zmarszczył brwi, przez dłuższą chwilę patrzył w podłogę.

– Posłuchaj, Mirando – powiedział w końcu. – Twoja siostra umarła bardzo dawno temu. Teraz chodzi o ciebie. Nie rozumiesz, co się dzieje? – Pochylił się do niej. – Marniejesz tu.

Piekące krople spłynęły szybko w dół jej policzków. Otarła je wierzchem dłoni.

– Myślałeś, że się na to zgodzę?

– Wydawałoby się, że nie jesteś w położeniu, w którym można

trzymać się zasad. – Wzrok Edwarda Greene’a omiół ponure wnętrze, ten mroczny punkt na ziemi, w którym znajdowali się teraz razem. – Posłuchaj rozumu, Mirando. Bądź pragmatyczna.

– Tak jak ty? – Jej serce skurczyło się z bólu.

– Tak. – Usiadł z powrotem, dalej od niej. Jego twarz stała się niewyraźna ze znużenia. – Tak jak ja.

Właśnie wtedy zawołał go strażnik.

– Proszę pana, kierowca mówi, że odjeżdżają.

– Idź – powiedziała, wycierając łzy, tak lepkie i gęste, że kleiły się jej do rąk jak żywica.

MIRANDA ZNOWU STANEŁA PRZY OKNIE W POKOJU TELEWIZYJNYM. Wiewiórki April tak samo skakały wokół młodego dębu. Nie widziała ich.

Zamiast wiewiórek – widziała ojca, był rok 1978. Przed mową kandydata przegrywającego wybory, chodzącego w tę i z powrotem obok hotelowego okna, rzucającego przekleństwami na bezładny Pittsburgh, z koszulą wyciągniętą ze spodni, podczas gdy matka Mirandy bezskutecznie usiłowała wygładzić mu zagniecenia na marynarce i dzwoniła do obsługi, żeby przynieśli żelazko.

Zamiast wiewiórek – April. Zerkającą na wózek z pocztą za każdym razem, kiedy pojawiał się w zasięgu wzroku, szlochającą przy dźwięku starych hymnów podczas niedzielnej mszy. Kiedy Miranda wróciła z wizyty, ktoś na oddziale powiedział jej, że podobno rodzina April odmówiła przyjęcia jej ciała. Dziewczyny szeptały między sobą, że była przechowywana w rządowej chłodni.

Zamiast tego – Frank Lundquist. I Neil Potocki.

Wróbel, który przysiadł na parapecie na zewnątrz, wyczuł jej

obecność przez szybę, spłoszył się i odleciał.

Wtedy zobaczyła rzekę Oshandagę. Most, nieco koślawy dwupasmowy most trzy mile od Candory. Oświetlony przez pojedynczą, ledwie świecącą, przyciągającą ćmy latarnię. Jadący powoli samochód zatrzymał się na nim. Nie mogła pojąć, czego właśnie stała się świadkiem, co właśnie zrobiła. Wtedy spojrzała na siedzenie obok. Pistolet. Podniosła go, poczuła w dłoni ciężar i szorstki, chropowaty dotyk metalu. Tani pistolet z przeceny, jak sądziła. Wyślizgnęła się z samochodu. W kompletnej ciszy rozlegało się cykanie świerszczy. Podeszła do barierki na moście i wychyliła się. Nie patrzyła już, kiedy wypuściła to z ręki, ale w sercu usłyszała – plum – i zauważyła malutką białą przerwę, jak maciupieńki kwiatek rozkwitający przelotnie w ciemności pod jej stopami.

Wróciła do samochodu i oparła się o maskę, twardą i zimną w nocnym powietrzu. Czują gorąco dnia zmagazynowane w chodniku pod stopami, wsączało się w podeszwy jej stóp. Stała tam, jednocześnie chłodzona i rozgrzewana, i czekała na to, co się stanie później.

# 17

## NIE UTRZYMYWAĆ INTYMNYCH KONTAKTÓW SEKSUALNYCH Z PACJENTAMI

(Zasada 10.50)

Okazało się, że tata był posiniaczony i miał starty naskórek, ale sanitariusz z pogotowia opatrzył go na miejscu i podwiózł nas do domu. Żadna kość nie była złamana. W karetce tata był milczący, ponury, zawstydzony pozbawiającym go godności upadkiem ze schodów trybuny na oczach tłumu. No i w końcu nie zobaczyliśmy, jak as wśród rozgrywających wykonuje udane podanie do przodu.

Irma bardzo się zdenerwowała tym wypadkiem. Kuchenne zapachy w domu uderzały do głowy. Nagotowała na tuzin osób. Usiedliśmy we troje przy stole w kuchni. Pokrywający go laminat w żółtą kratę wyblakł już, ale nadal stwarzał radosny nastrój, nad głowami wisały dobrze znane szklane klosze, jak zwykle połowa żarówek była przepalona. Parującego indyka i dwa placki poprzedzało chyba osiem czy dziewięć innych dań.

– Boże, dziękuję, że nie pozwoliłeś mi zabić się, kiedy sięgałem po ciastko – powiedział tata, pochylając głowę nad wyładowanym jedzeniem talerzem. – I tak tylko zepsułoby mi apetyt.

– Amen – odpowiedziałem.

– Zrobiłam ci tę zapiekankę z serem – odezwała się do mnie Irma. – W ostatniej chwili.

– Za to właśnie cię kocham. – Naładowałem sobie na talerz wszystkie obrzynki mięsa.

– Nie kłam. – Spłonila się.

Po kolacji pozmywaliśmy z tatą naczynia, a Irma spakowała niezjedzone jedzenie do przenośnej lodówki i nalegała, bym zabrał ją ze sobą do Nowego Jorku.

– Nieważne, czy to zjesz, możesz oddać bezdomnym. Po prostu nie zniosłabym widoku psującego się jedzenia w lodówce.

Podreptała do sutereny, swojego ulubionego miejsca, gdzie haftowała, słuchając Peggy Lee.

My z ojcem poszliśmy do gabinetu. Tata wywracał wszystko do góry nogami, szukając swojej fajki i tytoniu.

– Nie palę już w ogóle, tylko w święta narodowe – powiedział, siadając przy biurku, otwierając szuflady i przetrząsając ich zawartość.

Klapnąłem na szeszlony i jęknąłem. Kiedy się tak zestarzałem, żeby jęczeć przy siadaniu, jęczeć, jak to robią wszyscy mężczyźni w średnim wieku w całej Ameryce, gdy poddają się sile grawitacji, opadając na miękkie siedzenie po kolacji w Święto Dziękczynienia. Nad moją głową ciągnęły się półki napakowane zabawkami testowymi, które wprawiały mnie w zakłopotanie i urzeakały, gdy byłem dzieckiem, stopy drewnianych krążków i kostek, które trzeba było układać według rozmiarów i kolorów, plastikowe dynksy do ćwiczenia wyobraźni przestrzennej z nietoksycznymi kolorowymi

uchwyty, stosy fiszek z obrazkami przedstawiającymi ludzi o nijakich twarzach podczas niejednoznacznych działań. Teraz stanowiły relikty z poprzedniej epoki. Obecnie testowanie odbywa się na komputerze.

Jego stary aparat fotograficzny Pentax razem z kanciastym fleszem zajmował dolną półkę. Używał go do dokumentacji moich sukcesów w rozwiązywaniu zadań. Robił mi zdjęcia dla potomności, uważał mnie za geniusza. Myślał, że te zdjęcia kiedyś będą miały jakąś wartość jako dowody naukowe. Wziąłem aparat do ręki – był w nim film. Gdy ojciec z dolnej szuflady wyłowił fajkę z drzewa orzechowego razem z woreczkiem tytoniu Black Watch, postawiłem aparat na półce naprzeciwko biurka i włączyłem czasomierz. Nacisnąłem przycisk samowyzwalacza i pospieszyłem do biurka. Ukucnąłem obok niego.

– Co robisz, Frank, do cholery?

– Na pamiątkę. Uśmiechnij się.

Kliknięcie. Błysk flesza. Tata odwrócił się do mnie. Nasze twarze dzieliły centymetry.

– Powiesz mi, dokąd jedziesz, synu?

Powiedzieć mu? Co mu powiedzieć? Czuję placek z dyni i kawę w jego oddechu. Jego niebieskie oczy nieco zamglone, powieki ciut obwisłe. Na czole skóra cienka jak chusteczka jednorazowa pokrywała wydatne żyły. Dlaczego czuję niezbitą pewność, że nie zobaczę go już żywego, gdy wyjadę? Ta myśl mną wstrząsnęła. Odsunąłem się od niego gwałtownie i wstałem.

– Tato, żałuję, że nie byłem... lepszy.

– Wszyscy tego żałujemy, do cholery. – Patrzył na mnie

z zakłopotaniem i potrząsał głową. – Martwisz mnie, Frank. Gdyby ktoś cię posłuchał, mógłby pomyśleć, że masz zamiar skończyć ze sobą.

– Zabić się?

– Tak, mówisz jak szaleniec, taka jest moja opinia specjalisty.

Uśmiechnąłem się i położyłem mu dłoń na głowie. Rzadkie włosy, miękkie i białe jak puch dmuchawca.

– Nie martw się, tato. Z pewnego punktu widzenia nigdy nie byłem bardziej radośnie nastawiony do przyszłości.

Rzucił mi gniewne spojrzenie.

– A to co ma znaczyć, do diaska?

– Wracam dziś do Nowego Jorku. Muszę.

– Dopiero co przejechałeś taki kawał w tę stronę.

– Musiałem się z tobą zobaczyć. Bo cię kocham, tato.

– Po prostu musiałeś mnie zobaczyć – wymamrotał. Zapalił fajkę i ssał cybuch, wciągając policzki do środka. Jego twarz zniknęła na chwilę za zasłoną z mglistego dymu.

– No to do widzenia, Frank. Nie lubię tajemnic. Do widzenia.

POSUWAŁEM SIĘ W KORKU CENTYMETR PO CENTYMETRZE w górę wielkiego zbocza Verazano. Wjechałem na wierzchołek w samą porę, żeby zobaczyć błyszczący srebrny dym nad Brooklynem w niknącym zimowym świetle. Zmierzałem do parku Sunset, żeby w końcu spotkać się z Jimmym.

Wieczorne zimno dokuczało dzielnicy, w której mój brat zabunkrował się z narkomanami. Malutkie domy z cegieł, z aluminiowym sidingiem, przycupnęły blisko siebie w cieniu szosy. Wędrowne puszki ze śmietników toczyły się wzdłuż

krawężników, turlane przez wiatr znad zatoki. Na rogu obok domu Clyde'a aparat telefoniczny wyrzucił swoje wnętrzności na chodnik, a słuchawka dyndała jak powieszony przestępca.

Tym razem drzwi otworzyły się natychmiast, gdy zadzwoniłem. Pojawił się w nich wychudły brązowy facet, posyłając mi bezzębny uśmiech.

– Dobry wieczór, przyjacielu – powiedział.

– Muszę zobaczyć się z Clyde'em Lundquistem. Jestem jego bratem.

– Brat Clyde'a! Wchodź, bracie Clyde'a. – Wpuścił mnie do ciemnego korytarza śmierdzącego przypaloną zupą, a stamtąd do dużego pokoju, który kiedyś stanowił salon szeregowego domku. Ostatnie kawałki misternej sztukaterii trzymały się podziurawionego sufitu jak skrawki koronki na podartej koszuli nocnej.

Zawartość dużych pudeł została rozwleczona po całym pomieszczeniu, a załoga domokrażców buszowała w tym bałaganie, pakując się na kolejny dzień: beznamiętni mężczyźni i kobiety przekopywali się przez niebieskie i różowe pluszowe dinozaury, napełniali worki na śmieci aksamitnymi opaskami na włosy. W jednym rogu zauważyłem Jacksona. Przeglądał sterty nienadmuchanych balonów w kształtach postaci z ostatniego hitu Disneya, oczywiście wyprodukowanych bez licencji. Spojrzał znad swojej sterty i zauważył mnie.

– Niech Bóg błogosławi głupiego Króla Lwa, co nie, Doktorku?

– Zaśmiał się. Więc i ja się zaśmiałem. Nie spałem od dwóch dni. Świat zrobił się nieco rozchwiany na krawędziach.



– Gdzie ten Clyde? – Mój bezzębny odźwierny wychynął zza moich pleców.

– Pewnie na górze – powiedział Jackson. – Rozejrzyj się, bracie Clyde’a. Nie przejmuj się niczym.

Jego słowa przyniosły mi głębokie pocieszenie.

– Powodzenia z balonami – powiedziałem i poszedłem za szkieletem na schody, stawiając długie kroki tam, gdzie brakowało stopni. Ze ścian płatami odchodziła tapeta w purpurowe róże. Weszliśmy do pokoju na tyłach domu, gdzie okrągłe łoże służyło za stół do sortowania zapakowanych w plastikowe torby skarpetek i koszulek. Nad łóżkiem pochylało się z pięć osób, między nimi byli Clyde i Francie.

Ona pierwsza mnie spostrzegła.

– Hej, zobacz, to Frank! – wykrzyknęła.

Clyde wyprostował się i uśmiechnął się do mnie, trzymając w jednym ręku paczkę skarpetek, a w drugim – torbę na zakupy. Sześć stóp faceta złożonego z ostrych kątów, żeber i obojczyków poskładanych w całość pod wytartym T-shirtem.

– Jak było w dzień indyka? Co u Erskine’a?

– Świetnie, świetnie – odparłem. Ponad ich głowami zobaczyłem Jimmy’ego, który wyskoczył niczym korek z przylegającego pokoju, wściekły.

– Co to za pajac? – zażądał odpowiedzi.

Clyde zaczął mu przypominać przymilnym tonem, że mówił mu o swoim bracie, tym, który ma sprawę. Facet był ode mnie niższy chyba o półtorej stopy. Ale i tak był dość przerażający. Głowę miał jak maczuga.

– Dzieciaki pracują – powiedział chłodno, wskazując Clyde’owi ruchem głowy górę skarpet. Brat posłał mi szybki zachęcający uśmiech, w którym można było zauważyć lekkie zaniepokojenie. Jimmy zaprowadził mnie do pokoju obok, sypialni, w której tłoczyły się zatęchłe, nieposłane łóżka piętrowe. Cztery poziomy pięły się wysoko w górę, do pomalowanego na czarno sufitu. Okna również zostały zamalowane na czarno, jedyne światło pochodziło z dyndającego abażuru w koniki na biegunach.

Jimmy opadł na dolne łóżko i gestem wskazał mi sąsiednie.

– Jak chcesz zabrać dzieciaka, nie będę cię powstrzymywał – powiedział. – Sam wróci do mnie najdalej za tydzień.

– Nie chodzi o Clyde’a. To znaczy, myślę, że masz rację. To on musi chcieć być czysty.

– Jesteś bystrzejszy od innych – powiedział, potakując. Westchnął. – Wiesz co, poza tym to uwielbiam tego dzieciaka. Dobry z niego chłopak, jak to się mówi. – Uśmiechnął się do podłogi. – Do tego jest przystojny. My z żoną mamy same dziewczynki. Agata uwielbia Clyde’a. Dużo o nim rozmawiamy, szkoda, że to pieprzony narkoman. Bo mógłby stać się czyjś synem.

– Tak. – Pokiwałem głową.

– A więc jesteś jego bratem. Czego chcesz?

– Hmm, potrzebuję pistoletu, tylko pożyczyć, jeśli to możliwe.

– Pożyczyć ci pistolet? – Uśmiechnął się szeroko, opierając gruby policzek na dłoni. – Jezu Chryste. Co masz zamiar zrobić, obrabować bank? Potrzebujesz kasy?

Usiłowałem uspokoić oddech, powstrzymać nerwowy skurcz

w oku, spowodowany brakiem snu. Musiałem sprawić, żeby ten gangster uwierzył we mnie.

– Szczerze mówiąc, mam zamiar umożliwić komuś ucieczkę z więzienia. Potrzebuję też dokumentów, paszportów. Może znasz kogoś?

Spojrzał wtedy na mnie z uniesionymi brwiami. Oparł się na łokciach na łóżku. Przez dzielącą łóżka ciemność, znad niewielkiego łuku brzucha, patrzył na mnie oceniająco.

– Nie załapałem, jak się nazywasz – powiedział w końcu.

– Frank Lundquist.

– Franku Lundquicie, powiedz mi, dlaczego chcesz to zrobić.

– To długa historia – odparłem.

– Homer był jebanym Macedończykiem, Frank. Długa historia to nie problem dla Macedończyka.

Zostałem na kolacji – smażony ryż z chińskiego baru z kuloodpornymi szybami na rogu – a Jimmy w tym czasie krytykował i doprowadzał do perfekcji mój plan. Wyszedłem stamtąd pod głębokim wrażeniem jego pomysłowości. Gdy wróciłem do domu, wślizgnąłem się do łóżka obok kota. Miauknął i wyciągnął się, pokazując mi swój obrzydliwy brzuch. Podrapałem go przez chwilę, a potem zapadłem w sen jak rozbitek wyrzucony na brzeg.

BIAŁY MINIBUS JIMMY'EGO PRZETOCZYŁ SIĘ UKRADKIEM OBOK MOJEGO DOMU o siódmej rano w niedzielę. Posadził mnie obok siebie, z przodu. Rozwieźliśmy jego niewolników po opuszczonym Manhattanie, a potem, jak zostawiliśmy ostatnią, delikatnie wyglądającą dziewczynę z tobołkiem pluszaków na

Washington Heights, podjechał do odrapanego małego domku niedaleko mostu Whitestone. Był to swego rodzaju sklep specjalizujący się w przemycałej z Jugosławii, nierejestrowanej broni. Tam doradził mi zakup małego rosyjskiego rewolweru służbowego. I trochę amunicji.

– Nie ładuj go – powiedział. – Nie będziesz go musiał użyć, jeśli mnie posłuchasz. Nie będzie takiej potrzeby, Frank.

Potem wlekliśmy się przez popołudniowe korki, minęliśmy lotnisko LaGuardia i dojechaliśmy do otynkowanego na biało bunkra w East Elmhurst. Jeśli wierzyć szyldowi wiszącemu krzywo na frontonie, była to restauracja zwana Nove Skopje. W środku, nad rzędami opuszczonych stolików i pustych krzeseł zwisały guzowate kule z bursztynowego szkła. Przez jedną ścianę ciągnął się mural ukazujący wieśniaczki z grubymi brzuchami przy dojeniu kóz. W każdym razie tak mi się wydaje, że to były kozy, równie dobrze mogły to być psy.

Młody wąsaty mężczyzna wychynął z kuchni, wycierając palce w fartuch, który wyglądał, jakby był poplamiony smarem. Jimmy rozmawiał z nim w ich kaleczącym narządy mowy języku. Mężczyzna przytakiwał.

– Pięć pięćset – zwrócił się do mnie. Mówił z silnym akcentem.  
– Dwa paszporty kanadyjskie.

– Ten facet jest najlepszy na rynku – powiedział Jimmy. – To diament. W zeszłym tygodniu zamienił pierwszoligowego Rosjanina w Meksykanina.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Z pierwszoligowymi Ruskimi nie ma żartów.

– Jeśli nie chcesz stracić dłoni. – zachichotał Jimmy.

– Zrobimy wam zdjęcia, kiedy przyjedziesz tu z damą, paszporty dostaniecie po godzinie. Nie ma problemu – znowu zwrócił się do mnie kolega Jimmy’ego.

Kiedy zęgnalem się z Jimmym przed swoim domem, objął mnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi.

– Ty i twój brat – powiedział. – Dwóch fajnych chłopaków.

À propos, sprawdziłem to później. Homer nie był Macedończykiem.

W NASTĘPNY PONIEDZIAŁEK PRZEKROCZYŁEM KOLEJNĄ GRANICĘ z M. Etyka profesjonalna, zgodnie z którą dotąd żyłem, z czego nawet byłem dumny, teraz stała się odległą abstrakcją. Zbiorem praw martwej cywilizacji.

Najpierw po prostu rozmawialiśmy, jak zwykle. O śmierci jej przyjaciółki April, która złamała jej serce. O odwiedzinach ojca i jego partnera biznesowego, który mógłby wpłynąć na gubernatora. Dla mnie wiązało się to ze skomplikowaną sekwencją emocji: ułaskawienie stanowiłoby dla niej ratunek, ale jednocześnie odsunęłoby ją ode mnie.

– Nie mogę – wyszeptała wtedy i pochyliła głowę. – Nie mogę przyjąć przysługi od tego mężczyzny. Już wolę inne rozwiązanie.

Przyznaję. Oczywiście, to jest problematyczne. Ale to prawda. Mój mechanizm psychiczny w tym momencie został zalany falą zadowolenia. Zatem ona też to widziała: koniec końców, moja propozycja była aktem idealizmu.

– Ale tak się boję – powiedziała M.

– Plan jest teraz dokładnie opracowany, prosty, i wiem, że wszystko pójdzie dobrze.

– Ale czy wiesz, dlaczego to robisz? – Podniosła na mnie wzrok i studiowała moją twarz. – To znaczy, czy jesteś pewien? Bo ja nie mam nic do stracenia, ale ty masz.

– Nie tak wiele, jak sądzisz.

Długa minuta analizy.

– A co, jak się uda, a ja potem cię zostawię? Musiałeś się nad tym zastanawiać.

– Działam z nadzieją.

Kąciki jej ust opadły w dół. Może ze smutku.

– A co, jak wezmę tabletki i mnie nie znajdą? Co jeśli się spóźnię z odliczaniem? Umrę.

– Musisz dobrze to rozegrać w czasie, M. Zrób tak, jak planowaliśmy. Tabletki nie zabiją cię przez pięć–sześć godzin. Masz zapas czasu. – Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco.

Wpatrywała się we mnie i obgryzała paznokcieć.

– No, nie wiem – powiedziała, jakoś bardziej miękko, ciszej. – Może powinnam rosnać tu, gdzie mnie posadzono.

Przytaknąłem.

– Mogę tu zrobić trochę dobrego. Znaleźć jakiś cel w życiu. A potem, może to ułaskawienie...

Wydałem jakiś niezobowiązujący dźwięk. Byłem niespokojny, wstałem z krzesła. Pochodziłem przez chwilę po gabinecie. Obszedłem biurko i zatrzymałem się przed nią.

– Mogę się tobą opiekować.

– Sama się mogę sobą zająć.

– Oczywiście! – Chwyliłem jej dłonie i przyklęknąłem. – Oczywiście, że możesz i że to zrobisz. – Zacząłem ją przytulać,

powodowany nagłą pilną potrzebą i falą czułości wziąłem ją w ramiona. Na początku była cała sztywna, ale po chwili zaczęła się do mnie tulić. Czulem, jak jakieś miękkie ciepło rozchodzi się między jej łopatkami i wzdłuż kręgosłupa i pewnie moje serce waliło jak dzwon, aż echo odbijało się w klatce piersiowej.

Atmosfera stała się podniosła.

– Na wolności będzie ci dużo lepiej.

– Jestem w rozterce.

Jej jedwabista siła.

– Za tydzień możesz już być daleko stąd.

Czulem, jak kiwa potakująco głową, pocierając czołem moją koszulę. Uniosłem jej twarz ku mojej. Pocałowałem ją. Wtedy odsunęła się ode mnie, ze zmierzwionymi włosami i zaróżowioną twarzą.

– Cokolwiek postanowisz, uszanuję twoją decyzję – powiedziałem. – Lekarze od czubków mają takie powiedzenie: wybór to władza.

– Wybór to władza – wyszeptała. I podeszła do drzwi.

Podążyłem za nią. Zanim nacisnęła klamkę, położyłem dłoń na jej nadgarstku.

– Wszystko jest załatwione, M., od teraz czekam tylko na twój sygnał. Ty dasz znak do rozpoczęcia.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę.

– Teraz faktycznie twoje nazwisko coś mi mówi – powiedziała.

– Chciałabym pamiętać cię lepiej.

– Przypomnisz sobie.

# 18

## GRUDZIEŃ 1999

Pas Oriona przypominał bardziej diadem, otaczając półkoroną starą wierzbę na odległym krańcu pasma żwiru. Jakże jasna była ta noc i jak ciemno było tu, gdzie siedziała, czekając. Tej nocy za remizą strażacką w mieście Candora w stanie Nowy Jork gwiazdy traktowały swoją pracę poważnie. Świeciły tak, jakby miały do rana całkiem się wypalić.

Miranda siedziała w samochodzie, powtarzając sobie, że musi się uspokoić. Starła się to zrobić, uważnie obserwując otoczenie. Na parkingu światło gwiazd odbijało się w długich czarnych kałużach. Samotna żaba zarechotała na zarośniętym chwastami skraju żwirowej ścieżki. Zgadywała, że w niewielkim parowie płynie mały strumyk. Kontener na śmieci, trzy opony rzucone na kupę. Słabe czerwcowe powiewy łaskotały starą królewską wierzbę. Jak się tu znalazła? Jak mogła mu pozwolić, żeby ją tu przywiózł?

Żaba umilkła. Najlepsze wytłumaczenie, jakie udało jej się wymyślić: poważny błąd systemu. Coś nie działało prawidłowo w mechanizmie jej duszy.

I zepsuło się już dawno temu, daleko od tej szepczącej,



otoczonej koroną gwiazd wierzby.

W jakimś lodowatym miejscu pod bladym niebem.

Nie płacz. Nie waż się teraz płakać. Już dawno za późno.

Silnik zamruczał posłusznie, samochód przycupnął obok ściany z pustaków, tylnej ściany jednopiętrowej remizy. Z małego okienka wyciętego w litych metalowych drzwiach, przez które miał wyjść Duncan, na samochód padało światło. Żółte, radosne światło. Utworzyło równoległobok na masce białego samochodu z wypożyczalni.

Wtedy usłyszała łomot. Kolejne uderzenie. Dwa głuche odgłosy zapowiadające nieodwołalność. Długo siedziała z sercem walącym tak mocno, jakby chciało wyrwać się z ciała i w podskokach dolecieć do chwastów i drzew na końcu drogi, i spocząć tam między żabami. Nic się nie działo. Nikt nie wybiegł przez drzwi. Duncan.

Wysiadła z samochodu. Zajrzała przez kwadrat żółtego światła, okienko wycięte w metalu. Zobaczyła szare stalowe biurko, półki uginające się pod papierami, sterty pomarańczowych pacholek drogowych, komplet mopów, jaskrawożółte kaski zwisające z rzędu haczyków. Dostrzegła nogę w dżinsach i stopę w zniszczonych brązowych butach. Stopa drgała.

Otworzyła na oścież ciężkie drzwi i wbiegła do środka. Wtedy zobaczyła pistolet. Leżał na skraju biurka, jak przycisk do papieru, jak pamiątka, czarny pistolet, który po raz pierwszy zobaczyła w pokoju motelu. Czy to było zaledwie dwadzieścia minut temu? Dwadzieścia minut, dwadzieścia lat, nieważne, nieważne.

Podniosła go. Chwyciła go instynktownie. Widziała to przez całe

życie, każdy to widział. Palec na spuście. Wymierzyć.

Pistolet zaczął drżeć w jej dłoni.

TRZY DNI PO jej OSTATNIEJ W ŻYCIU SESJI Z FRANKIEM LUNDQUISTEM zimowy deszcz lał się z nieba. Srebrne strzepy zwisały z okapów budynków 2 A i B. Podczas rekreacji zagonili wszystkich do sali gimnastycznej. Miranda wycofała się na trybuny przy ścianie, pod gigantycznym malunkiem tęczy i połyskującej amerykańskiej flagi.

Lu klapnęła ciężko na ławkę przed nią, dysząc trochę po meczu piłki ręcznej.

– Cześć, Mimiszka – powiedziała. – Gdzie się ostatnio podziewasz? W ogóle cię nie widuję.

– Zawsze się gdzieś kręcę. Po prostu nie jestem ostatnio bardzo towarzyska.

– Nie trzeba być zaraz towarzyską, żeby porozmawiać z przyjaciółką. – Lu schyliła się i wytarła niewidoczną smugę z nieskazitelnie białych adidasów. Spod rękawa sweterka wysunęła się złota bransoletka z zawieszka w kształcie serduszka. Miranda wpatrywała się w nią.

Lu zauważyła jej spojrzenie i uśmiechnęła się, szeroko otwierając oczy.

– Tak. Dała mi to przed śmiercią, nasza słodka April.

Miranda zamrugła oczami z niedowierzaniem.

– Więc myślisz, że wiedziała, że umrze? – Nie mogła pogodzić się z tym, że April dała bransoletkę Lu, a nie jej.

– Kto wie? Czasami była dziwna. – Lu zsunęła bransoletkę niżej na nadgarstek i spojrzała na nią z namysłem. – Ładna –

powiedziała, obracając serduszko. – Chyba osiemnastokaratowe złoto, ale ładnie wygląda.

Serduszko leżało na jej dłoni tyłem do góry. Dedykacja została zeszlifowana. Miranda poczuła, jak jej serce zamienia się w lód.

– Zamówię sobie z QVC pasujący łańcuszek. Słyszałaś, że na oddziale D mają teraz kablówkę? – Lu wstała i spojrzała na Mirandę, posyłając jej swój najbardziej urzekający uśmiech. –

Musimy częściej się spotykać, Mimi. Wpadnij jutro do mnie z wizytą, dobra? Zrobię ci paznokcie, lakier całkiem ci już podpryskiwał.

Położyła lekko dłoń na głowie Mirandy.

– Jesteś wspaniała, wiesz, że cię kocham, prawda?

Miranda zmusiła się do uśmiechu.

– Jasne.

Lu pobiegła w odległy kraniec boiska do Dorcas Watkins, kozłując niebieską piłką i patrząc na nią wyczekująco. Rozmawiały o czymś z zaangażowaniem, odbijając od niechcienia piłkę między sobą. Pod koszem odbywała się zacięta walka, z głośnika przy stacji strażników głośno dudnił hip-hop, więc nikt nie słyszał, co do siebie mówiły. Miranda przypatrywała im się przez dłuższą chwilę.

W końcu Lu skinęła głową i podała piłkę do Dorcas, po czym podeszła do wyjścia z sali gimnastycznej. Wysoki strażnik odblokował drzwi i wypuścił ją. Kiedy odwrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi, jego twarz mignęła Mirandzie w ramce podłużnego okienka w drzwiach. Jerrold Liverwell.

VERWIRRT. TO SŁOWO WRÓCIŁO DO NIEJ TERAZ, A POZNAŁA

JE NA NIEMIECKIM W LICEUM. Zapomniała większość z tego, czego uczyła się na lekcjach, ale to zapamiętała. *Verwirrt*: kompletnie zdezorientowany, zbity z tropu, ale też spanikowany, z groźbą unoszącą się w powietrzu. Zaniepokojony, przestraszony, ale niewiedzący dlaczego.

Zajęła swoje miejsce w kolejce, gdy zaczęto zaganiać dziewczyny z sali gimnastycznej z powrotem na swoje oddziały. Jak zwykle pełno było przy tym przepychania, trącania się łokciami, trajkotania i narzekania, ale Miranda na to nie zważała. Usiłowała zrozumieć to, co właśnie zobaczyła.

– Dziewczyny, będziecie się zachowywać jak dzieciaki czy jak damy? – ryczała Beryl Carmona, gdy jej grupa przechodziła przez drzwi. – To zależy od was, więc się zdecydujcie.

Miranda podryfowała wzdłuż korytarza do swojego pokoju. W wyfroterowanej podłodze odbijały się paski fluorescencyjnego światła, ściany były poprzecinane drzwiami umieszczonymi w identycznej odległości, i jeszcze pustaki – wszystko zbiegało się w jednym punkcie perspektywy.

Weszła do celi, usiadła na łóżku i próbowała wszystko przemyśleć. *Verwirrt*.

Odwróciła się i wpatrzyła w prostokąt nieba, szukając tam pocieszenia, jak wiele razy przedtem. Ale nadal padał deszcz ze śniegiem, okno pokazywało tylko szare punkciki – jak zepsuty telewizor.

Zaczęła się wtedy rozglądać po swojej celi, widząc wszystko jakby po raz pierwszy: łuszcząca się farba na metalu, beton, plastikowa zasłona ze smugami brudu. Przez cały korytarz włókł się smród: tanie perfumy i silnie działające środki do stylizacji włosów,

przesycona pleśnią para z łazienki, smażona cebula z kuchni. I głosy: strofujące, mrużące, piszczące, nucące. Dochodziły zewsząd, wypełniały całą przestrzeń niezadowoleniem, nudą i smutkiem.

Siedziała tak przez dłuższą chwilę, a w głowie przemykały jej myśli, całe tabuny. Wyławiała je i podążała za nimi, jakby obserwowała samoloty przelatujące nad horyzontem.

Frank Lundquist, który czekał na sygnał. Jego objęcie, które obudziło w niej więcej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać. Nawet teraz, w tym momencie, czekał na telefon w swoim mieszkaniu. Wyobrażała sobie jego lokum: używane kanapy i krzesła odziedziczone po kimś, nierówne stare ściany Upper West Side pokryte warstwami farby pamiętającymi całe dziesięciolecia.

Ale nie. To były wspomnienia z mieszkania Gillian. Śnieżna cisza tamtej nocy, gdy odbywało się przyjęcie urodzinowe.

„Mirando. Musisz teraz stać się inną osobą. Inną, nie tą samą. Nie tą, którą byłaś tamtej śnieżnej nocy. Nie tą samą, którą byłaś w czarnym tunelu miłości, pożądania czy czego tam jeszcze w dniach i miesiącach, które po niej nastąpiły. Ten tunel zaprowadził cię do Candory.

W Candorze ostatni raz działałaś bez swojego planu. Według planu mężczyzny.

Bądź inna, nie taka sama”.

Miranda opuściła zasłonę prywatności. Zdjęła żółty szlafrok z białego plastikowego wieszaka, złożyła go i położyła na podłodze. Zniżyła się na łóżko, umieściła wieszak na brzuchu i odkleiła kawałek taśmy, który sklejał go w miejscu, gdzie został podzielony

na pół. Taśma odkleiła się z łatwością.

Trzeba zniszczyć tabletki. Rozgniecie je, a potem spuści proszek w toalecie.

Potrząsnęła wieszakiem. Tabletki nie wypadły.

Zajrzała do środka. Pusto. Zniknęły.

ZACZAŁ SIĘ APEL O SZÓSTEJ. SŁYSZAŁA, JAK CARMONA NADCHODZI KORYTARZEM, wywołując dziewczyny, żeby stanęły przed swoimi celami, żartując i besztając je podczas odliczania. Miranda zrobiła, czego od niej wymagano: stanęła przed celą, gapiąc się w korytarz.

Pożegnała się z Frankiem Lundquistem, który ciągle czekał na jej telefon. Jego bezpretensjonalny sposób bycia, jego oczy koloru wzburzonego morza. Zdolny zaryzykować wszystko, żeby ją ocalić, opróżnić całkiem swoje życie w nadziei ponownego napełnienia go sensem razem z nią.

Nigdy nie kupiła jego absurdalnego planu. Nie naprawdę. Wiedziała, że się nie powiedzie, w ten czy inny sposób.

A potem, z jeszcze większym smutkiem, pożegnała się z wymyśloną przez Franka Lundquista wersją Mirandy Greene. W jego oczach nie była więźniarką numer 0068-N-97, nie była upokorzonym zerem. Dla niego była Mirandą. Wartą miłości, wartą zaryzykowania wszystkiego, trzydziestodwuletnią kobietą, która wyrosła z dobrze wychowanej, życzliwej dziewczyny używającej czereśniowego błyszczyka i chodzącej w połatanych dżinsach. Nie tylko polubiła tę Mirandę Franka Lundquista. Przywiązała się nawet do niej.

Ale teraz stworzy swoją własną wersję. Albo przetworzy, bo

oczywiście już kiedyś wymyśliła swoją Mirandę i żyła jej życiem.

Choć może jednak nigdy tego nie zrobiła.

Tak czy inaczej. Popracować nad apelacją. Przestać naruszać przepisy. Wyznaczyć własną ścieżkę, a potem nią podążać. Sama.

– Moore, apel. Wstawaj. – Carmona stała teraz przed całą naprzeciwko. Jak zwykle Weavy leżała na swoim łóżku. Zawsze po kolacji uciniała sobie drzemkę. Ta kobieta spała snem spokojnym i głębokim, jak stara, poddana erozji góra na cienkim łóżeczku. Zapadała w sen, gdy tylko zachodziło słońce, jak jakaś istota z epoki przedindustrialnej. Miranda często się nad tym zastanawiała: dziennie pewnie uzbierało jej się z osiemnaście godzin przez cały ten czas, kiedy była w celi.

– Moore! – ryknęła Carmona. – Wstawaj! Już!

Żadnych ruchów. Zatruta myśl wślizgnęła się do umysłu Mirandy przez jakąś cienką jak igła szczelinę.

Carmona wyciągnęła kółko z kluczami przypięte łańcuchem do biodra i włożyła jeden z nich w zamek u drzwi Weavy. Otworzyła je szeroko i weszła do celi, kopiąc po drodze płachty papieru ściernego. Weavy leżała twarzą do ściany. Carmona złapała ją za ramię i potrząsnęła nią.

– Do cholery, głucha jesteś, kobieto?

Miranda odwróciła się. Bała się spojrzeć.

– O cholera. – Miranda usłyszała, jak strażniczka wydaje z siebie dziwny, łamiący serce dźwięk. Potem rozległo się trzaśnięcie, kiedy odpięła krótkofalówkę z paska. – Przyślijcie zespół medyczny, oddział 3, numer 45 – powiedziała Carmona. – Moim zdaniem przedawkowanie.

KOBIETY DZWONIŁY W ŚRODKU NOCY, KOBIETY, KTÓRYCH IMION NIE PAMIĘTAŁ, dobre dziewczyny, które zrobiły z siebie lisice, i nocne ćmy, szlajające się po barach i rozdające uśmiechy. Pełne nadziei, że go zwabiają. Ale nie można ich winić. Duncan McCray rzeczywiście posiadał w nadmiarze wszelkie cechy męskiego wdzięku. Było to prawie przerażające.

I co noc wracał do domu, do Mirandy, najwidoczniej wierny, a ona nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Prawdę mówiąc, to szczęście zniewalało ją. Stała się trudnym do zdefiniowania okazem, stworzeniem z czystego magnetyzmu i najwyraźniej nieskończonej fascynacji seksualnej i ten nieprawdopodobny fakt teraz nią rządził. Kiedy zamieszkali razem, po miesiącu, odkąd się poznali, zdała sobie sprawę, jak niebezpieczny może być ten związek, bo wiedziała bez cienia wątpliwości, że zgodziłaby się dla niego umrzeć, gdyby o to poprosił.

Nigdy nie pragnęła takiej pasji, nigdy o nią nie prosiła. Ale w sumie o co prosimy w życiu? Jest tak wiele możliwości.

Zatem została zniewolona. Kiedy jechali do Candory, czerwiec panoszył się wszędzie wzdłuż autostrady, mrugał do nich swoimi słodkimi zielonymi liśćmi, wszędobylskimi stokrotkami i innymi nonsensownymi rekwizytami, gdy jechali w mrok. Ta eskapada od początku była zła, wiedziała to, ale można było się pocieszać, kiedy przypominał:

– Będę tylko udawał, że mam pistolet, tak naprawdę wcale nie będę go miał, pamiętaj. No i przecież myślą, że zebrane pieniądze podczas tych ich nocy kasyna, bingo i ruletki przekazywane są na chore dzieci, ten facet nie powinien ich podbierać, wiesz? Jest kapitanem straży pożarnej, do cholery. Pamiętaj też o tym. Tak



naprawdę strata go nie zaboli. Ma rządową posadę, jest grubą rybą w małym miasteczku. A w naszym przypadku ta kasa wszystko zmieni, Mirando, potrzebujemy funduszy na resztę naszego wspólnego życia. Naszej wspólnej drogi, tak?

Duncan odwracał się wtedy do niej, trzymając ręce na kierownicy. Te jego słynne oczy, granatowe, czyste złoto – jakiego właściwie były koloru? Nieważne. „Dlaczego Bóg w ogóle stworzył takie oczy?”, zastanawiała się. Albo biologia, wszystko jedno. Oczy, które zniewalały. Zbyt dużo władzy, żeby jej nie wykorzystywać. I on ją wykorzystywał.

Motel Candora Community, zwisająca z sufitu żarówka upstrzona zdechłymi owadami, śliska pościel z poliestru. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie wierzę, że właśnie mam popełnić poważne przestępstwo.

– Ja je popełniam, nie ty – poprawił ją. – I za parę minut będzie już po wszystkim, i pójdziemy dalej. Weźmiemy ślub, jeśli mnie zechcesz – powiedział i objął ją, i zaraz się pieprzyli, i przez kilka szczytowych sekund wydawało się, że rozłożył jej ciało na części i wyrwał jej duszę, żeby się jej przyjrzeć. Potem się ubrali i obejrzeli późne wiadomości w telewizji, aż w końcu otworzył suwak torby i pojawił się ten wstrętny pistolet.

– Ale powiedziałeś... – zaprotestowała.

– Nie martw się, nie będzie naładowany.

– Nie obchodzi mnie to, powiedziałeś...

– Mirando, posłuchaj. – Uklęknął i wziął jej dłonie w swoje. – Nigdy nie chciałem się zakochać, wiesz o tym, postanowiłem być sam, ale nagle zapragnąłem cię bardziej niż czegokolwiek innego.

Masz zamiar mnie teraz zostawić? Nie będzie nabyty, to tylko na pokaz. I obiecuję ci, obiecuję, że wyrzucimy go razem do rzeki, jak tylko będziemy stąd wyjeżdżać. Widziałaś tę rzekę, którą przejechaliśmy po drodze do miasta?

- Było napisane, że nazywa się Oshandaga.
- Właśnie. Oshandaga. Wygląda na głęboką.

MUSIELI CIĄGNAĆ CIAŁO WEAVY W WORKU PO BRUDNEJ PODŁODZE, bo ktoś ukradł kółka z ostatniego działającego szpitalnego wózka w Milford Basin. Chociaż raz dziewczyny na oddziale zamilkły i w martwym, gęstym powietrzu niósł się chropawy świszczący odgłos, jak syk diabelskich gadów, gdy worek ślizgał się w korytarzu. Carmona i dwóch innych strażników przetrzepało celę Weavy, szukając dowodów przestępstwa, ale znaleźli tylko notkę.

„Obserwowałam ją, wszystko widziała. Proszę, nie spalcie mnie. Pochowajcie mnie w ziemi”.

- Widziałaś wszystko? – Odwrócili się do Mirandy.

Carmona odblokowała drzwi i Miranda spotkała się z nią w wejściu.

– Bądź dobrą dziewczynką i powiedz o mnie dobre słowo w administracji. Ostatnio za dużo było uciekinierek na moim oddziale – powiedziała i wypchnęła ją na korytarz.

W POKOJU STRAŻNIKÓW BYŁY PANORAMICZNE OKNA, z których było widać cały zakład. Tej nocy gołoledź połyskiwała na całych aknach białego światła wysyłanego w górę wokół ogrodzenia. Błyszcząc wśród wilgotnej nocy, Milford Basin wyglądało jak przytulne siedlisko, miasteczko na prerii, osada drwali w jakiejś dzicy na północy. Miranda gapiła się przez okno.

Szefowa straży wkroczyła żwawo do pokoju i usiadła za stołem, naprzeciwko Mirandy, blokując jej widok.

– Więc skąd Moore wzięła te leki? – Była potężnie zbudowaną kobietą, niewiele starszą od Mirandy. Jej biała bluzka pociemniała dużą, moką plamą. Najwyraźniej właśnie została obudzona. Wzięła do ręki karteczkę z nagryzmołoną wiadomością. – Ten elavil?

– Nie wiem, o czym pani mówi – odpowiedziała Miranda. – Przykro mi.

Kobieta wydeła usta. Strażnik wyglądający jak zawodnik obrony, który wszedł za nią, wisiał nad Mirandą jak ciemna chmura.

– Pewnie wzięła stąd, skąd wszyscy je biorą – zaproponowała Miranda.

Szefowa strażników zmrużyła oczy.

– Możesz to rozwinąć?

– Nie chcę, ale zrobię to, jeśli będę mogła zobaczyć się z moim psychologiem. Nazywa się Frank Lundquist.

– Będiesz mówiła prawdę? – Uniosła brwi.

– Jeśli będę mogła porozmawiać z moim psychologiem – przytaknęła Miranda.

– Załatwię to – powiedziała szefowa strażników. – Mów, co wiesz.

– Ludmilla Chermayev prowadzi przemyt. Dorcas Watkins rozprowadza i sprzedaje towar Lu. – Miranda zauważyła, jak pochylili się do niej w tym momencie. – Moim zdaniem strażnik o nazwisku Liverwell pomaga im, przemyca to z zewnątrz. Ale może też inni. To wszystko, co wiem.

Krzepki strażnik zagwizdał przeciągle, aż szefowa spojrzała na niego.

– Funkcjonariusz policji stanowej jest już w drodze, powiedz mu, że będziemy też potrzebować oficera śledczego z wydziału więziennictwa.

Zawodnik obrony w pośpiechu opuścił pokój. Szefowa strażników odwróciła się do Mirandy.

– Muszę zobaczyć się dzisiaj z moim psychologiem.

– Strasznie już późno.

– I, proszę pani – dodała Miranda. – Mam nadzieję, że się pani nie obrazi, ale ma pani plamę na bluzce.

– O Boże! – wykrzyknęła kobieta. Mokra plama rozlała się teraz na całej lewej części bluzki. Spojrzała upokorzona na Mirandę. –

Dwa tygodnie temu urodziłam trzecie dziecko – powiedziała z zawstydzeniem i posłała jej spięty uśmiech. – Karmię piersią, wiesz. – Wstała. – Przepraszam. – Splotła ręce na piersi i wyszła. Miranda usłyszała, jak wydaje polecenie strażnikowi, żeby znalazł numer tego psychiatry, Lundquista.

– PO PROSTU JESTEŚ PRZESTRASZONA, to ZROZUMIAŁE – powiedział drżącym głosem.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Obserwowała jego dłoń na skraju biurka. Też drżała? Krople deszczu rozpryskiwały się na czarnym oknie. To był jedyny dźwięk w opuszczonych po godzinach pomieszczeniach ośrodka pomocy psychologicznej. Jedyny strażnik siedział w snopie światła na końcu ciemnego korytarza. Był zrzędlawy i przysypiał, bo przerwano mu przerwę na

kawę, żeby odprowadził Mirandę na dół.

– Nie. Nie boję się – wyszeptała. – Skończyłam. Skończyłam z ciągłym podejmowaniem złych decyzji.

Obszedł biurko i stał przed nią przez dłuższą chwilę. Miranda wpatrywała się uporczywie w jego pozdierane skórzane adidas. Jeden mu się rozwiązał.

– Jest szansa, żeby zacząć od nowa – powiedział. – Może z tego wyniknąć coś dobrego.

– Chyba nie rozumiesz. Powiedziałam, że skończyłam. Dziś wieczorem postawiłam się i postąpiłam słusznie. I odtąd tak będę robić.

– Tutaj, w zamknięciu. Przez pięć dziesięcioleci.

– Rozważę propozycję pomocy Potockiego. – Zawahała się wtedy i zmarszczyła czoło. – Albo i nie. Może po prostu odbędę karę.

– Pięćdziesiąt dwa lata? Nie będziesz już nawet sobą po wyjściu.

Widziała na jego udręczonej twarzy, jak bardzo chciał ją uratować. Ale ona miała zamiar sama się uratować.

– Przykro mi – wyszeptała.

Wtedy wstał i odwrócił się od niej. Podeszedł do czajnika na szafce z segregatorami i stał do niej tyłem, aż elektryczny czajnik zaczął świszcząć.

Widziała, jak drżą mu ramiona. Pomyślała, że chyba płacze.

Przygotował kubki i nalewał do nich wody jakby w zwolnionym tempie. Było jej smutno, trochę.

– Jestem wdzięczna za wszystko, co chciałeś zrobić – powiedziała do jego pleców. – Ale dla mnie to już koniec.

Wtedy odwrócił się do niej z dwoma parującymi kubkami. Jego twarz pokrywały plamy, wzrok wbijał w ziemię.

– Rozumiem – powiedział miękko, nie podnosząc oczu, potakując tylko lekko głową. Podał jej parujący kubek z mlecznym, beżowym płynem. – No to strzeżennego.

UCIECZKA

# 19

## INFORMOWAĆ PACJENTA O PROCESIE TERAPEUTYCZNYM, POTENCJALNYM RYZYKU I CAŁKOWICIE DOBROWOLNYM UCZESTNICTWIE W TERAPII

(Zasada 10.01b)

Niektórych rzeczy nigdy nie spodziewałem się zobaczyć z bliska:

trzy kilo heroiny opakowanej w celofan, w plastikowych woreczkach z zaciskowymi zamknięciami,

przysmak z pociętego w paseczki koźłęcego mięsa,  
przejmująco piękna kobieta płacząca za mną w nocy,  
śpiewający niewolnik odkurzający twarz mojej zmarłej matki,  
ślimak albinos.

Ale zobaczyłem to wszystko w epoce, która zaczęła się tej nocy, gdy M. umarła po raz drugi.

Ślimaka albinosa widzę właśnie teraz, szczerze mówiąc. Sunie po zewnętrznej stronie okna, przyklejony do szyby płaską smugą podbrzusza, które wygląda jak wybielony język. Ciało ślimaka ładnie się marszczy wokół brzegów, gdy używa swoich maleńkich



mięśni, by posuwać się naprzód.

Przejście przez szybę zajęło mu całe popołudnie. Kiedy tak sunął centymetr za centymetrem, spisywałem te notatki. Ślimak jest białoróżowy, wygląda jak mały cukierek albo pognieciony plastikowy kwiat. Z pewnością nie jak prawdziwy ślimak. Ale kiedy spojrzę dalej, za nim, na widok z tego okna – też nie jest on realistyczny w kontekście życia, jakie można by kojarzyć z facetem takim jak ja: ciemne wzgórza, dziwnie skupione domy z blaszanymi dachami. To nie jest widok, jakiego można by się spodziewać, wyglądając z okna w mieszkaniu Franklina H.H. Lundquista, doktora.

I pewnie dlatego wziąłem się do spisywania wydarzeń na papierze. Piszę to ręcznie, w zeszycie w linie do wypracowań, przeznaczonym dla dzieciaków. To jedyny papier do pisania, jaki tu znalazłem. Kupiła mi go nasza gospodyni w sklepiku w miasteczku.

Tak, raczej niekonwencjonalnie, jeśli chodzi o dokumentację.

Ale w końcu musiałem zadbać o oficjalne zapiski. Wszystkie moje segregatory, notatki klinicznych przypadków dotyczące moich pacjentów, łącznie z cienką szarą teczką, grzecznie ustawioną w mojej szafce w Milford Basin pod literą G... Wiem, że ta konkretna teczka została szczegółowo przejrzana przez Polkinghorne'a, przez szefową strażników, różnych adwokatów i detektywów. Mogli tam przeczytać zwykłe zapiski więziennego psychologa: główne dane pacjenta, jego historię rodzinną, wyniki testu MMPI, któremu ją poddałem podczas pierwszej sesji, jej dwa główne problemy („od czasu do czasu przygnębienie i bezsenność spowodowana hałasami na oddziale”), moje działania („omówiłem

umiejętności pozytywnego radzenia sobie z okolicznościami, zgodziłem się, że zastosowanie farmakologii jest wskazane”). Częściowy rejestr ponownych próśb o leki.

Trudno było wyczytać całą historię z tych zapisków.

Dlatego tutaj, dzisiaj, w tym dziwnym miejscu, w tanim zeszycie z szarą kartonową okładką zacząłem opisywać całą historię. To jest poufne, jak wszystkie tego rodzaju zapiski, a ponieważ nie mam tu zapewnionych standardowych zabezpieczeń, ominąłem imię pacjentki. Nazywam ją po prostu M.

Piszę to, żeby uzupełnić rejestr kliniczny. Oczywiście także po to, żeby lepiej zrozumieć. Ale głównie po to, aby przekonać do czegoś siebie samego: ten ślimak jest prawdziwy. Jeśli ten ślimak jest prawdziwy, to i życie jest prawdziwe.

W KOŃCU NASTĄPIŁA TAMTA NOC. GOŁOLEDŹ. NIEUSTĘPLIWY ZACINAJĄCY DESZCZ ze śniegiem, który zmuszał mnie do powolnej jazdy, wysyłając miliony kropel rozpryskujących się o szybę, tworzących smugi na chodniku w snopach świateł samochodu. Pogoda zdawała się połykać całe przedmieścia: trzy wypadki samochodowe blokowały autostradę, wycieraczki samochodu śpiewały tragicznie monotonna pieśń, a moje dłonie były spocone i drżące.

Oto co zrobiłem: spowodowałem lawinę. Teraz muszę z nią spadać.

– Dawaj, kurde – wymamrotałem, bębniąc palcami po kierownicy.

– Spoko, spoko – powiedział Clyde. Włączył radio, przeżuając smażonego kurczaka, którego wyciągał z poplamionego tłuszczem

pudełka. „Jak nie możesz być z tym, kogo kochasz, kochanie, kochaj tego, z kim jesteś”.

Po prostu chciałem jeszcze raz ujrzeć jej twarz. Żeby przypomnieć sobie o nagrodzie za to lawinowe zniszczenie mojego życia.

Za to, co zrobiłem. I dlaczego to zrobiłem.

Zapasowe tabletki trzymałem w pudełku po herbacie earl grey. Były na wszelki wypadek albo, być może, dla mnie. Gdyby wydarzyło się najgorsze. Gdyby w jakiś sposób umarła z przedawkowania, ja też zakończyłbym swoje życie.

Cogodzinne wiadomości w radiu. Prezydent zawetował budżet. Albańscy bojownicy zaatakowali bazę w południowej Serbii. Ktoś sprzedawał psie mięso najmodniejszym i najdroższym restauracjom jako jagnięce filety z Australii.

Clyde potrząsnął głową.

- Co za ludzie – powiedział. – Biedne pieski.
- Masz apteczkę pierwszej pomocy? – spytałem.
- Po raz czternasty, tak.
- Kapelusz?

Uniósł przeciwdeszczowy damski kapelusz z miękkim rondem.

- Pożyczyła mi Agata.
- A torby? Z tyłu?
- Z tyłu.

W poprzednim tygodniu rozdysponowałem swój skromny dobytek. Odwiozłem do Winnie podstarzałego Trufla i nigdy nieużywane kryształowe świeczniki, które dostaliśmy w prezencie ślubnym. A jako rekompensatę za podrzucenie im kota dałem

Gary'emu mój nowiutki telewizor z funkcją obrazu w obrazie. Napelnilem dwie torby ubraniami, które miały mnie i M. wystarczyć na tydzień. Tak, spytałem ją o rozmiar i poszedłem na zakupy do Bloomingdale's. Kupiłem parę swetrów, jakieś podkoszulki, dżinsy, bieliznę i – w przypływie szaleństwa – kaszmirowe skarpetki. To wszystko starannie poskładałem i spakowałem. Do swojej torby oprócz ubrań wrzuciłem kilka rodzinnych zdjęć. Kupiłem też kurtkę wędkarską z siedmioma dużymi kieszeniami i wewnętrznym wodoodpornym schowkiem, którą znalazłem w zakurzonym starym sklepie z akcesoriami dla wędkarzy niedaleko Grand Central. Rosyjski rewolwer, groźny i niewiarygodnie ciężki jak na swój rozmiar, schowałem do największej kieszeni i zapiąłem ją na suwak.

Wszystko zgodnie z planem, który dopracowaliśmy z Jimmym tydzień temu podczas spotkania w lokalu Nove Skopje. Agata, z ogromną perłą i koralem w broszce o kształcie ośmiornicy, przydreptała z kuchni i powitała mnie miążdzącym uściskiem. Rozgadała się na temat Clyde'a w swoim zadziwiającym języku. Wprowadziła mnie do zagraconego biura na tyłach baru. W oknach wisały ciężkie zasłony, na ścianach ciągnęły się puste półki na strzelby. Ruchem nakazała mi usiąść i czekać.

Kiedy wyszła, zobaczyłem trzy pulchne cegły heroiny owinięte folią i ustawione w kącie obok pary kaloszy w dziecięcym rozmiarze. Ukucnąłem i przypatrywałem się paczkom w kolorze miodu z mieszanymi uczuciami: ten proszek wydzierał duszę mojemu małemu braciszкови. Jednocześnie w dziwny sposób czułem się mile połączony, że Macedończyk miał do mnie zaufanie

i zostawił mnie ze swoim towarem. Dźgnąłem palcem jedną z niezycżliwych poduszeczek hery, naprężonych i twardych jak zaciśnięty mięsień. Jest w nich zamknięta moc. Chciałem, żeby heroina zrzekła się władzy nad moim bratem. Mogłem tylko się modlić, żeby go nie zniszczyła.

Wszedł Jimmy z butelką bałkańskiej gorzały, za nim Agata niosąca talerze czegoś aromatycznego i soczystego. Podawała nam do stołu, gdy ja i Jimmy jedliśmy, piliśmy i dopracowywaliśmy ostatecznie szczegóły. Droga do i ze szpitala, pozbycie się broni. Monitorowanie stanu naćpania Clyde'a, żeby nadawał się do wykonania zadania i nie przysypiał.

I w samym centrum tego wszystkiego: M. To ona miała wprawić maszynę w ruch. Zadzwoić na numer publicznego telefonu w restauracji Nove Skopje, spytać o mnie, odłożyć słuchawkę. Wziąć dawkę elavilu, który ukryła w swojej celi. Załatwione.

Nie bardzo skomplikowany plan. Jasne zamiary.

Ale ta lodowata, plująca zmrożonym deszczem noc.

Telefon faktycznie zadzwonił, ale nie w knajpie Nove Skopje. Zamiast tam, zadzwonił w moim mieszkaniu.

Głos kobiety faktycznie spytał o mnie, ale ten głos nie należał do M. Zamiast niej odezwała się do mnie szefowa strażników.

Więc plan się nieco skomplikował. Zamiary zostały trochę pokrzyżowane.

– KAPELUSZ PRZECIWDDESZCZOWY. APTECZKA. TAŚMA IZOLUJĄCA. ZMIANA UBRAŃ.

– Jest, jest, jest – powiedział Clyde.

Kiedy nafaszerowałem M. lekami podanymi w herbacie – i zmodyfikowałem w ten sposób plan – patrzyłem, jak odprowadzono ją z powrotem na oddział, nieświadomą swego losu, nadal przytomną, ale z gwarancją, że będzie uśpiona, kiedy strażnicy pojawią się na apel o dziesiątej. Wtedy wrzuciłem nieznaną mi wcześniej wysoki bieg – popędziłem z powrotem do miasta po Clyde'a i moje przygotowane zapasy, bo wykombinowałem, że dam jeszcze radę przeprowadzić resztę operacji zgodnie z planem opracowanym przy pomocy Jimmy'ego. Po mniej niż godzinie zjeżdżaliśmy już z bratem z autostrady w stronę rześście oświetlonego Centrum Medycznego Hudson Valley, gdzie z poślizgiem zatrzymaliśmy się na przemoczonym parkingu.

– To chyba jesteśmy gotowi – powiedziałem. W kieszeni kurtki wędkarskiej gumowa obudowa uchwytu rewolweru ugięła się delikatnie pod naciskiem moich palców. Nie był naładowany, miałem go tylko na postrach, dzięki czemu nie było to ciężkie przestępstwo. Nie będzie to ciężkie przestępstwo, gdyby – o mój Boże! – coś poszło nie tak. Serce waliło mi jak młotem, zegar na tablicy rozdzielczej wyświetlał godzinę 11.20. Minęły prawie dwie godziny, od czasu kiedy M. wypięła swoją herbatę oolong.

W strugach deszczu wyciągnęliśmy z bagażnika wózek inwalidzki Jacksona i rozłożyliśmy go. Clyde, który wyglądał jak strach na wróble w workowatych spodniach i dzinsowej roboczej koszuli, wybranych specjalnie na tę okazję, włożył na głowę duży kapelusz przeciwdeszczowy. Kiedy pchałem go w wózku w stronę głównego wejścia, przeczytałem napis na naklejce na oparciu: „Czy

zostałeś zbawiony?”.

Wjechaliśmy w rozgardiasz szpitalnego lobby, potem do windy. Clyde uśmiechał się głupkowato do mijanych ludzi spod ociekającego wodą ronda kapelusza. Naprawdę świetnie odgrywał swoją rolę. W recepcji na czwartym piętrze przywitała nas drobna kobieta o indyjskich korzeniach. Z kieszeni koszuli wyciągnąłem identyfikator.

– Doktor Lundquist, Milford Basin. Jest tu moja pacjentka. To mój brat Clyde. Nie chciałem go zostawić samego, oczywiście.

Clyde posłał jej bezmyślny uśmiech.

– Oczywiście – spojrzała na niego ze współczuciem. Potem zwróciła wzrok na mnie i zmarszczyła brwi. – Ale nie przywieziono dziś nikogo z Milford Basin.

Wgapiałem się w nią. Zapomniałem, jak używa się języka.

– Może zadzwonię na dół? – spytała pielęgniarka. – Może jeszcze jest na izbie przyjęć?

Udało mi się tylko skinąć głową, w której nie było żadnej myśli oprócz tej jednej: „Nie żyje”.

Obserwowałem, jak pielęgniarka wybiera numer i mówi do słuchawki, jakbym nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. „Nie żyje, nie żyje”. Usta nadal się poruszały, gdy dłoń odłożyła słuchawkę.

– ...niedługo na górę, chwilę im zajęło płukanie żołądka. Jest teraz pod obserwacją.

Znowu się lekko uśmiechnęła.

– Może pan poczeka w pokoju telewizyjnym, na końcu korytarza? – zaproponowała. – Poinformuję pana, kiedy...

Śledziłem wzrokiem jej ramię, które wskazywało kierunek.

– Dobrze, dziękuję – wydukałem.

W opuszczonym pokoju telewizyjnym usiłowaliśmy zachowywać się normalnie. Gapiliśmy się w telewizor. Miało upłynąć dużo czasu, zanim znowu będę oglądał amerykańską telewizję, ale nie myślałem wtedy o tym. Moje myśli krążyły tylko wokół M.

NIE MAM NA TEN TEMAT ŻADNYCH DANYCH, ALE ZAŁOŻĘ SIĘ, że przeciętny człowiek spędza mało czasu, zastanawiając się nad odkupieniem grzechów. Pod tym względem nie jestem przeciętnym człowiekiem. Pod tym względem zajmuję wysokie miejsce na krzywej dzwonowej.

Uderzyłem Zacha Fehlera mocno i to była gorzka zdrada. Najpierw poprosiłem go, żeby mi zaufał, a potem walnąłem go na odlew. Jego mała twarzączka zrobiła się purpurowa, jego krótkie nóżki leżały rozrzucone na podłodze.

Ale Zachary nie był pierwszą małą istotą, wobec której dopuściłem się nadużycia.

Przed Zakiem muszę też policzyć „niemowlaka zero”. Podstawowe dziecko. Zdradziłem tego szkraba od razu, mniej więcej pierwszego dnia. Kiedy tylko się narodził w laboratorium taty, między wesołymi kolorowymi drewnianymi puzzlami i klockami z uchwytami.

Byłem odpowiedzialny za los tego bystrego dzieciaka. I porzuciłem go. Pozwoliłem mu błąkać się po manowcach mniej więcej przez trzydzieści lat, a potem zejść do podziemi, do sutereny w więzieniu.



Więc tak, już od jakiegoś czasu coraz częściej zastanawiałem się nad odkupieniem.

Kiedy M. po raz pierwszy weszła do tamtego gabinetu w suterenie i ponownie wkroczyła w moje życie – ta osoba, ta kobieca inkarnacja mojego marzenia nastolatka, pozostawiona sama sobie, rzucona wilkom na pożarcie – zrozumiałem. M. jest moją szansą. Dzięki niej, przez nią, naprawię wszystko. W końcu podniosę się i zrobię naprawdę dobry uczynek. Odmienię jej los.

W TELEWIZJI JAKIŚ MĘŻCZYŻNA WŁAŚNIE OBJAŚNIAŁ, JAK PRAWIDŁOWO WOSKOWAĆ SAMOCHÓD, kiedy przyszła po nas pielęgniarka z recepcji. Zwinąłem dłonie w pięści, żeby nie widziała moich palców, pokrwawionych od nerwowego skubania.

– Pańską pacjentkę umieszczono w pokoju czterysta trzy. Jest półprzytomna. Zażyła porządną dawkę, pewnie naprawdę chciała umrzeć.

Spróbowałem lekko się uśmiechnąć. Jak tylko umilkł odgłos jej kroków, wstałem i pchnąłem wózek z Clyde'em.

– Tylko nie wyskakuj z jakimiś twoimi pomysłami – wyszeptalem.

– Dobra, dobra – wymamrotał.

Żadne pomysły nie były potrzebne. Wszystko szło zgodnie z planem, jakby to sam Bóg napisał scenariusz. Strażniczka na służbie była młodą bladą rekrutką. Na identyfikаторze widniało nazwisko Jenni O'Dell. Drobna dziewczyna, która dostała nocną zmianę, ponieważ, jak nam powiedziała, płacząc, gdy wycelowałem w nią nienaładowany pistolet, to był dopiero jej drugi tydzień w pracy. Wwiozłem Clyde'a do pokoju i mignąłem moim

więziennym identyfikatorem.

– Dyrektor mnie poinformował. Zajmuję się nią już od jakiegoś czasu.

– Taa jest – przytaknęła O'Dell.

– A to mój brat Clyde. – Clyde zwiesił głowę.

– Taa jest. – Zlustrowała go. – Mówią, że z tego wyjdzie. Nie rozumiem, dlaczego ludzie to robią. Pan pewnie to wie, doktorze, to pana praca. – Uśmiechnęła się przelotnie, zadowolona ze swej błyskotliwości. Zamknęła za nami drzwi i wróciła na krzesło obok okna do rozwiązywania krzyżówki.

M. Jej ramiona zwisały bezwładnie i były półprzezroczyste jak surowe krewetki. Spoczywały na śnieżnobiałej pościeli, przypięte w nadgarstkach do poręczy łóżka. Wąskie szparki oczu, pukiel włosów przyklejony śliną obok ust.

Zawołałem ją po imieniu. Zwróciła wzrok na mnie, ale jakby mnie nie widziała.

Odsunąłem suwak kieszeni, chwyciłem pistolet. Chyba szybko pomodliłem się w duchu. Moje dłonie nagle stały się oślizgłe, tłuste, zimny pot łaskotał mnie w szyję.

– Jenni – powiedziałem, wyciągając pistolet z ukrycia. – Proszę, nie ruszaj się. Muszę zabrać tę kobietę.

Strażniczka spojrzała na mnie skonfundowana znad krzyżówki. Gapiła się na pistolet, który raczej jej nie peszył, ale kiedy Clyde zeskoczył z wózka i stanął obok niej, zaskomlała cicho. Upuściła broszurę z łamigłówkami.

– Mam małe dziecko – powiedziała.

– Nie bój się, Jenni – powiedział Clyde. – Nie jesteśmy złymi

facetami. Ale potrzebny nam twój pas.

Zaczął zdejmować spodnie. Jenni O'Dell popłakiwała cichutko, ale drżącymi rękami odpięła służbowy pas i położyła go na łóżku, cały czas patrząc na mnie i pistolet w mojej dłoni. Clyde zdjął z paska metalowe kajdanki i zapiął je na nadgarstkach strażniczki.

– Naprawdę – powiedziałem uspokajająco. – Teraz usiądź. – Zrobiła, jak powiedziałem. – Nic się nikomu nie stanie.

Clyde zdjął już z siebie zewnętrzną warstwę ubrań, odsłaniając pod spodem drugą parę spodni i koszulkę z napisem „Życie jest dobre”, do czego przekonywała postać z patyków. Workowate spodnie i dżinsowa koszula zwisały z krawędzi łóżka. Schował służbowy pistolet Jenni i jej krótkofalówkę do moich przestronnych kieszeni. Wziąłem jej klucze i podałem mu ruski pistolet. Wtedy Jenni się rozplakała.

– Naprawdę wszystko będzie dobrze – nalegał Clyde z uśmiechem.

– Który to klucz, Jenni? – spytałem.

– Ten owalny – odparła drżącym głosem.

Pochyliłem się nad M., odgarnąłem pukiel włosów z zaschniętą śliną z jej pozbawionej wyrazu twarzy i odpiąłem jej kajdanki.

– Żyjesz i jesteś prawie wolna – wyszeptałem. Potem zdjąłem z niej koc. Biała szpitalna koszula nocna w granatowe kropki, blade chude nogi. Naciągnąłem na nie spodnie, które zdjął Clyde, wcisnąłem do środka koszulkę nocną, ale kiedy usiłowałem włożyć jej ręce w rękawy koszuli, zaczęła pojękiwać. Nie poddawałem się, szepcząc do niej uspokajające słowa. Dostawiłem wózek do łóżka. Podnieśliśmy ją z Clyde'em. Jej bezwładne ciepło przypominało mi

Trufla, kiedy przesuwalem go z mojego ulubionego miejsca na kanapie.

Nasadzilem jej kapelusz nisko na glowe, zaslaniajac twarz rondem.

– Ślicznie – wymamrotał Clyde. – Teraz ona – powiedzial, wskazujac na Jenni – i mozemy sie zmywac.

– O Boze – wyszeptala strazniczka.

– Ciii – wyszeptalem. Wzialesm ja za lokiec, zaprowadzilem do lazienki i usadzilem na zamknietej desce toalety. Przykleilem jej nogi do sedesu. Staralem sie ja pocieszac, kiedy zaczalem zaklejac jej usta taśmą izolacyjną.

– Najgorzej bedzie, kiedy beda ci to zdejmowac. Ale to potrwa tylko chwile.

Patrzyla na mnie z wyraźną paniką. Przeszyla mnie fala wyrzutów sumienia.

– Siedz tutaj i licz do stu. – Odwrócilem sie, zeby zamknac drzwi. W jej wzroku bylo blaganie. – Mowilem ci, ze nie bedzie tak źle. Dzieki za wspolprace. – Wcisnalem krzeslo pod klamke.

– Gotowi? – spytalem Clyde'a.

– Mhm – przytaknal.

Wyjrzałem na korytarz, byl pusty. Z daleka dobiegal głos z telewizora, za rogiem dzwonic telefon w recepcji. Gestem nakazalem Clyde'owi, by poszedl.

– Zobaczymy sie na dole, bracie – powiedzialem. – Nie biegnij! – dodalem szeptem.

Wyszedl z pokoju i skierowal sie na lewo, przeszedl okolo pietnastu metrow do konca korytarza, gdzie byly drzwi na klatke

schodową, która prowadziła na pierwsze piętro. Stamtąd było już blisko do lobby i na parking. Chwyciłem karetkę M., nacisnąłem jej kapelusz niżej na twarz i zacząłem ją wieźć w stronę recepcji i wind.

Pielęgniarka pochylała się nad jakimiś papierami, gdy wynurzyliśmy się zza zakrętu. Jej długi ciemny warkocz kołysał się nad ramieniem. Nacisnąłem guzik, ustawiłem wózek z M. twarzą w stronę drzwi windy. Gdy czekaliśmy, pielęgniarka podniosła wzrok znad dokumentów.

– Dobrej nocy, doktorze – powiedziała i wróciła do pracy.

Lobby z grupkami krewnych pacjentów i szumem maszyny froterującej podłogę, którą pchał wiekowy portier, wydawało się teraz dużo większe niż przedtem, ale po chwili, gdy szklane drzwi rozsunęły się jak bramy rajy, pchałem już wózek przez połyskujący w deszczu parking między krążkami pomarańczowego światła. Clyde zapalił już silnik.

– Świetnie ci idzie, jesteś wspaniała – powiedziałem do M., kiedy usadziliśmy ją na tylnym siedzeniu.

Uniesienie, takie uniesienie, które czujemy, kiedy nagle uświadamiamy sobie, że jesteśmy w niezwykle przyjemnym śnie. Ogarnęło mnie to uczucie, kiedy składałem wózek i chowałem go do bagażnika. Uśmiechałem się jak głupi, kiedy usłyszałem z tyłu głos, w momencie gdy zatrzasnął się bagażnik.

– Już cię powiadomili, Frank?

Odwróciłem się. Charlie Polkinghorne, z połową twarzy w cieniu, a drugą połową w pomarańczowej poświacie. Jedną ręką przytrzymywał połę płaszcza, w drugiej wysoko unosił parasol.

Przypomniałem sobie, że deszcz nadal pada, a ja moknę. Gapiłem się na niego.

– Znowu to zrobiła. Straszne.

– Tak, tak. – Myślałem o pistolecie, tym naładowanym, należącym do Jenni. Miałem go w kieszeni.

Spojrzał na mnie, potem na niebo.

– Nie uznajesz ubrań przeciwdeszczowych.

– Wiesz, spieszyłem się – zerknąłem przez ramię. Widać było Clyde'a, jak wychyla się, żeby lepiej nas widzieć.

– Chodź tu, schowasz się przed deszczem – powiedział Charlie, wciągając mnie pod swój parasol, tak blisko, że mogłem policzyć wszystkie włoski na jego brwiach. – Słuchaj, nie przejmuj się tak bardzo tą pacjentką. Jesteś dla siebie zbyt surowy. To jasne, że jest zdeterminowana, żeby nas tu zostawić, a nie da się powstrzymać kogoś z taką determinacją, prawda?

– Prawda. Dzięki, Charlie. – Poszukałem jego dłoni i uścisnąłem ją parę razy. – Teraz muszę już lecieć.

Chwycił moją dłoń w zadziwiająco silnym uścisku.

– Sheila wyrzuciła mnie z domu.

– O Boże, tak mi przykro – powiedziałem.

– Mógłbym zatrzymać się u ciebie na parę dni, Frank?

– Jasne, możemy porozmawiać jutro? Wpadnę do twojego gabinetu.

Wyciągnąłem dłoń z uścisku i wycofałem się w stronę samochodu. Odwróciłem się, podbiegłem i wsiadłem za kółko. Wycofałem samochód, a Polkinghorne nadal tam stał, szary duch w deszczu. Wjechaliśmy w nasiąkniętą wodą ciemność. W czarną,

przemoczoną, wspaniałą noc.

## 20

### GRUDZIEŃ 1999

Zwinięta w kulkę na tylnym siedzeniu samochodu. Odczuwała każdą dziurę w drodze, zapach nowej skóropodobnej tapicerki uderzał ją w nozdrza. Za oknem migwały latarnie oświetlające autostradę, słupy telefoniczne, gałęzie ociekające kroplami deszczu.

– Mówisz, że nic już nie ma znaczenia?

– Daj spokój.

– Jesteś gorszy od niego. On jest zły. Ty nie masz kręgosłupa.

Wolę już zło.

– Zły? Jezu Chryste, Barb. Jesteś trochę melodramatyczna, nie uważasz? Kiedy przestaniesz truć mi dupę?

– Mylisz się, Edwardzie. Sprzedałeś się Nigeryjczykom w tamtym interesie z ropą. – Teraz zaczęła go przedrzeźniać. – „Och, nie, kochanie, to nie są dyktatorzy. Zostali wybrani w demokratycznych wyborach!”

Szarpnięcie samochodu, gwałtowne hamowanie.

– Wysiadam. Idź dręczyć Karstena Brunnera.

– Zamordował twoją córkę, a potem kłamał na ten temat. I co z tego? Nie możesz bez niego żyć. Bo, do cholery, jada w Białym



Domu. W prywatnej części. W prywatnej części! Jak możesz być tak płytki? Nie byłeś taki, kiedy cię poznałam.

– Miałem dziewiętnaście lat i byłem głupi, kiedy się poznaliśmy, kochanie. A ty byłaś dokładnie taka sama. Dlatego byliśmy świetną parą.

Przekręcany kluczyk w stacyjce, otwierane drzwi.

– Nie wsiądziesz tutaj. Co robisz?

– Pożegnaj ją ode mnie. Mam nadzieję, że ciągle śpi. Nie powinna słuchać tych bzdur.

Trzaśnięcie drzwiczek. Krople deszczu stukające w szyby jak uderzenia klawiszy gorliwej stenotypistki. Szum przemykających obok samochodów.

MIRANDA GWAŁTOWNIE USIADŁA. BÓL POJAWIŁ SIĘ PO CHWILI, pozbawił ją tchu.

– Dokąd on idzie? – wykrzyknęła.

– Nie, nie, nie wstawaj – głos Franka Lundquista, jakby spod ziemi. – To mój brat Clyde. Nie martw się niczym, śpij jeszcze.

Miranda obserwowała, jak długonogi mężczyzna przeskakuje schody po dwa stopnie. Podmiejska stacja benzynowa, pusty parking. Samochód znowu ruszył.

Och. To był sen. Nocny świat przepływał za oknem. Frank Lundquist kręcił kierownicą w tę i we w tę, a ona przetaczała się po przestronnym tylnym siedzeniu. Czuła, jak otępienie senne owija się wokół niej czarną zasłoną. Nogi miała jak z ołowiu. Opadła z powrotem na siedzenie, poczuła chłodną tapicerkę na policzku.

Po kilku minutach: „Moja twarz jest mokra. Płaczę”.

Te wywołane przez sen łyzy zdumiały ją.

Później we śnie ustało mamrotanie samochodu i znowu się podniosła, żeby zobaczyć, jak mężczyzna, który wydawał się Frankiem Lundquistem, chwytając pistolet, krótkofalówkę, kółko z kluczami – dobrze jej znane narzędzia pracy strażnika więziennego. To właśnie przyciągnęło jej na wpeł uszpioną uwagę, pobrzękiwanie kluczy. Milford Basin, ten dźwięk. April. Lu.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł, a potem wrzucił pistolet, radio, klucze i jeszcze jakiś drugi pistolet w tafłę ciemnej wody ogrodzonej płotem i betonowymi barierkami. „W wodach tego kraju musi spoczywać tyle pistoletów, co kamieni”, pomyślała. A potem znowu cały świat się zapadł, opuszczając ją, ponownie oddając ją nicości. Kiedy zsunęła się szybko i z poślizgiem w czarną dziurę, ciągnięta przez jakąś mieszkającą w niej siłę, która patrzyła na nią z zazdrością, rzuciła ostatnie spojrzenie: biały kwiat na czarnej wodzie, potem czekanie, oparta o chłodny zderzak samochodu. Samochód zatrzymał się na moście nad Oshandagą. Radiowóz, zbliżając się, rozlewał po wodzie niebieskie światło.

– JAK NA ĆPUNA, DOBRZE SOBIE PORADZIŁ TEN TWÓJ BRAT.

– A to jest dama.

– Tak, to dama.

– Hej, popatrz jej w oczy, jest przytomna czy nie? – Ten głos był bardziej głębszy, słowa były ściśnięte przez obcy akcent. Przez grubą zasłonę rzęs dostrzegła szczotki, wiadra i półki pełne pudeł. W rogu siedziała potężnie zbudowana kobieta i spoglądała znad robótki.

Dłoń na jej twarzy. Głos Franka Lundquista.

– Nie, tak, mam więcej, dam jej.

– Nie – wyszeptwała. Gardło miała jak papier ścierny.

Uciszył ją. „Nie waż się mnie uciszać”, pomyślała.

– Zostaw to – powiedział głębszy głos. – Zrobimy zdjęcie, musi mieć otwarte oczy, tak czy inaczej. – „Czy inaczej, wymówił te słowa trochę jak Lu”, pomyślała.

– Mirando, jesteś już bezpieczna. – Jego dłoń na jej twarzy, jego twarz w zasięgu jej wzroku.

„Ty to zrobiłeś”, pomyślała. Ale co zrobił? Nie mogła tego sprecyzować.

Odwrócił od niej swoją twarz Franka Lundquista. Muzyka w jej uszach tworzyła zamknięty, wijący się obwód. Gdy stała na rogu w Winslow w Arizonie, widok był taki piękny...

Młody blady mężczyzna skłonił się przed nią.

– Nie martw się teraz – powiedział. – Zrobimy zdjęcie, zrobimy paszport, nie ma problemu. Spójrz tutaj – nakazał, wskazując małe zdjęcie bielonych domów w miasteczku przypięte na środku słupa w ścianie. Błysk flesza ukłuł ją w ledwie przytomne oczy.

„Nafaszerował mnie lekami. Wykradł mnie. Wykradł mnie!”  
Usiłowała powiedzieć to głośno. Czy ktoś usłyszał jej głos?

– Dam ci trochę wody – wymruczał. – Nie próbuj mówić, masz gardło zmaltretowane przez płukanie żołądka. Ciii.

„Nie waż się mnie uciszać”, pomyślała. Ale wypięła, bo paliło ją w gardle i pragnienie nagle przejęło nad nią kontrolę.

Zbliżyła się do niej kolejna twarz, z ciemnym kilkudniowym zarostem, obfitym podbródkiem i szarym zębem, który ukazywał

się w ustach przy każdym słowie.

– Jaśnie pańciu, nie jesteś już w pierdłu, więc ciesz się. Uspokój się. Niektórzy ludzie, łącznie ze mną, nadstawiali dla ciebie karku.

Niezwykłe oczy w tej twarzy. Najciemniejsze, jakie kiedykolwiek widziała.

– Bądź szczęśliwa i spokojna. Za to, co zrobił dla ciebie ten tu, Frank Lundquist, będziesz mu dziękowała każdego dnia, jaki ci jeszcze pozostał na tej ziemi.

– Jimmy. – Usłyszała głos Franka.

– Musi wiedzieć. Panienko, interes jest już ubity. Nie kombinuj, bądź szczęśliwa i zadowolona, bo on wszystko załatwił i możesz żyć wolna. – Twarz zaczęła się rozmywać, ale nadal widziała w jego oczach swoją śmierć, więc patrzyła. – Jak zaczniesz kombinować, to będzie koniec, bo jak dla mnie, gównu mnie obchodzisz. Kapujesz?

– Dobrze, Jimmy, dobrze. Zrozumiała. – Frank Lundquist wpłynął w jej pole widzenia. Zamknęła oczy, teraz czuła tylko jego ciepło, złożyła głowę na ciepłym i wygodnym ramieniu. Świat znowu się zapadał. Ale zanim całkiem się zawalił, zobaczyła lecącą dziewczynę. Na wprost siebie, zaraz za mocno zaciśniętymi powiekami. Zobaczyła i zrozumiała.

## 21

### **JEŚLI ODPOWIEDZIALNOŚĆ MORALNA JEST W KONFLIKCIE Z PRAWEM, NALEŻY PODJĄĆ KROKI, ABY ROZWIĄZAĆ TEN KONFLIKT**

(Zasada 1.02)

Jeśli zagłębisz się w historię Macedończyków, tak jak ja to teraz robię dzięki pogryzionym przez mole książkom, które czytam, pomagając sobie rozpadającym się słownikiem, szybko dowiesz się, że przede wszystkim są nastawieni zdecydowanie przeciw władzy autorytarnej. Tysiące lat panowania władców – bizantyjskich, bułgarskich, otomańskich Turków, serbskich i sowieckich – rozbudziły w nich niezaspokojony apetyt na rebelię. Lubią tworzyć podziemne armie o długich srogich nazwach, jak Tajny Macedoński Rewolucyjny Związek Młodych, do prowadzenia wojny partyzanckiej, sabotażu i po prostu ogólnie, jako sposób organizowania się dzięki wspólnej pogardzie dla jakiegokolwiek władzy.

Biorąc pod uwagę tę tendencję, nie dziwi fakt, że obywatele Republiki Macedonii pogardzają państwami NATO, które niecałe dziewięć miesięcy temu zrzuciły grad pocisków raketowych

Tomahawk na ich kuzynów w Kosowie, jak również Interpolem, nieustannie ciekawskim, grzebiącym w najbardziej lukratywnych lokalnych przedsięwzięciach importowo-eksportowych. Ludzie daleko w wioskach, w domach o bielonych kamiennych ścianach, przycupniętych w dolinach jak najdalej w głębi kraju, też nie są szczególnie zachwyceni państwową *polizi* z miejskich centrów Skopje i Bitoli. Sami się o siebie troszczą, walczą we własnych bitwach i mają swoje prawo.

Innymi słowy, wioska, z której pochodził Jimmy, okazała się idealnym miejscem do ukrycia dwóch amerykańskich zbiegów. Może ze dwadzieścia domów, bezładnie rozrzuconych, przylegało do niższych zboczy góry Ulsec jak rzepy w fałdach spódnicy starej kobiety. Zaludniali je głównie krewni Jimmy'ego. Życie w wiosce toczyło się wokół owiec, potażu, trzynastowiecznego kościoła i przemytu broni ręcznej. W większości domów obok reprodukcji ikony Matki Bożej z cerkwi Świętej Zofii w Ochrydzie wisiało zdjęcie Jimmy'ego w okularach lotnika, obwieszzonego złotymi łańcuchami.

Myśląc o tej wiosce jako o ostatecznym celu naszej podróży – ale raczej w zarysach, bardzo ogólnie, bo skąd miałem mieć pojęcie, jak to miejsce faktycznie wygląda? – opierałem głowę o okno i obserwowałem, jak pod moimi stopami ciemności pochłaniają Grenlandię i Islandię. M. leżała na trzech siedzeniach po drugiej stronie przejścia. Z przodu kabiny dobiegał stłumiony gwar, chrapanie i płacz dziecka. Liczne rodziny i starsi dżentelmeni z bułgarskiej enklawy na Bronksie zmierzali do domu na święta. Sezon turystyczny się skończył i przyjaciele Jimmy'ego z Air

Bulgar, taniej linii czarterowej z jednym węzłem w Stanach, w samotnym hangarze w Newark, usadzili nas w pustych rzędach z tyłu samolotu. Mnóstwo przestrzeni, żeby rozprostować kości, i spokojne miejsce, gdzie można oddawać się refleksjom.

POSTĄPIŁEM IMPULSYWNIE, BYĆ MOŻE NIEZBYT MĄDRZE. Zrobiłem jeden krok, który katapultował mnie poza granicę rozsądnego zachowania. Ale nie mogę powiedzieć, że mój postępek był irracjonalny. Rozumiałem, jakie niesie ze sobą zagrożenia – w końcu dokładnie przemyślałem pomysł ucieczki z nią.

Nawet w kluczowym punkcie, gdy wsypałem zapasowy elavil do ciepłej mlecznej herbaty i mieszałem go energicznie, dosypując dodatkową dawkę słodzika, żeby pokryć ewentualny nieprzyjemny smak, rozumiałem, że to posunięcie może przynieść wybawienie, ale nie miłość. Tamtej nocy zobaczyłem, jak bardzo było to egoistyczne. Powiedziałem sobie: „Może nie być żadnych wyznań miłosnych, pozbawiającej tchu namiętności, długich lat ciepłej bliskości i wspólnych, wciąż pełnych napięcia wspomnień naszej brawurowej ucieczki”.

Przyszłość może potoczyć się inaczej.

Ale ona będzie w lepszym miejscu, a ja będę tym, który ją uwolnił.

Niech los zdecyduje. Po prostu wybierz się z nią w tę podróż nie wiadomo dokąd. Zabierz ją w bezpieczną przyszłość, daleko od instytucji wymiaru sprawiedliwości i interwencji psychologicznych prowadzonych bez przekonania. Podaruj jej to, co jej jeszcze zostało z życia, i rozegraj resztę swoich kart, nieważne, jakie karty los da ci w tym rozdaniu.

Odkupienie może pociągać za sobą zmiany kierunku jazdy. Ale liczy się rezultat.

Myślałem również o zdecydowanie pozytywnym zwrocie akcji: kiedy lecieliśmy nad krainą lodu, Clyde był właśnie odwożony przez renomowaną firmę bałkańską All Boro radio taxi do świetnej, dyskretnej kliniki niedaleko ojca. Kiedyś może odzyskamy kontakt. Zostawiłem wystarczającą ilość pieniędzy, żeby opłacić jego rachunki. Mam mnóstwo gotówki, a Jimmy świetnie się orientuje w szwajcarskim systemie bankowym.



## 22

GRUDZIEŃ 1999

„Pamiętasz jeszcze, o czym marzyłaś, kiedy byłaś młodsza?” Życie rozmazuje marzenia, zaciera je w codziennym maglu dni, nieustannie płynących minut, wyciera wizję kawałek po kawałeczku, usuwa kolejne szczegóły. Codzienne troski, maleńkie ziarnka, które wytrawiają i ścierają obraz. Oczywiście marzenie jest naszkicowane na najbardziej miękkiej z substancji, nieprawdaż? Nie jest wyryte w granicie czy marmurze, nie jest nawet zbudowane z piasku. Marzenia z młodości to zaledwie zmarszczki na umyśle, subtelne fale na miękkiej tkaninie, elastyczne i podatne na wpływy. Bardzo nietrwałe.

Przykładowo: w wieku dwunastu lat marzyła o tym, że zostanie prezydentem. Jadąc przez Waszyngton, widziała zrujnowane dzielnice i myślała: „Chcę pomóc światu. Mogę pomóc światu”. Jeśli nie prezydentem, to chociaż senatorem. Albo kongresmenem, jak tata. W siódmej klasie startowała w wyborach do rady uczniowskiej i wygrała.

Ale wtedy – Amy. I tamten listopad. Druga przegrana kampania, którą obserwowały z dystansu, bo wtedy z mamą unikały występów

na podium, nie było tym razem uśmiechania się i pozdrawiania tłumów u jego boku. Jej ojciec pozostał sam, wystawiony na widok publiczny, jego kompromisy, jego porażki, codziennie coraz boleśniej jasne. Na początku była zbyt młoda, by to pojąć, ale w jakiś sposób stopniowo doszła do zrozumienia. I każda chwila jasności, która nastąpiła po tym, niekończący się przyływ takich chwil, aż pomyśl, że może pomóc światu, że powinna to zrobić, stał się coraz bardziej odległy i w końcu przepadł.

Zanim skończyła dwadzieścia sześć lat, kolejne marzenie. Tym marzeniem był Duncan. Życie trwało w pijanych miłością wizjach, kiedy pozwalała sobie się w nie zanurzać. Wyszedł poza nocne lokale pełne ćpunów. Planowali zostać właścicielami restauracji. On miał być głównodowodzącym, ona miała zająć się PR-em i rachunkami. Snuli wizje, w których stawali się bliskimi przyjaciółmi artystów i performerów, chodzili na ich prywatne przyjęcia. Razem, Duncan i Miranda, mieli kupić dom gdzieś na wzgórzu, utalentowani goście mieli przesiadywać na werandzie, a ich dzieci – brykać na trawie.

Dzieci. Ta myśl sprawiła, że otworzyła oczy.

Szyba samochodu chłodziła jej czoło. Płaskie pola, niskie domy w pastelowych kolorach z brązową dachówką, na horyzoncie elektrownia z trzema kominami wyrzeźbionymi w jasnym niebie. Dotyk twardej zimnej szyby na czole i zapach papierosów. Potem uspokajający głos kobiety, miękko wypowiadający przypadkowe sylaby.

Jak długo spała?

– Jak długo spałam? – wyszeptała. Gumowaty język kleił się jej

do wnętrza ust, smakował jak polizana koperta.

– Nie śpisz już – stwierdził.

Napisy cyrylicą na przejeżdżającej ciężarówce. Dwóch mężczyzn z przodu, obaj z włosami obciętymi krótko, po wojskowemu. Słońce wpadało przez szyby. Na boku szyi kierowcy wytatuowana Myszka Miki. Prymitywna, obłąkana Myszka Miki.

Frank Lundquist położył jej dłoń na ramieniu.

– Zatrzymamy się teraz. Jesteś głodna? Może musisz iść do łazienki?

Miał brudne włosy i powinien się ogolić, wyglądał, jakby miał na twarzy rżysko.

„Patrz, co zrobił”, pomyślała. „Musisz na to patrzeć”.

W środku: placek z pokrojonym w kostkę mięsem i smażone jajko. Pomidory i ogórki w kwaśnym białym sosie. Pochłonęła wszystko.

– Dobre, prawda? – Frank skończył już swoją porcję i teraz obserwował, jak ona je. – Trochę tu za ciepło na ten sweter – wyszeptał. – Ubrania są w bagażniku, możesz się przebrać.

Zrozumiała, że mówi szeptem, bo są tu obcy. To miejsce było pudełkiem z pociemniałymi od dymu szybami i betonową podłogą. W środku tłoczyli się mężczyźni, kierowcy ciężarówek, wnioskując z przepelnionego parkingu i tirów stojących w kolejce do pomp. Z dymu tytoniowego wynurzał się telewizor zawieszony za barem. Wtedy włochaty brzuch zablokował jej widok.

– Ameryka. – Facet zawisł nad nimi. Miał przerażająco ostre zęby. Na kędzierzawym okrągłym brzuchu opinał się przyciasny sweterek. Podniósł fałdy tłuszczu, żeby pokazać im sprzączkę

w kształcie stanu Teksas. Uśmiechał się. Miał zęby ostre i poplamione tytoniem.

Krzyknął coś do stolika obok, gdzie nad dymiącymi papierosami i szotami nalewanymi ze starej butelki po wodzie garbiło się pięciu facetów. Popatrzyli na Mirandę i się zaśmiali. Mężczyzna z brzuchem chwycił butelkę, dwa kieliszki i uniósł je w ich kierunku.

– Rakjia. Bułgarska. – Nalał i podał im alkohol. – Ameryka – powiedział, wznosząc toast butelką, z której pociągnął głęboki łyk. Skinął do nich i patrzył, aż wypili. Nie patrzyła Frankowi w oczy. Przełknęła alkohol i poczuła pieczenie.

Pan Brzuch złapał ją za ramię, ścisnął i krzyknął ze śmiechem coś do swoich kompanów. Jego uścisk był dość bolesny. Frank usiłował odepchnąć faceta. Uścisk stał się silniejszy. Szuranie krzesel, szamotanina i nagle blisko, kilka centymetrów od jej twarzy Myszka Miki. Kierowca powiedział ostro trzy słowa i facet ją puścił. Teraz Frank obejmował ją za ramiona i wyprowadzał na zewnątrz.

– DOM MA WIDOK NA JEZIORO – POWIEDZIAŁ. – Które, zdaje się, jest pełne ryb.

Kontynuowali jazdę, a ona z każdą minutą czuła się bardziej przytomna. Frank Lundquist przemawiał do niej miękko, jakby pocieszał marudzące dziecko. Przesunęła głowę, żeby oglądać krajobraz rozciągający się za szybą samochodu. Za oknem przesuwały się kolejne równiny, poprzecinane kanałami. Gdzieś tam majaczył samotny traktor czy silos z pustaków.

– Jesteśmy blisko granicy – powiedział Frank. Jechali teraz bocznymi drogami, w kurzu i pyle.

Znowu zapadła cisza.

Z przedniego siedzenia, z karku kierowcy, Myszka Miki śmiała się jej w twarz.

– Ile razy w życiu jechałaś na tylnym siedzeniu samochodu? – zarżał.

No właśnie, ile?

Edward Greene przy kierownicy, kłócący się z mamą o pieniądze. Miranda leżała z tyłu, na skóropodobnej tapicerce, i udawała, że śpi. Udawała, że śpi! Miki zarechotał.

Z przodu taksówkarz, z tyłu któryś z facetów z epoki „dlaczego nie”, recytujący swój adres i chuchający alkoholem w jej włosy.

Za kółkiem kierowca limuzyny, Duncan wsuwa jej dłoń pod spódnice.

Prowadzi szeryf hrabstwa Candora, w drzwiczkach samochodu nie ma klamek.

Strażnik więzienia stanowego przy kierownicy, furgonetka śmierdzi strachem i wymiocinami.

Prowadzi Frank Lundquist, ona ma na sobie nie swoje wilgotne ubrania, za oknem w panice przemykają skąpane w deszczu światła skrzyżowań.

A teraz to. Czyj to w ogóle jest samochód?

Tysiące mil od jakiegokolwiek miejsca chociaż przypominającego dom.

Miki spojrzał na nią z ukosa.

– No, kiedy, dziewczyno?

Kiedy przesiądziesz się na przednie siedzenie, przejmiesz kierownicę?

Odwróciła się od tej szyderczej twarzy. Zauważyła w oddali, daleko za polami, zmierzwione niebieskie góry. Na ich widok pojawiła się w jej głowie myśl:

„Jestem wolna. Na zewnątrz. Uciekłam”.

A wtedy linia lazurowych gór otworzyła jej umysł na kolejną myśl.

„To ja jestem teraz kierowcą”.

## 23

### ZAKOŃCZYĆ TERAPIĘ W SYTUACJI ZAGROŻENIA ZE STRONY PACJENTA

(Zasada 10.10b)

Jaka radość może się równać z ryzykiem, które się opłaca?

Viscott przedstawia wiele rodzajów ryzyka, jakie człowiek może podejmować: ryzyko emocjonalne, ryzyko wzrostu, ryzyko zmiany. Mimo lęków związanych z ryzykiem, występujących u wielu z nas, sam akt życia niesie ze sobą ryzyko, przypomina nam Viscott.

Właściwie ryzykujesz wszystko dokładnie w tym momencie. Po prostu siedząc tu, oddychając, akceptujesz ryzyko, że ten oddech może być twoim ostatnim.

CZASAMI LEŻĘ TU, GAPIĄC SIĘ NA RYSY NA SUFICIE, które układają się w deltę rzeki na starym, poszarzałym od dymu gipsie, a przed oczami przemykają mi twarze moich byłych pacjentów. Quillaba, złodziejka eleganckich czekoladek i drogich win, bo przecież nie będzie dla niej przeszkodą skromna pensja w Arby's. Harriett, która nie mogła spać, ciągle się budziła z krzykiem. Dentysta o imieniu Hazen, który nie potrafił dochować wierności żonie, choć bardzo się starał. Zachary Fehler.

I w końcu M. Odwracam się do niej i jest tutaj. Leży w swoim łóżku, śpi. Może śni. Jej nowa krótka fryzura przypomina koronę z miękkiej miedzi.

Dzielimy pokój, ale śpimy w oddzielnych łóżkach. Dlaczego? Chyba to rozumiem.

Jimmy znalazł nam dobre miejsce. Faktycznie jest tu jezioro i rzeczywiście jest pełne ryb. Lokalni mieszkańcy nie jedzą ich, mówią, że potaż zatrzał wodę. W tym domu mieszkała kiedyś najstarsza siostra Jimmy'ego. Nigdy nie wyszła za mąż, była wiejską nauczycielką. Co roku jeździła do Frankfurtu, żeby kupić podręczniki. Jej porządne niemieckie ubrania nadal kurzą się w szafie. Powiedziano nam, że umarła w zeszłym roku. Jej śmieszny mały piesek, biały w brązowe i czarne łaty, zaadoptował nas.

Mężczyźni z wioski całe dni spędzają w kopalni potażu na wzgórzach. Około południa kobieta o imieniu Olla przychodzi nam gotować. Sprząta też trochę, śpiewając przy tym chwytające za serce pieśni, których nauczyła ją cygańska matka. Ja zamiatam, kiedy mi pozwala. Lubię zamiatać podłogę. M. studiuje słownik francuskiego, który tu znalazła. Pewnie w więzieniu nauczyła się jak najlepiej wykorzystywać czas w okresie przestoju. Ja ciągle się uczę. Oczywiście na tych terenach koszykówka jest ważnym sportem, więc gram trochę. Rzucam do kosza za wiejskim sklepem. Zastanawiam się, czy nie zacząć strzelać do celu. Jest tu pełno broni.

Któregoś dnia znalazłem listę, którą nabazgrała na pustej torbie po cukrze:



Francuskojęzyczne  
wybrzeże kości słoniowej  
senegal  
kongo  
algieria  
burkina faso  
haiti  
gwadelupa  
martynika  
saint martin  
polinezja – wyspy pod wiatrem

NAJWIDOCZNIEJ NIE PRZYWYKŁA JESZCZE DO NASZEGO ŻYCIA TUTAJ. Popołudniami udaje się na długie spacery wzdłuż brzegu jeziora. Obserwuję ją, jak tam stoi, wpatrując się w górę Ulsec. Czasami chodzi do chaty Olli, która znajduje się po drugiej stronie jeziora. Ledwie rozróżniam ich sylwetki, M. i starej kobiety, jak siedzą na plastikowych krzesłach ustawionych wprost na ziemi. Rozumiem to: damskie towarzystwo. Przez ostatnie lata to było jej całe życie.

Czuje się teraz o niebo lepiej niż tego wiosennego ranka, kiedy po raz pierwszy przekroczyła próg mojego gabinetu. Jest wolna, że tak powiem. Bezpieczna. Uratowana. Myślę, że teraz zaczyna to doceniać.

Choć moi koledzy psychologowie pewnie krzywiliby się na moją metodę, ta wiedza napełnia mnie poczuciem satysfakcji, uczuciem spełnienia. To dla mnie nowe doznanie.

M. może nie osiągnęła zadowolenia. Jeszcze nie. Ale nie

wspomniała ani razu o tym, że chce stąd wyjechać, zostawić mnie. Mieliśmy kilka miłych chwil. Pewnego wieczoru, w tygodniu naszego przyjazdu, poszliśmy nad jezioro i obserwowaliśmy światła dalekich samolotów, przelatujących nad górami, oddalające się jak wspomnienia.

CANDORA W STANIE NOWY JORK JEST PIĘKNYM MIEJSCEM, chociaż dosyć surowym. Farmy mleczne, kempingi i głębokie lasy. I ta rzeka, która wygląda tak, jak powinna wyglądać rzeka. Czysta, pędząca przez zbocza, gdzieś drzewa zanurzają w niej swe odnóża, pływacy sprawdzają, jak silny jest prąd.

Trzy dni przed ucieczką z M. siedziałem w samochodzie zaparkowanym obok Oshandangi. Gapiłem się w dół na brązowozieloną wodę. Właśnie przejechałem obok remizy strażackiej. Tam, gdzie zginął jej chłopak i kapitan straży. Tam, gdzie na swój sposób zakończyło się też życie M.

Ludzie czasem wplątują się w różne historie. Ludzie niekiedy tak mocno czegoś pragną, że robią rzeczy, o których im się nie śniło. Wiem to teraz. Rozumiem to.

Po jakimś czasie wyjechałem z powrotem na drogę i skierowałem się na północ, za miasto. Skręciłem w prawo, w wąską niebrukowaną drogę. Przejechałem parę kilometrów kolein przez stanowy las, potem minąłem leżące na ziemi ogrodzenie z drutu i podziurawiony kulami znak ostrzegawczy „wstęp wzbroniony”. Droga skończyła się i wysiadłem z samochodu. Otworzyłem bagażnik, wyciągnąłem z niego łopatę. Podążając ledwie widoczną ścieżką, rozgarniałem łopatą chwasty i kolczaste krzewy. Stare obozowisko myśliwych znajdowało się

o ćwierć mili. Nie miałem szczególnego pojęcia, jak może wyglądać. Okazało się, że to tylko wałca się szopa ze sklejki i blachy falistej i otoczone kamieniami miejsce na ognisko. W szopie materac wywalał na wierzch swoje zardzewiałe wnętrzości. Pojedynczy poczerniały but. Rozwleczone po ziemi butelki po piwie, wyglądające na dosyć nowe.

Można powiedzieć, że w tym miejscu, gdy zobaczyłem materac, butelki i but, włos zjeżył mi się na karku. Panowała śmiertelna cisza. Nie było słychać ptaków. Nawet wiatru w koronach drzew. Wyszedłem z szopy i obszedłem ją pospiesznie, skierowałem się w stronę stosu drewna. Łopatę trzymałem w pogotowiu.

Rozrzuciłem stos i zacząłem pod nim kopać. Zobaczyłem ślepe robaki i olbrzymie czerwie, które wcale mi się nie podobały. Ale kopałem bez odpoczynku. Aż się zziajałem.

– Jesteś pewna, że to nadal tam jest? Nie wykopali tego po twoim aresztowaniu? – spytałem ją.

– Usiłowałam powiedzieć o tym mojemu adwokatowi. Ale mnie powstrzymał. „Ani słowa, ani słowa więcej na ten temat. Nikomu”. Powiedział, że dla ławy przysięgłych im mniej wiem, tym bardziej jestem niewinna. „Więc, powiedzmy, że nie wiesz. W końcu zapomnisz, że wiesz”, powiedział, „a w tym momencie to będzie tak samo, jakbyś nigdy nie wiedziała”.

– Jezu.

– Ten facet dorabia jako konsultant kampanii politycznych – powiedziała.

Po około pół metra dokopałem się. Łopata zagłębiła się w coś bardziej miękkiego niż gliniasta ziemia, w coś, co pod nią

ustępowało. Odkryłem tego więcej. Wytrzymała torba z czerwonego, gumowanego materiału. Napis: „STRAŻ POŻARNA CANDORA”.

Po godzinie jechałem, prowadząc bardzo wolno, ze specjalną ostrożnością, bo cały się trząsałem, skręcając na wjazd na wschodnią I-90. W bagażniku miałem 2,3 miliona dolarów.

Te pieniądze zostały przekazane przez mieszkańców małego miasteczka, którzy oddawali się hazardowi dla zabicia czasu, ryzykując bardzo niewiele i wierząc, że pieniądze pójdą na cel dobroczynny. I z niewielkim opóźnieniem tak się dzieje. Jaki może być bardziej dobroczynny cel niż ocalenie duszy?

Ślimak albinos sunie teraz w górę okna, obraca czerwonymi oczami na czułkach. Wpełzł do mojego świata w odległości kilku milimetrów od mojej twarzy, żeby mi powiedzieć, że najbardziej nieprawdopodobne rezultaty są możliwe.

Tak, wybór to władza, a ja już wybrałem. Zachęcam każdego, kto to czyta, by zrobił to samo.

## 24

MARZEC 2000

Frank Lundquist spał głęboko i nie obudził się, kiedy wkładała na siebie koszulę i szorty, zawiązywała buty i z podążającym za nią psem wyslizgnęła się z domu. Słońce mocno już paliło jej ramiona, kiedy zaczęła schodzić. Pies podskakiwał przed nią na małych kamieniach, ukrytych pod niskimi porostami i mizernymi kępkami dzikiego estragonu.

Gdy dotarła nad brzeg jeziora, odwróciła się, by spojrzeć na niewielką grupkę budynków o lśniących dachach. Panował niesamowity spokój. Nic się nigdy nie działo w tym miejscu. Mieszkańcy rozumieli ciszę. Olla zauważyła ją, kiedy zbliżała się wzdłuż skał – czekała już na nią mała filiżanka gorzkiej kawy. Miranda popijała ją małymi łyчками w ciemnej chacie, kontemplując starodawny telefon.

Ona i pies zadyszeli się trochę, zanim wspięli się z powrotem po ostatnim odcinku stromej ścieżki prowadzącej do domu. W cieniu sękatego cisu była pompa. Nalała wody do koryta. Pies wychłęptał ją łapczywie. Miranda zanurzyła usta w strumień i też piła, choć woda była ciepła i miała lekki odór siarki.

GDY WESZŁA DO DOMU, FRANK LUNDQUIST CHLAPAŁ SIĘ W ŁAZIENCIE. Szybko wyjęła dwie małe torby spod łóżka i zaczęła pakować jakieś rzeczy dla siebie i dla niego: bieliznę, czyste koszulki. Gdy napchała torby ubraniami, ukazały się jej inne przedmioty. Stare zdjęcie, matka z synami, które położył na obrusie. Jej rysunek pieska. Kamień w tygrysie paski, który znaleźli kiedyś, siedząc razem nad brzegiem jeziora.

W końcu odsunęła łóżko, wysunęła luźną cegłę ze ściany i wyjęła ze skrytki kanadyjskie paszporty, grube koperty z niemieckimi markami i dokumenty ze szwajcarskiego banku. Trzymała je w dłoniach i patrzyła na nie, jakby były kartami tarota. Zmusiła się, żeby przeczytać zapisaną wiadomość.

Wtedy coś pod łóżkiem przyciągnęło jej wzrok. Szary zeszyt do wypracowań w taniej tekturowej okładce. Nie widziała go przedtem. Otworzyła go. Pierwsza strona pokryta była pochyłym pismem Franka. Przeczytała pierwszą linijkę: „To, co mi się zdarzyło, jest uniwersalne. Mogę to udowodnić”.

Nagle zgrzytliwy dźwięk samochodu na żwirze przed chatą. Wrzuciła zeszyt do torby Franka, wypadł z niego złożony kawałek papieru, gruby i błyszczący.

Słyszała głosy na zewnątrz, dwóch albo trzech mężczyzn. Podniosła zwitek i wsunęła go do kieszeni, zapięła obie torby na suwak i odsunęła je do kąta.

Z łazienki wynurzył się Frank, jak zwykle pochylając się, żeby uniknąć uderzenia głową o niską framugę drzwi. Z gołym torsem, w samych tylko dżinsach wycierał zmierzwiłone włosy cienkim ręcznikiem.

Olla wpadła do chaty.

– Russkata! – krzyknęła na niego, wskazując na drzwi. Odwrócił się wtedy do Mirandy, spojrzał na nią ze współczuciem, uspokajająco.

– Zostań w środku.

Wtedy zniknął w drzwiach. Olla zmarszczyła brwi.

Stawiał większy opór, niż przewidziano. Kiedy wszystko się skończyło, Miranda wyjrzała z domu. Dwóch mężczyzn, jeden z nich był tylko nastolatkiem w koszulce, a drugi krzepkim facetem w skórzanej kamizelce i koszuli w kratę, krótko ostrzyżonym blondynem, stało nad Frankiem. Nad nimi unosiły się tumany białego zwirowego pyłu. Frank leżał w kurzu jak posypany mąką bochenek chleba, z zamkniętymi oczami, ramionami rozrzuconymi na boki. Ciemnoczerwona krew sączyła się z jego nosa i ust i spływała na pokrytą pyłem klatkę piersiową.

Starszy mężczyzna wszedł do domu, jakby był jego właścicielem, i przyjrzał się jej uważnie.

– Chyba da sobie radę w więzieniu, nie jest frajerem. – Otrzeptał się, chmury pyłu unosiły się z jego dzinsów. Wyciągnął do niej dłoń. – Jestem Wisza.

W głowie słyszała głos Lu: „Wisza jest najlepszym mężem, jakiego można zapragnąć”.

Minęła go i podeszła do Franka, który leżał, jakby obejmował powietrze, jakby ofiarował swą krew niebu. Nad nim stał nastolatek z pistoletem zawadiacko zatkniętym za pasek spodni. Syn miał żółte włosy i ładną twarz matki.

Schyliła się do Franka.

– Wydobrzejesz – powiedziała.

Jego oczy poruszyły się pod zamkniętymi powiekami.

– Jesteś wolna – powiedział. – Dzięki mnie.

Położyła dłoń na jego zakrwawionym policzku.

KREW, W DUŻYCH ILOŚCIACH, WYDZIELA ZAPACH. Gęsty, jakby opiumowy.

Biuro na zapleczu remizy w Candorze. „Wymierz pistolet i idź”, powiedziała sobie. „Celuj i idź”. Rewolwer, mały i ciężki, drżał mocno w jej dłoni. Wydawało się, że w magiczny sposób dryfuje przed nią, kiedy mijala pudełka z gotówką ustawione na metalowym biurku. Banknoty i monety. Wieczorny utarg. Nie wydawały się warte jej uwagi. Pistolet w jej drżącej dłoni wabił ją, okrążyła biurko. A tam, na podłodze, obejmując krzesło leżące obok niego, leżał martwy mężczyzna. Później dowiedziała się, jak się nazywał. Lewis Patterson. Podczas procesu miała je usłyszeć milion razy, wzdrygała się na każdą jego wzmiankę. Lewis Patterson, kawaler, strażak, wędkarz łowiący pstrągi w strumieniu, maniak lokalnej historii, uzdolniony naśladowca ptasich głosów, podpora swojej społeczności. Lewis Patterson rozciągał się na podłodze przed nią. Z jego ucha wyciekała krew, w jednym policzku miał dużą i zadziwiająco czystą dziurę, przez którą było widać odpryski zębów i rzeźbę mięśni. Otwarte oczy wpatrywały się w sufit. Jedna dłoń spoczywała na nieruchomej klatce piersiowej, plama krwi zasychała już na jednym ramieniu jego koszulki z napisem „Pittsburgh Steelers”.

Ręka z pistoletem opadła do boku. Stała, wpatrując się w niego, jak jej się wydawało, całymi godzinami. Patrzyła na napis z nazwą



miasta na koszulce oblekającej jego masywne martwe ciało.

Wtedy usłyszała dźwięk dobiegający z tyłu. Odwróciła się. Zza rogu, z garażu, gdzie stał w gotowości czerwony wóz strażacki z drabiną, wyłonił się Duncan McCray. Przyciągnął wypchany czarny worek na śmieci i otworzył go.

– Dlaczego nie czekasz w samochodzie? – spytał, ledwie na nią zerkając. Chwytał sterty banknotów z biurka i wrzucał je do worka.

– Usłyszałam strzały.

– Słuchaj, nie myśl o tym teraz – powiedział podekscytowany, pakując pieniądze. – Powiedział mi, gdzie chowa gotówkę. Pod stertą drewna na obozowisku myśliwskim. Sześć mil drogą w las stanowy. Mamy ze sobą latarkę?

– Nie wiem.

– To właśnie możesz zrobić, rozejrzyj się tu i znajdź latarkę. Ja idę to zapakować do samochodu. – Wypchał worek pieniędzmi tak bardzo, że kiedy go podniósł, zaczął pękać.

– Cholera – wyszeptał.

– Jeśli powiedział ci to wszystko, to dlaczego go zastrześliłeś?

– Rozpoznał mnie – powiedział, zbierając na klęczkach banknoty, które wypadły z worka. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Z baru. Był wtedy napruty, nie sądziłem, że mnie zapamięta. – Złapał podarty worek od spodu i przycisnął go do piersi. – Chyba widziałem latarki wiszące w garażu.

Wtedy znowu pojawił się mały pistolet. Już prawie o nim zapomniała, o jego zimnym ciężarze w jej dłoni.

– Duncan – powiedziała.

Spojrzał na nią, na pistolet.

– Chryste – jęknął, wskazując głową drzwi, cały czas zmierzając w ich kierunku. – Tracimy czas.

– Powiedziałeś, że nie będzie naładowany – powiedziała.

– Tak wtedy myślałem. – Zatrzymał się, tuląc worek do piersi. – Potem zmieniłem zdanie. Dla bezpieczeństwa.

– Powiedziałeś, że nie będzie naładowany. – Zrobiła parę kroków w jego kierunku.

– Był świadkiem. – Jego twarz zbladła tak bardzo, że wydawała się niebieska. – Zrobiłem to dla ciebie.

Łzy zamgłyły jej wzrok, zaczęły spływać po policzkach.

– Nie mogę uwierzyć, że zabiłeś strażaka. – Usłyszała swój głos.

– Nie – powiedział. Upuścił worek i zaczął się do niej zbliżać. – Kocham cię.

Banknoty rozsypały się po całej podłodze.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś – powtórzyła.

Słynne oczy Duncana były teraz szeroko otwarte, blisko niej. Nigdy nie wyglądały na bardziej żywe niż wtedy, kiedy ścisnął ją za nadgarstek.

– Miranda – wydyszał.

Pistolet podskoczył, kiedy pociągnęła za spust. Zapamiętała, że krew spływała z małej dziurki pod jego podbródkiem jak wino z szyjki butelki, zanim zamknął oczy i upadł.

OLLA PRZYNIOSŁA ICH DWIE TORBY, ŁAJAJĄC JĄ W JĘZYKU, którego nie rozumiała.

– Bardzo krwawi, powinien go obejrzeć lekarz – powiedziała Miranda do Wiszy. Razem z nastolatkiem wciskali Franka

Lundquista na tylne siedzenie porzuciła czarnej łady. Krew z kurzem mieszała się w ciemną pastę na jego nagim torsie.

– W klinice donoszą na policję – powiedział Wisza. – To byłoby źle dla ciebie. Nic mu nie będzie. Wsiadaj, musimy jechać. – Wrzucił torby na tylne siedzenie.

– Daj mi go przynajmniej oczyścić.

Wsiadła i odsunęła suwak torby Franka. Wyciągnęła z niej koszulę. Wytarła mu rany rogiem materiału. Zatrzaśnięto za nią drzwi i zapuszczono silnik.

I tak wioska się oddalała, z Ollą machającą na drodze, trzymającą w ręku kopertę z niemieckimi markami. Wisza prowadził szybko, jego syn gmerał przy radiu.

– Masz pozdrowienia od Lu. Wychodzi w październiku, dzięki temu tu, Frankowi. – Wisza zaśmiał się miękko, potrząsając pokrytą szpeciną głową. – A Macedończyk przeprasza. Przypomnieliśmy mu o pewnych realiach. Powiedział, żeby przeprosić od niego Franka. – Znowu się zaśmiał. – Następnym razem nie idź do Bałkańczyków, Frank. Od razu idź do Rosjan, jak masz interes. Macedończycy to płotki. Rosjanie to car, a Macedończycy to słudzy.

Frank nie słyszał tej rady. Leżał nieprzytomny, zimny, oparty o drzwi, z głową pochyloną jak do modlitwy. Radio przygrywało im, gdy zjeżdżali po wyboistych górskich drogach otoczeni tylko przez skały, jeśli nie liczyć skarłowaciałych porostów i napotykanych od czasu do czasu stad owiec, pogryzających wyschłą trawę. Miranda zauważyła szary zeszyt w otwartej torbie Franka, pomyślała, żeby w nim pogrzebać, ale zdecydowała tego

nie robić. Nie musiała znać jego tajemnic. Zwinęła w kulkę zakrwawioną koszulę, którą wytarła mu rany, wcisnęła ją do torby i zasunęła suwak.

Wtedy przypomniała sobie o zwiniętym świstku i wyciągnęła go z tylnej kieszeni spodni. Rozprostowała go na kolanie.

Jeden róg był podarty. Strona wydarta z czasopisma, a może z książki? Spojrzała pobieżnie – „Drużyna biegowa juniorek”. Zdjęcie drużyny. Pod spodem większe zdjęcie biegnącej dziewczyny. Do koszulki ma przypiętą kartkę z numerem. Kucyk podskakuje jej w biegu. Stopa właśnie przekracza białą linię mety.

Wygrała tamtego dnia? Tak właśnie sugerował podpis. Miranda Greene, klasa dziewiąta, biegnie po medal. Nie pamiętała nic z tego dnia. Z tamtego roku.

Oprócz tego. Gęste powietrze w korytarzu prowadzącym do przebieralni. Korytarz przechodził obok pokoju nauczycieli WF-u. W kanciapie mały czarno-biały telewizor na półce obok doniczki z żółknącą zielistką. Czasami trenerom udało się złapać rundę meczu Orioles, siadali dookoła telewizora z przekąskami i napojami gazowanymi z automatu. Dlaczego telewizor był włączony tamtego wtorkowego popołudnia? Kto wie – turniej baseballu skończył się już parę tygodni temu, na pewno wtedy nie było żadnych meczów futbolu w telewizji. Ale odbiornik był włączony. Kiedy minęła drzwi, przebrana w strój sportowy, gotowa, żeby przypiąć sobie numer, Showalter, trener futbolu, który uczył też trygonometrii, zawołał jej nazwisko:

– Greene! Wejź do środka!

„Co znowu”, pomyślała. „Jeszcze o tym, że nie odrobiłam pracy

domowej?”

– Twój stary w telewizji! – powiedział, wskazując na mały ekran.

No tak. To faktycznie był jej ojciec. Dzień wyborów w 1982 roku. Przewidywano jego porażkę.

– ...Greene, który ma nadzieję na powrót na scenę polityczną, przegrał ten sam mandat w Pensylwanii cztery lata temu. Był w Kongresie tylko przez jedną kadencję. Oglądając wczesne wyniki wyborów ze swoimi zwolennikami, Greene oddał szczególny hołd magnatowi telewizji kablowej Neilowi Potockiemu, którego nazwał bliskim przyjacielem i nieocenionym...

Stał tam, obejmując mocno tego faceta. Potężny, niedźwiedzi uścisk. Wymiana szerokich, serdecznych uśmiechów i poklepywanie się po ramieniu. Niedźwiedzi uścisk faceta od niebieskiego samochodu.

Gapiała się na zdjęcie z rocznika szkolnego. Coś przewracało się jej w środku, jakby siedzenie samochodowe pod nią nagle mogło się usunąć, połamać, zniknąć. Jak cienka stwardniała pokrywa na głębokim śniegu. Teraz przypomniła sobie więcej. Smak łez w ustach, kiedy biegła. Krzyki widzów. Znikające słońce, chłodne, czyste, listopadowe powietrze, świat zamazany za jej gorącymi od łez oczyma.

I potem – sama w szatni. Przebiera się na chłodzie. Płacze i pamięta, że zerwała tę naklejkę z drzwiczek swojej szafki – „Greene do Kongresu!”. Słyszała, jak ojciec wykrzykuje imię Amy, strząsając z ramienia pocieszającą rękę Potockiego, a policjanci stoją w ogromnym holu wejściowym, pod jaskrawo świecącym

zyrandolem. Odwraca się do tego faceta, chwytając go za gardło. Potocki przysięga, że Amy wykradła klucze.

– Nie zrobiła tego – krzyknęła Miranda.

– Nie waż się pokazywać mi jeszcze kiedykolwiek swojej zakłamaney mordy – powiedział do niego ojciec.

Rok później niedźwiedzi uścisk w telewizji. Jego twarz: szczupła pod opadającą blond grzywką.

Wystąpiła z drużyny biegowej następnego dnia. Wieczorem zaczęła pieprzyć się z losowo wybranym zawodnikiem futbolowej drużyny juniorów. Nie miała pojęcia dlaczego. Dlaczego nie?

Teraz znowu patrzyła na zdjęcie, które trzymała przed sobą. Patrzyła na biegnącą dziewczynę. W tle stali ludzie zgromadzeni wzdłuż toru wyścigowego.

Wysoki, wystający ponad szereg. Jego twarz: szczupła, pod blond grzywką. Twarz chłopca, ale bez wątpienia jego twarz. I jego oczy: jasne, szeroko otwarte, skupione na przebiegającej dziewczynie. Wyraz twarzy – zdziwiony? Zafascynowany? Może pełen nadziei? Ręce ma nieco uniesione, jakby przygotowywał się, by wyrzucić je w górę na wypadek zwycięstwa.

Usta na wpół otwarte, na zawsze zastygłe w okrzyku.

– HALO! – KRZYKNAŁ WISZA. PRZESTRASZYŁ JĄ. – TO TU.

Wjechał na parking wyglądającej na opuszczoną stacji benzynowej i zatrzymał się obok volkswagena z pogniecioną maską. Podał jej kluczyki.

– Lotnisko jest dziesięć kilometrów na południe, granica – trzydzieści na wschód.

Frank wygląda, jakby spał. Jego twarz wydawała się taka młoda. W ogóle nie była pomarszczona. Twarz chłopca.

Pamiętała, jak bezgranicznie samotna czuła się tamtego dnia zawodów, bez rodziców. Bez siostry.

Ale teraz miała nowe informacje. Nie była wtedy sama.

Sprawdziła w torbie jeszcze raz: paszport, szwajcarskie dokumenty z banku, fundusze z Candory. Wszystko było na miejscu. Wcisnęła papiery z powrotem do torby, razem ze stroną z rocznika szkolnego. Zapięła starannie suwak.

Potała palcami jego twarz, próbując go obudzić.

Wydawało jej się, że słyszy jego głos. Czy mogła go słyszeć, głos chłopaka głośniejszy od innych, zagrzewający ją do walki? Czy słyszała, jak woła jej imię?

I patrząc na jego poturbowany profil – czy widziała go? Tak. Zauważyła go na boku toru wyścigowego, gdy przekraczała linię mety. Widziała go wyraźnie. Wysoki szczupły blondyn, zdziwiony, urzeczony, pełen nadziei.

Potała mocniej palcami, wydawało jej się, że się poruszył. Nachyliła się do jego ucha.

– Pamiętam cię.

Po minucie siedziała za kierownicą białego samochodu, obserwując w lusterku znikającą czarną ładę. Wrzuciła bieg.

Teraz jechać.

# Epilog

**9 LISTOPADA 2016**

Może odrzucasz tę ideę, że to, co mi się zdarzyło, jest uniwersalne. Myślisz, że tobie nigdy nie mogłoby się to przytrafić.

Doświadczyłeś kiedyś niemożliwej miłości? Zmagales się kiedyś z demonami i diabłem? Szedłeś na skróty, kusily cię złe wybory, starałeś się być dobry, miałeś wielkie aspiracje?

Jeśli odpowiedź jest twierdząca, to skierowałeś swój los tak blisko mojego, jak to możliwe.

Nie jestem pewien, co skłoniło mnie tamtego konkretnego dnia, żeby zdjąć z półki grubą szarą kopertę. Jest trochę zatęchła, zawilgotniała po takim czasie, ale nadal można przeczytać napisane na maszynie moje nazwisko i mój numer. 0281-J-00, ponieważ byłem dwieście osiemdziesiątym pierwszym więźniem, który został umieszczony w zakładzie karnym stanu Nowy Jork, w więzieniu Auburn, w roku dwutysięcznym. Na górze, z lewej strony, wydrukowany jest adres mojego adwokata: Burwick & Spivak LLP, 42 Catharine Street, Poughkeepsie, NY 12601.

Koperta została dostarczona z pocztą w grudniu 2009 roku, kiedy zamykano tę kancelarię prawniczą, po tym, jak stary Arthur



Burwick przeszedł na emeryturę. Została wysłana przez asystenta. W środku znajdował się zeszyt, który pomyłkowo został umieszczony z dokumentami dotyczącymi jakiejś innej sprawy. Cienki zeszyt do wypracowań z szarą, tekturową okładką wypełniony moimi gryzmołami. Arthur znalazł go w torbie, gdzie było parę moich rzeczy: prawie nieużywana kurtka wędkarska, stara, pożółkła fotografia, niezwykły kamyczek w paski. Usiłowałem użyć go jako dowodu, ale sędzia go odrzucił. Kiedy ten zeszyt dotarł tutaj, nie miałem żadnej ochoty go otwierać. Włożyłem go z powrotem do koperty, wcisnąłem ją na półkę z książkami i papierami i starałem się zapomnieć, że tam jest.

I udało mi się, na prawie siedem lat. Co więc stało się dzisiaj? Zmiana pory roku, późnojesienne światło? Błyski słońca w ostatnich kasztanowych liściach uparcie tkwiących na gałęziach za płotem, niedaleko boiska do gry w piłkę ręczną? Wrzawa wokół kolejnych wyborów, tak głośna, tak burzliwa tego roku, że przeniknęła nawet przez mury więzienne?

NIE BYŁA TO PRZYJEMNA LEKTURA. To chyba jasne. Nawet bolesna, po takim czasie.

Ale wciąż, może, mogę liczyć na jakieś odkupienie. Bo zrobiłem coś dobrego.

Na pewno nie skończyło się to dla mnie dobrze. Ale staram się czynić dobro tam, gdzie mogę. Przewodniczę grupie wsparcia w świetlicy, co drugą środę o 11 rano, zanim zacznie się czas na telewizję, kiedy świetlica jest pusta. I mimo że większość facetów przychodzi tylko na ciasteczka i herbatę, czasami czuję, że być

może wywieram na nich jakiś pozytywny wpływ. Pcham czyjeś życie na trochę lepsze tory. Administracja okazała aprobatę dla tego przedsięwzięcia, w końcu przyznając mi dodatkowy czas na spacerniaku i regularne odwiedziny po tych wszystkich latach zaostrego rygoru. Clyde czasem wpada z córkami.

Na początku miałem bardzo ciężkie warunki, jako że zostałem skazany za podżeganie strażnika stanowego Jerrolda Liverwella do przemytu cracku i elavilu na oddział C więzienia Milford Basin i za zmuszenie informatorki w tej sprawie, Ludmilly Chermayev, do dystrybucji tych substancji, tym samym przyczyniając się do śmierci z przedawkowania więźniarek April Toni Nicholson i Weavy Moore. I oczywiście za pomoc w ucieczce mojej domniemanej współniczce w konspiracji – Mirandzie Greene.

Tak, mogę teraz wymienić ją z nazwiska. W końcu już nie żyje.

To znaczy według oficjalnych doniesień.

Według moich zeznań jako świadka, a zeznania te podtrzymał trybunał stanu Nowy Jork, trybunał federalny i Interpol, Miranda Greene zmarła tamtego dnia w marcu w roku dwutysięcznym. Mężczyźni, nadal znajdujący się na wolności, którzy porzucili mnie na krawężniku przed prowincjonalnym, zapchlonym macedońskim komisariatem, nieprzytomnego, w skorupie z zaschniętej krwi, wykradli ją i zabili. Powiedziałem przed sądem:

– Widziałem, jak to zrobili.

Zeznałem:

– Spalili jej ciało i wrzucili prochy do jeziora.

Według ich wiedzy jej szczątki mogą tam jeszcze dryfować, w wodzie skażonej potażem, u stóp zbocza góry Ulsec.

Według ich wiedzy.

A ja wiem tyle: pamięta mnie.

# Podziękowania

Ta historia ma swoją własną skomplikowaną historię powstania. O mały włos nigdy nie wy dostałaby się z mojej wirtualnej szuflady. To, że jej się to udało, to niezwykle szczęśliwe zrządzenie losu, które byłoby niemożliwe bez uprzejmości i wsparcia oraz wiary w nie ogromnie ważnych ludzi i organizacji.

Niech zechcą przyjąć najserdeczniejsze podziękowania: Virginia Paget, Bob Gangi, Susan Rosenberg, Robin Aronson i Tara McNamara – za pomoc w zapoznawaniu się z życiem więźniów; MacDowell Colony i korporacja Yaddo – za samotność i towarzystwo; rodziny Immergut i Marks, Deborah Lewis Legge, Kahane Corn Cooperman i Doug Wright – za ich niezachwianą miłość; Ann Lewis i Edie Meidav – za ich pouczające informacje zwrotne i podnoszenie na duchu. James Hynes, Barrie Gillies, Miliann Kang, Anthony Schneider, Scott Moyers, James Yu i John Townsend – za nieoczekiwaną, hojną i tak potrzebną zachętę.

Także moja agentka Soumeya Bendimerad Roberts przyjmie, mam nadzieję, ogromne wyrazy wdzięczności – za to, że dostrzegła mnie w swojej przepełnionej

skrzynce odbiorczej, za jej genialną korektę i błyskotliwe umiejętności reprezentowania twórców.

Możliwość pracy z Megan Lynch, redaktorką o niesamowitej intuicji i dokładności, oraz z Emmą Dries, Laurie McGee i całym zespołem w Ecco/HarperCollins uważam za niesamowite szczęście.

A w końcu za wszystko, co kryje się pod każdym słowem tej historii, i za każdą chwilę każdego dnia, dziękuję Johnowi, mojej opoce i mojemu wybawcy, oraz Joemu, mojej radości.

- 1) NYS DOCS (New York State Department of Corrections and Community Supervision) – Wydział Penitencjarny i Nadzoru Stanu Nowy Jork. [↵](#)
- 2) MMPI (Minnesota Multiphasic Personality Inventory) – jeden z najczęściej używanych psychologicznych testów osobowości. [↵](#)
- 3) mi hermana (hiszp.) – moja siostra. [↵](#)
- 4) dolor de cabeza (hiszp.) – ból głowy. [↵](#)
- 5) mentiroso (hiszp.) – kłamca. [↵](#)